

179

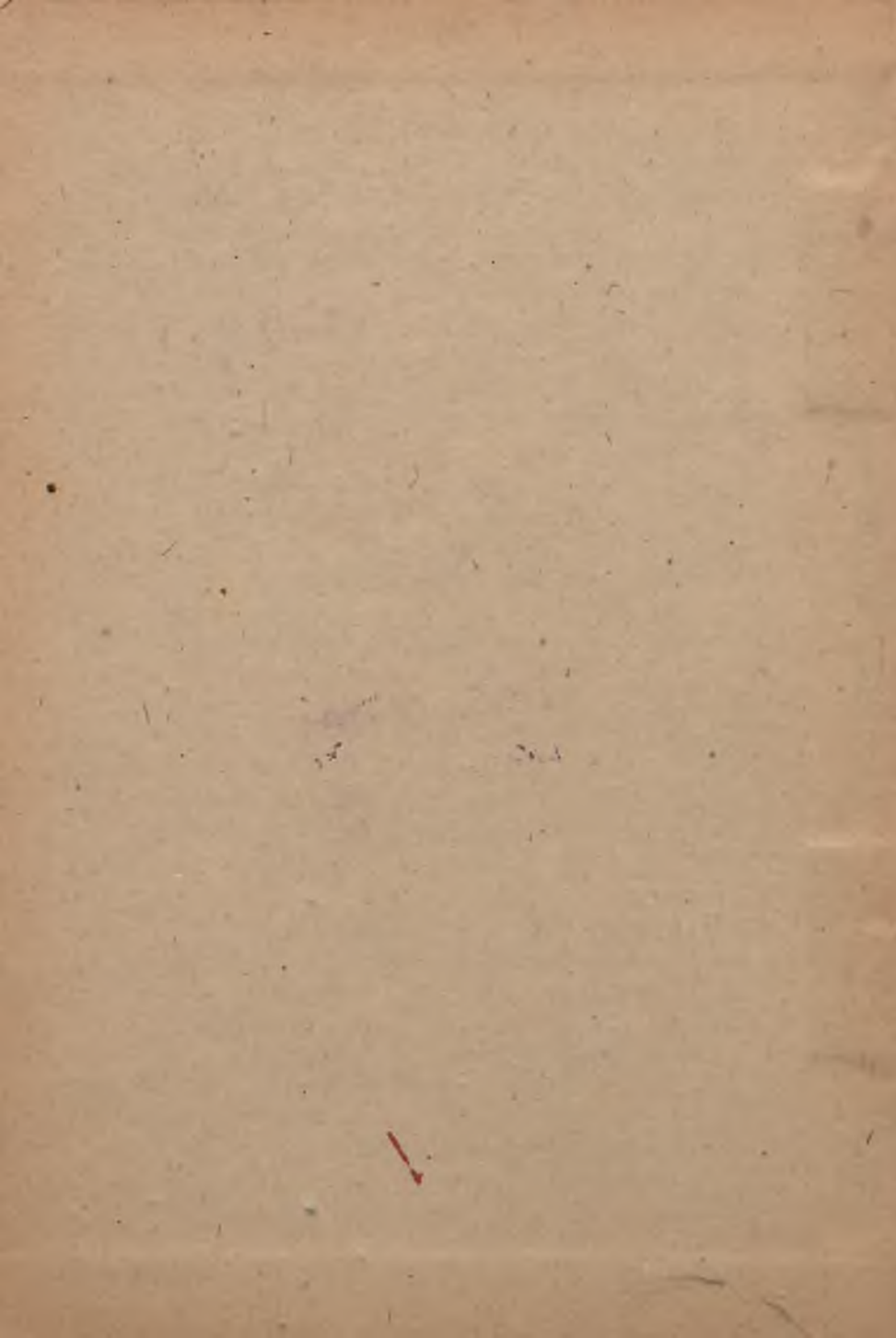
EM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

ELIZA
ORZESZKOWA

PISMA

10

G E B E T H N E R I W O L F F



450/76

2m 82

~~WYDZIAŁ~~ ~~1200000000~~ ~~CENNIK~~

9-6-154

~~B-313/1~~

~~WYDZIAŁ~~ ~~1200000000~~ ~~CENNIK~~
BIBLIOTEKA
~~54~~ ✓

450

पृष्ठ २

904/57

MIRTALA

~~WOLENIE KURIA PETA~~
~~DO SZKÓŁ WYŻSZYCH~~
~~w Gdańsku~~
~~BIBLIOTEKA~~
~~Nr = 259 =~~

POD ZNAKIEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

PISMA ELIZY ORZESZKOWEJ

REDAKTORZY

AURELI DROGOSZEWSKI
LUDWIK BRUNON ŚWIDERSKI

TOM X



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

ELIZA ORZESZKOWA

M I R T A L A



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ T. PIOTROWSKI
OPRAWĘ — E. MANTEUFFEL



COPYRIGHT BY GEBETHNER I WOLFF

OKRĘGOWY
OŚRODEK KSZTAŁCENIA
I DOSKONALENIA NAUCZYCIELI
SZKOLI W ZAWODOWEGO
W GDANSKU



210487

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1 9 3 7

I

Pod niezmaconym szafirem nieba, w ulewie złotych światel słonecznych zielony gaj Egerii głębokie i nieruchome cienie słał na pola, z których cześć dla podwójnie świętego miejsca usunęła wszelkie ludzkie siedliska i wrzawy. Podwójnie świętym było dla Rzymian miejsce to; bo w cienistych jego głębiach, pod rozłożystymi gałęzmi odwiecznych buków, dębów i platanów, wznosił się śnieżny posąg jednego z najśłodszych bóstw wiecznego miasta i płynął strumień szmerem swym opowiadający wiekom i pokoleniom o długich, samotnych rozmowach wielkiego Numy z uwielbianą i mądrą jego nimfą. Niegdyś, przed ośmiu setkami lat, wielki król-prawodawca trwożny o losy narodu-dziecka przybywał w samotne miejsce to i troskami skołataną pierś rzeźwiąc cieniem i ciszą ku szafiroom niebieskim podnosił wzrok błagający o wróżby, natchnienia i rady. Wtedy z szafirów niebieskich spływała Egeria, olśniewająca, a przecież łaskawa, i długo potem w gęstwinie buków, dębów i platanów szemrały westchnienia miłości i tajemnicze szepty; piękna niebianka kładła dłoń swą na królewskim sercu i uciśzała wrzące w nim burze, a z pocałunku jej ust nieśmiertelnych lały się w głowę jego wspaniałe myśli o wierzeniach tych i ustawach, które stać się miały podstawą przyszłej wielkości rzymskiego ludu i wiecznej chwały pierwszego jego prawodawcy. Wszystko minęło. Imię Numy Pompiliusza czas zmienił w echo coraz słabiej brzmiaące w uszach i sercach odległych pokoleń: to, co stanowił on, skryło się w cieniu gmachów no-

wych; nieuczony już tylko gmin przechował wiarę w niebiańskość i nieśmiertelność Egerii. Lecz gaj starożytny, strzeżony i pielęgnowany, trwał i w pamięci ludzi utrwał dwa piękne i rzadkie zjawiska ich dziejów, jakimi byli: niewiasta zlewająca na męża dobroczynne natchnienia i król troszczący się o dobro poddanego mu ludu.

Ogromny cesarski Rzym huczał i wrzał w pobliżu, nie tak przecież blisko, aby na skrajach gaju i w jego głębinach uroczysta cisza panować nie mogła. Dość rzadko przerywały ją kroki pobożnych pielgrzymów przybywających tu, aby pokorny hołd złożyć ołtarzowi bogini albo zaczerpnąć wody ze świętego źródła. Świątynie Rzymu liczne były i z upływem czasu coraz liczniejsze; współubiegały się z nimi coraz liczniejsze też i wspianialsze miejsca zabaw i przechadzek. Dnie całe mijały często, a żadna stopa ludzka nie dotknęła bujnych i ukwieconych traw świętego gaju, żaden głos modlitewny nie złączył się ze szmerem strumienia wiekuiście wijącego srebrną swą wstęgę u stóp śnieżnego posągu bogini.

Przecież u jednego ze skrajów gaju, tam gdzie zbiegały się wiodące ku niemu ozdobne, bukszpanami osadzone i bazaltem usłane ścieżki, codziennie, od wczesnego poranku do późnego wieczora, przesiadywał człowiek, widocznie nad ścieżkami tymi straż trzymający. Stróżowanie to ujawniało się w ruchomej zagrodzie, przezroczystej, w złożony brąz zdobnej, a wejście do świętego gaju tamującej dopóty, dopóki pobożny pielgrzym nie włożył drobnego pieniążka w dłoń stróżującego tu człowieka, a on przed nim zapory tej nie usunął. Drobne pieniążki były podatkiem płaconym państwu przez tych, którzy gaj święty nawiedzać pragnęli, człowiek zaś u zbiegu ścieżek czuwający poborcą skromnej tej i do uiszczenia łatwej daniny.

Rzymski poborca ten ani z ubioru, ani z rysów twarzy na Rzymianina nie wyglądał, i dość było jednego nań rzutu oka, aby w nim poznać przybysza ze Wschodu. Od szyi chudej, zwiędłej i żółtej do stóp, których podeszwy tylko i palce ukryte

były w grubych i płytkich sandałach, cienką i przygarbioną postać jego przyoblekała luźna, brunatna suknia z grubej, szorstkiej materii, w pasie ściśnięta żółtawym, od zużycia wystrzępionym pasem. Na głowie miał on gruby, ciężki, żółtawej barwy zawój, którego twarde niby gzymsy ocieniały twarz pięćdziesięcioletnią, żółtą, zwiędłą, chudą, z długim, garbatym nosem i długą, od posiwienia popielatą, w twarde kędziory wijącą się brodą. Spod zawoju, wzdłuż policzków, spływały też długie, popielate kędziory włosów, a z obu stron garbatego nosa pod czarnymi, zjeżonymi brwiami oczy wielkie, jak noc najgłębsza czarne paliły się ogniem gorącym i patrzyły w przestrzeń z wiekuistym jakby, nieskończonym, przejmującym smutkiem. Namiętnemu smutkowi oczu tych odpowiadał wyraz ust cienkich i bladoróżowych, które w gęstwinie siwiejącego zarostu nieustannie, nieustannie wiły zadumane lub gorzkie uśmiechy albo do pustego pola, do szafirów niebieskich, do nieruchomych buków i dębów, do kipiącej i echa kipienia swego tu przysyłającej stolicy przemawiały niedosłyszalnymi szepty. Na poręczy złoconej balustrady siedząc, cieniem gaju od skwaru słońca okryty, z bosymi stopy swymi w płytkich sandałach kołyszącymi się nad ziemią, w chudych, szerniałych palcach przebijający strzępie swego pasa, z płomiennym wzrokiem swym i zgarbionym grzbietem, człowiek ten zdawał się być żywym obrazem znękania ciała i wiecznej, na dnie piersi wrzającej burzy ducha. Był to Żyd.

Jakim sposobem cudzoziemiec ten stał się tu poborcą świętego podatku? Wszyscy współcześni z łatwością odpowiedzieć by na to mogli. Rzym roił się cudzoziemcami, a pośród nich znajdowała się ilość znaczna tak bogatych i pilnym przemysłem bogactwa swe zwiększających ludzi, jakim był Monobaz, Żyd także, w którego banku, otwierającym się na Marsowe Pole, świetna młodzież rzymska znaczne zaciągała pożyczki; w którego dłonie piękne ręce niejednej patrycjuszki składały w zamian garści sestercji drogocenne zastawy; który niemi-

łosierną lichwą gniółł pnący się ku świetnościom patrycjatu stan średni; któremu na koniec panujący obecnie cesarz oddał w dzierżawę niejedną gałąź państwowych dochodów. Panującym obecnie cesarzem był Wespazjan chciwie zgromadzający i skrzętnie oszczędzający grosz publiczny zbrodniczo i marnie przez lat tyle trwoniony w szalonych orgiach Nerona i strasznych burzach wojen domowych. Stary żołdak, w mowie i obyczaju gruby, z sercem o dobro publiczne dbałym, nie wahał się podnosić pieniędzy z najbrudniejszych źródeł ani brać go z rąk najwątplingszych. Nie czyniły mu też wstrętu pieniądze brane z lichwiarskich rąk Monobaza, które zresztą były białymi i w drogocenne pierścienie przybranymi rękoma. Białe te i drogocennie przystrojone ręce nie mogły same otrzymywać z rąk pielgrzymów podatku należnego gajowi Egerii. Zastępowały je w czynności tej wychudłe, drżące, szerniałe palce Menochima. Dlaczego Menochim oddawał się czynności tej przynoszącej mu w korzyści suchy chleb nędzarza, a nawet pilnie, w imię plemiennej wspólności, starał się o nią u Monobaza? Kto wie? Być może, iż w sposób inny na byt powszedni zarabiać nie dozwalały mu te przepaściste zadumy, które odbijały się w jego oczach, na ustach i na wskrós zornej twarzy. Być może, iż nieustannym medytacjom jego dobrze było w tym miejscu bezludnym i cichym. Być może, iż zieleń gaju nieco spokoju wlewała mu w płonące źrenice, a świergot ptactwa i srebrne dzwonienie strumienia ponure pieśni jego duszy przerywały niekiedy słodką nutą pociechy, nadziei.

Na złoconej balustradzie, zgarbiony, stopami ziemi nie dotykając, siedział on przez długie godziny i patrzył na miasto olbrzymie, kąpiące w słonecznym blasku niepokalaną białość swych marmurów, złote kopuły świątyń, wdzięczne łuki bram tryumfalnych, strzeliste szczyty pałaców swych i grobowców; patrzył i zdawało się, że widokowi temu nigdy napatrzeć się dosyć nie mógł. Nie uwielbienie przecież bogactw i piękności tyłu malowało się w oczach i uśmiechach jego. Malowało się

w nich często osłupiałe jakby zdziwienie. Zaczynał z kimś bardzo cicho rozmawiać. Zapytywał:

— Odsłoń powieki moje i okaż mi, dlaczego wiecznie cieszą się i tryumfują nie prawi, lecz silni? Otwórz rozum mój i naucz mię, jakimi są drogi Twoje, bo ich zrozumieć nie mogę. Czy sprawiedliwy żyje po to, aby cierpieć? czy sprawiedliwości uczysz go dlatego, aby nieprawość serce mu szarpała? Czy lud jeden na to zamieszkuje ziemię, aby miażdżyły go stopy innego? I któż przed Tobą prawi? Rabusiowiż to czy rabowanemu miłość swą okazujesz? Oto pierwszy w dziedzictwie swoim rozkoszy, bogactw i długiego żywota zażywa, a drugi pada na skrważonej niwie lub na ziemi wygnania tęskno pogląda w stronę, gdzie gruzi Syjonu...

Z usianego iskrami powietrza żadna nie przybywała odpowiedź; tylko wrzawa wielkiego miasta wzdymając się na chwilę przesyłała tu echo radosnego, hucznego akordu, a złoczone szczyty gmachów, rozgorzałe w słońcu, buchały ku niebu płomiennym hymnem siły i tryumfu. Spojrzenie Menochima zmieniało kierunek i w innej stronie spotykało się z widokiem drogi Appijskiej, która spod pysznych łuków kapueńskiej bramy wybiegając, szeroka, prosta, w nieścignionej okiem dali przepadająca, zdawała się być ramieniem olbrzyma wyciągającym się dla objęcia połowy świata. Przez dnie całe panował tam hałaśliwy natłok ludzi i zwierząt. Menochim z oddali dostrzegał sunące po wielkiej drodze wozy ładowne towarami, przez osły i muły ciągnięte, i inne jeszcze, lekkie, ozdobne, unoszone bystrymi końmi o chyżych nogach i rozwianych grzywach. Pomiedzy wozami widział on przewijające się postacie jeźdźców z pysznymi rumakami zrosnięte jakby we wdzięczną i dzielną całość albo na ramionach niewolników niesione lektyki połyskujące kosztownymi ozdobami, z których wnętrza wychylała się czasem utrefiona głowa kobieca lub powiewała purpura zdobiąca senatorską szatę. Czasem też drogę zalegał oddział pieszego lub konnego wojska, a wtedy w metalowych tar-

czach, pancerzach, szyszakach słońce rozżarzało oślepiające pożary, tętent stóp ludzkich i zwierzęcych biegł po bazaltowych płytach przeciągłym grzmiotem, w powietrzu rozsypywały się miliony krótkich, metalicznych dźwięków, a towarzyszyły im ogromne, chóralne krzyki, tysiącem piersi śpiewane zwrotki rycerskiej i tryumfującej pieśni. Wszystko tam było ruchem, wrzawą, blaskiem, śpiewem, śmiechem, potęgą. Menochim kurczowo załamane i ściśnięte ręce swe podnosił ku niebu, a z piersi jego wydobywał się już tym razem nie szept, ale krzyk chrypliwy i krótki:

— A Jerozolima w gruzach leży!

Czasem na ramię jego opadała dłoń ciężka, a gruby głos w półwesół, w półszczydersko wołał:

— Czegoś tak wpatrzył w niebo baranie ślepie swoje, ty, Judejczyku, brudasie, żebraku z końca świata? Czy nie widzisz, że chcemy wejść do świętego gaju? Dlaczegoż nie wyciągniesz chciwej łapy swej, abyśmy w nią asy nasze złożyć mogli?

Menochim budził się z zamyślenia i spostrzegał dwu czy trzech ludzi owiniętych w grube, brunatne togi, z twarzami osłoniętymi cieniem kapeluszy o szerokich brzegach. Z ubioru i zachowania się poznać można było, że ludzie ci nie należeli wcale do bogatych i potężnych. Byli to plebejusze, rzemieślnicy może albo pasożyci żyjący z jałmużny udzielanej im przez możnych lub państwo. Nic to! przybysza, obdartusa, syna ziemi podbitej, której stolicę i świątynię przed dwoma zaledwie laty w gruzy obalił mężny i świetny Tytus, i oni nawet lżyć mieli prawo. Nie byliż zwycięzcami? I nie byłże to człowiek różniący się z nimi ubiorem, obyczajem, językiem, wiarą? Wracając z gaju nagabywali go pytaniem:

— Możesz głodny? Mamy tu oto kawał pieczonej świni i chętnie przysmakiem tym podzielimy się z tobą.

Żyd milczał patrząc w ziemię.

Ktoś inny wyglądający na jednego z trefnisiów tych, których pełne były domy możnych, obiegł go raz prośbami:

— Najmilszy! czy nie mógłbyś zaprowadzić mię kiedy do swej bożnicy i pokazać tę głowę oślą, której wy, Żydzi, nabożną cześć składacie? Rad bym bardzo zobaczyć ją i opowiedzieć, com widział, dostojnemu Kryspinusowi; od dni bowiem kilku jest on w złym humorze i jeśli go czym nie ubawię, gotów mię od stołu swego usunąć.

Ten nie żartował, prosił naprawdę i nawet rzewnie, a dla poparcia prośby tej pociągał Menochima za ucho tak, jak to w chwilach czułości czyniła żona Kryspinusa z ulubionym swym pieskiem. Żyd nie zaprzeczał niczemu, milczał jak grób, w ziemię patrzył i tylko drżącą ręką usuwał zwolna dłoń co raz mocniej cisnącą jego ucho.

Inni bywali gniewliwsi i srożsi.

— O wy, przybysze — mówili — patrzeć tylko, jak ze skór zdartych z naszych grzbietów zaczniecie sobie wyrabiać pantofle! Gdybyś ty, psie przeklęty, podatku tego z nas nie wyciskał, cesarz zniósłby go już pewnie i asy nasze pozostałyby w naszych sakiewkach.

Menochim głuchym głosem odpowiadał:

— Nie moje to są pieniądze, które od was biorę. Jestem sługą Monobaza i wiernie oddaję mu wszystko, co mi tu dajecie.

— Niech bóstwa podziemne pochłoną pana twego Monobaza, który z biednego synowca mego, Minucjusza, ostatnią już kroplę krwi wycisnął i kupił sobie za nią pierścień z rubinami! Przy pierwszych igrzyskach głośno w cyrku prosić będziemy cesarza, aby was wszystkich z Rzymu wypędzić rozkazał.

Raz wykwintna postać niewieścia w towarzystwie dwu służebnych przemknęła ścieżką i w milczeniu wsunawszy pieniądze w dłoń Menochima zniknęła w głębiach gaju. Potem cicho stąpając po gęstych trawach wracała; smutne jej oczy,

stęsknione za czymś, po czymś splakane, ciekawie zatrzymały się na ciemnej, zoranej twarzy Żyda. Stała przed nim i uchylając z twarzy gazową zasłonę mówiła z cicha:

— Ubogim jesteś. Bogatym cię uczynię, jeśli odkryjesz mi, w czym znaleźć mogę pociechę i spokój, których ani bogowie nasi, ani bogactwa domu mego dać mi nie mogą. Wy, Azjaci, znacie wiele tajemnic i macie jakiegoś Boga, który podobno w najsroźszych smutkach pociechy wam zsyła.

— Czegóż chcesz? — zapytał Menochim.

Piękna Rzymianka ze smutnymi oczami odpowiedziała:

— Sprzykrzyły mi się bogactwa i rozkosze wszelkie. Nie kocham tego, który jest mężem moim, i żadnego z młodzieńców rzymskich pokochać nie mogę. Pragnę doskonałości, cnoty jakiejś, która by płomieniem rozpałała puste moje serce, bohaterstwa, które by podobne było do bohaterstw przodków moich, Boga tego nieznanego, któremu Grecy budują ołtarze, a który innym być musi od bogów naszych, w których już — nie wierzę.

Żyd słuchał ze skupioną uwagą, a potem zapytał:

— Jeżeli nie wierzysz w bogów swoich, czemużeś nawiedzała gaj Egerii?

— Spragnioną jestem ciszy i cienia... Zamieram w gwarze i blasku. Lubię tu myśleć o miłościach niebiańskich i wielkich ludzkich sercach. Teraz miłości niskie są i płoche, a serca tych, którzy mię otaczają, z żelaza lub błota!

Nad mówiącą w ten sposób kobietą Menochim pochylił się i długo, długo szeptał jej o czymś z tajemniczymi gestami i drżącą siwą brodą. Widać było, że mówił jej, aby kędyś w umówionej porze przybyła, że coś jej obiecywał, a coś przed nią w części odsłaniał. Rzymianka odeszła, a stary Żyd złożył ręce na kolanach i tajemnicze uśmiechy przewijały się mu pomiędzy zmarszczkami twarzy. Dumął i szeptał:

— Droga niezbożnych ciemna, nie widzą, gdzie upadną. Oto potkniesz się, Babilonio, o własne bogactwa i rozkosze

swoje, bo przepojone nimi być zaczynają dusze twoich dzieci. Jako jeleń źródła leśnego, tak szukają one nowego światła!

W czas jakiś potem usłyszał, jak dwaj niewolnicy do gaju dążący rozmawiali o wydarzeniu dziwnym w domu ich pana zaszłym. Pani ich, Flawia, uwierzyła w jakiegoś cudzoziemskiego boga, oblokła się w szaty surowe, do uczt zasiadać przestała, a nawiedzać zaczęła z jedną tylko poufną służebną tę obrzydliwą, cuchnącą dzielnicę miasta, w której mieszkają sami tylko Azjaci, Syryjczycy i Żydzi. Niewolnicy mówili o tym obojętnie i szydersko trochę, tak jak zwyczajnie mawiają słudzy o postępках i dziwnych kapryśkach swych panów, ale zmarszczki na twarzy Menochima drgnęły radośnie, gdy usłyszał on słowa:

— Można Cestiusz, mąż Flawii, gniewa się i smuci, bo pośmiewisko ludzkie uwłacza powadze jego. Z Flawii śmieją się przyjaciółki jej, znajome i podobno sam cesarz, niech długie będzie życie jego.

Dalszych słów rozmowy Menochim nie dosłyszał, lecz z tryumfującym wciąż uśmiechem pomiędzy zmarszczkami twarzy szepnął:

— Tajemnymi są drogi Twoje! Oto nędzny robak w pyle deptany kroplę jadu wpuścił w pyszne serce książęce.

Uspokojony nieco brał wielką księgę, którą przed wzrokiem przechodniów pilnie ukrywał w wysokich trawach, i powoli przesuwając poczynął czytać po wierszach napełniających żółte karty pergaminu. Wzrok jego posuwał się z prawej strony w lewą, a głoski napełniające książkę nie były ani łacińskie, ani greckie, lecz przedstawiały te kręte i zmieszane wzory, które znamionują pisma wschodnie. Niedługo przecież oddawał się czytaniu: bądź że mistyczna natura jego nie była zdolną do długiego zespolania się z myślą cudzą, bądź że czytane wyrazy rozżarzały mu w piersi płomień natchnienia, zsuwał się szybko ze szczytu złoczonej bariery, drobnymi, śpiesznymi krokami do buku przypadał, z nabożnym szacunkiem

składał księgę na uprzednim miejscu, a potem zwieszony znowu na twardym i wysokim siedzeniu swym, wyjmował spod sukni drewniane tabliczki i ostrym stylem pisać zaczynał na oblekającej je cienkiej warstwie wosku. Pisał prędko, gorączkowo, z prawa w lewo, tak jak i czytał. Policzki jego zachodziły przy tym zajęciu krwistym rumieńcem, krople potu spływały spod zawoju i często łączyły się na twarzy z obfitymi łzami. Człowiek ten poetą być musiał, jednym z tych, których bezbrzeżna niedola ojczyzny na ognistym wozie cierpienia niosła ku szczytom mistycznych namiętych natchnień.

Raz, kiedy oddawał się on tym pisarskim zajęciom, ścieżką pomiędzy bukszpanami zbliżał się ku niemu człowiek wysoki, młody jeszcze, owinięty płaszczem, którego kapiszon okrywał mu głowę od słonecznego skwaru. W cieniu kapiszona widać było twarz ściągłą i łagodną, a w rysach swych noszącą piętno pochodzenia wschodniego niemniej wyraźne jak to, które odznaczało twarz Menochima. Człowiek ten nie dążył znać do świętego gaju, bo o parę kroków zatrzymał się i przyjaznym okiem wpatrywać się zaczął w piszącego poborcę. Nie chciał mu może przerywać zajęcia, ale gdy końca jego doczekać się nie mógł, przystąpił bliżej jeszcze i półgłosem parę razy zawołał:

— Menochim! Menochim!

Z palców piszącego wypadł styl. Tabliczkę swą ruchem przest్రachu za suknię ukrył i na przybyłego podniósł oczy ogniem zapału błyszczące i nieco strwożone.

— Nie poznajesz mnie, Menochimie? — zaczął przybyły. — Jestem Justus, sekretarz możnego Agryppy. Bywałem w domu twoim gościem częstym, gdy w nim przebywał jeszcze przybrany syn twój, Jonatan.

Menochim wstrząsnął głową z zadowoleniem widocznym.

— Wybacz mi, Justusie, że nie poznałem cię od razu. Oczy moje starzeć zaczynają...

— Nie — z uśmiechem odparł Justus — ale zajmowała cię robota, której się oddawałaś. Piszesz...

— Ja! ja! — krzyknął prawie Menochim — czyżbym mógł? czyżbym potrafił? nie, to były tylko rachunki, które sporządzałem dla pana mego, Monobaza!

— Ukrywasz się... — zaśmiał się Justus. — Bądź spokojnym, o tajemnice twe dopytywać się nie będę. Nie darmo od lat kilku zostaję przy boku Agryppy i królewskiej siostry jego, Bereniki. Tam tajemnic tyle, co gwiazd na niebie. Nauczyłem się je szanować; alboż ja sam żadnej własnej tajemnicy w pierśiach swych nie noszę? W czasach naszych któż nie nosi w sobie tajemnic, swoich lub cudzych? Twarze inne, serca inne, myśl mowie zaprzecza. Nie pytam cię więc, Menochimie, ani co, ani dlaczego czynisz. Przyszedłem do ciebie w interesie ważnym.

— Słucham cię — poważnie i uprzejmie odpowiedział Menochim.

Justus mówić zaczął:

— Rzecz jest prosta, nie wiem tylko, czy taką wyda się tobie. Oto przyjaciel pana mego, Agryppy, Józef Flawiusz... nie potrzebuję ci mówić, kim on jest... pragnie wziąć do boku swego jednego więcej sekretarza, który by pod kierunkiem jego pisał i przepisywał wielkie rozpoczęte przezeń dzieła. Wiesz, że cokolwiek o Józefie powiedzianym być może, kocha on zawsze naród swój, i otoczenie jego liczne składa się tylko z braci naszych. Polecił mi on i teraz wyszukać Izraelitę umiejącego pisać po grecku. Zadanie to dość trudne. Pomyślałem o tobie. Czy chcesz zająć korzystną i zaszczytną posadę u boku uczonego rodaka naszego, przyjaciela Agryppy i Bereniki, ulubieńca cezara i syna jego, Tytusa?

Menochim słuchał z uwagą ze spuszczonymi powiekami i wtedy dopiero, gdy Justus umilkł, odpowiedział:

— Dziękuję ci, Justusie, za pamięć twą o mnie, ale przybocznym Józefa Flawiusza nie zostanę za nic.

Justus nie okazał zdziwienia i spokojnym głosem przemówił znowu:

— Płaca do urzędu tego przywiązana znaczną jest. Miejszkanie w pałacu Agryppy, miejsce przy stole jego i dwadzieścia tysięcy sestercji rocznie... pomyśl.

— Za nic — krótko i spokojnie powtórzył Menochim.

— Na miejscu tym zostając tysiąc przysług oddawać mógłbyś biednym braciom naszym...

— Za nic, Justusie!

— Masz dziecię przybrane, Mirtale... której młodości potrzeba świeższego niż na zatybrzańskim przedmieściu powietrza...

— Za nic, Justusie!

— Starość, Menochimie, zbliża się ku tobie wielkimi krokami. Gdy niemoc przykuje cię do łoża boleści, gdy zmęczone ręce twe żadnej już pracy jąć się nie będą mogły, w Agryppie i Józefie znajdziesz hojnych dobroczyńców i opiekunów troskliwych...

— Za nic, Justusie!

Justus milczał chwilę, namyślał się, a potem tak cicho, jak gdyby lękał się, aby go nawet dęby i buki świętego gaju nie usłyszały, zapytał jeszcze:

— A jeśli... a jeśli Jonatan, to ukochane dziecko twoje, ten rycerz bohaterski, ten biedny wygnaniec, którego teraz palą zapewne afrykańskie skwary i tysiąckroć sroższe od nich rozpacze, jeśli on... wróci? Czym osłonisz go przed niebezpieczeństwem? Kogo weźmiesz dla niego na obronę? Agryppa i Flawiusz skutecznie bronić go mogą: jedno skinienie białego palca Bereniki usunie szyję jego spod topora albo ciało jego wydrze płomieniom stosu...

Menochim zadrżał od stóp do głowy, wzniesione do góry jego ramiona zatrzepotały w powietrzu jak skrzydła zranionego ptaka, a z piersi wydarł się krzyk przeciągły:

— Justusie, Justusie! po co mię kusisz? Jonatan mój... To prawda! Jego szyja skazana pod topór... a może, jak Goriasza,

rzucą go w płomienie stosu i gawiedź rzymska szaleć będzie z radości na widok mąk i śmierci jednego z ostatnich obrońców Syjonu... O Justusie, coś ty mi powiedział! Zakląłeś mnie na szyję najmilszego dziecka mojej duszy, tego, którego niemowlęciem wyrwałem, wykupiłem z niewoli Edonu! Tak, Justusie, Agryppa obronić go może, Flawiusz zasłonić go może, Berenika... o!

Nie siedział już na ostrzu bariery, lecz rozciągnięty pod stopami buku, z dłońmi załamany nad głową, czoło zanurzał w wysokiej trawie. Z piersi jego wychodziły wciąż zmieszane krzyki:

— Jonatan! Jonatan mój! rycerz bohaterski! Tułacz nieszczęsny... czym ja go osłonię? Kogo wezwę dla niego na obronę! O, Ty! gdzie miłosierdzie Twoje?

Justus milcząc ze współczuciem patrzył na paroksyzm rozpaczony wstrząsający ciałem i duszą starszego jego rodaka. Żrenice nawet jego zwilgotniały nieco i kształtne usta zacisnęły się z wyrazem niemego, do milczenia znać przyzwyczajonego bólu. Powoli Menochim uspokajać się zdawał. Z twarzą przyściśniętą do ziemi myślał. Sporo czasu upłynęło, zanim z ciężkością powstał i pałające oczy swe spod zawoju w twarzy Justusa utkwivszy powtórzył znowu:

— Za nic!

Justus pochylił głowę.

— Spodziewałem się twojej odmowy, miałem jednak nadzieję, że przedstawienia moje...

— Jakimiż są one, Justusie? — drżącym jeszcze, lecz uspakajającym się głosem zapytał Menochim. — Ubóstwo? Alboż nie najwłaściwszym jest ono synowi obalonego grodu? Mirtala? Alboż jej także nie wyrwałem, jak Jonatana, z edomskiej niewoli? Niech dzieli czarny chleb mój i wraz ze mną oddycha powietrzem nieszczęścia. Jonatan? On pierwszy, on najbardziej odradzałby mi dzielić bogactwa i rozkosze tych, którzy zaparli się, odstąpili sprawy ojczystej i świętej.



Ostatnie wyrazy wymówił z błyskiem nienawiści w oczach. Justus po chwili milczenia odparł:

— Zbyt surowym jesteś, Menochimie, i sądy twoje mają szybkość, którą nadaje im ogień twego serca. Ani Agryppa, ani Józef, ani nawet Berenika zaprzańcami nie są. Uroczyście i jawnie obchodzą oni wszystkie święta nasze, hojnie wspomagają pieniędzmi nieszczęśliwych braci...

— Ale serca ich, Justusie, serca, serca! — przerwał Menochim, i tysiąc wzgardliwych uśmiechów wstrząsnęło zmarszczkami jego twarzy. — Serca, Justusie — powtarzał — które przyłgnęły do grzechów i zbytków Edonu; dłonie ich, Justusie, które codziennie serdecznymi uściskami łączą się z dłońmi naszych wrogów! Józef Flawiusz przy stole Wespazjana! Berenika w objęciu Tytusa, tego samego Tytusa... o Ty! gdzie sprawiedliwość Twoja!... który żużel pożaru rzucił na naszą świątynię! Agryppa chodzi w szacie senatora rzymskiego z sześciorakimi liktorami, którzy zebranych braci jego jak psy spędzają mu z drogi. Cha! cha! cha! I ty, Justusie, mówić śmiesz, że oni zaprzańcami nie są! Święta nasze obchodzą! Sabaty święcą! „Miłości potrzebuję, nie ofiar!“ — mówił Pan ustami proroka. Ubogich braci datkami obdarzają! A w pałacu Agryppy złoto ze ścian kapie! A ileż kosztuje pierścień drogocenny, który na palec Bereniki włożył pogromca jej ojczyzny? A jakaż jest cena podarków, które Józef Flawiusz otrzymał od Popei, rozpustnej żony strasznego Nerona? Niech sami żrą i piją bogactwa w ten sposób zdobyte! Moje usta ich nie dotkną...

Justus w pozornym spokoju wysłuchiwał namiętej tej mowy, lecz w cieniu kapiszona czoło jego zaszczoła rumieńcem.

— Cóż więc mniemasz o mnie, Menochimie? — zapytał z cicha — o mnie, który mieszkam w ich złoconych ścianach i jem przy ich wspaniałym stole?...

Menochim w zamyśleniu pochylił głowę; po chwili zaczął z cicha:

— Kocham cię, Justusie, boś był najlepszym przyjacie-

lem Jonatana mego, bo znam duszę twoją i wiem, że mieszkają w niej miłość i wierność. Głód wysuszał ci kości, schroniłeś się przed nim pod dach Agryppy. Łagodnym byłeś zawsze, zwolennikiem słodkiej nauki Hillela, która od nienawiści odwodzi i krwią się brzydzi... Ach! i jam kiedyś był hillelistą! Serce miałem gołębie, a piłem tylko słodki miód przyjaźni i zgody. Ale Justusie, żaden pieprz nie pali tak podniebienia i żadne wino taką burzą nie kipi w głowie, jak doznane krzywdy! I patrz, Justusie, oto są jeszcze szkody, które pognębiel sprawia pognębiemu: twoja czysta dusza brudzić się musi w służbie u niezbożnych, moje słodkie serce zapłynęło jadem!

Długo milczeli obaj. Justus po długiej chwili bardzo cicho przemówił jeszcze:

— Czy nie masz nowych wieści o Jonatanie?

— Żyje — krótko odpowiedział Menochim.

— Niech będzie Pan pochwalonym! On to wydzierał go dotąd z rąk prześladowców. Żegnam cię, Menochimie.

— Pokój niech będzie z tobą, Justusie.

Justus odszedł, lecz po kilku krokach wrócił.

— Jeżeliby... — zaczął — jeżeliby Jonatan... do domu twego przybył, daj mi o tym wiedzieć. Może będę mógł stać się mu w czym użytecznym... Pozwól, abym przynajmniej w miarę możliwości przyjaźń moją wam okazywał!

Menochim twierdząco skinął głową. Nie przyjął więc korzystnej posady u boku bogatego rodaka swego i tak jak pierwej, przychodził tu codziennie o wschodzie słońca, aby aż do zmroku stróżować nad wejściem do świętego gaju. Miejsce, na którym siadywał, nie było wygodnym, a jednak znajdowali się tacy, którzy mu go zazdrościli. Jednym z zazdroścących był Silas, Syryjczyk, w brudnoczerwonej tunice, skórzanym pasem przepasanej, z bosymi stopami, głową wpółłysą a wpółryżą i z chytrą, złośliwą, cyniczną twarzą. Był on z profesji lektykariuszem, czyli najemnikiem do noszenia lektyk.

Ale znaczną część życia spędziwszy w niewoli, świeżo przez testament pana swojego wyzwolony, pragnął żyć na wolności beczynninie i hulaszczu. Noszenie lektyk było pracą zbyt ciężką dla ciała jego, wyniszczonego naprzód przez chłosty, których nie gojące się nigdy ślady na plecach swych nosił, potem przez rozpustę, w którą, raz wyzwolony, rzucił się z pijaną radością. Wolałby o wiele beczynninie przesiadywać dnie całe w rozkosznym cieniu gaju Egerii. Nie siedziałby, tak jak Menochim, na twardej barierze, ale rozciągałby się miękko na chłodnym i bujnym podścielisku trawy. Nagie stopy jego wygrzewałyby się na słońcu, a zwinne ręce umiałyby część otrzymywanych tu asów do własnej wsuwać sakiewki; przyprowadzały tu z sobą parę towarzyszy i gwarzyliby wesoło grając w rzucanie monet w cetno i lichu albo nawet w kości i popijając trypolitańskie wino, na które stać by było poborcę świętego podatku, a które, choć cienkim jest i poślednim, błogo rozlewałoby się po gardłach bosych wyzwoleńców. Gdyby nie ten przeklęty Żyd, co tu przed kilku laty i jakby na wieki zasiadł, za pośrednictwem jednego ze sług Monobaza, który mu był przyjaznym, dopiąłby niezawodnie celu swoich marzeń. Toteż Menochim w chwilach, gdy najbardziej zanurzonym był w czytaniu lub pisaniu, wzdrygał się czasem nagle, zeskakiwał z bariery i z przestrachem oglądał się dookoła. Przyczyną przestrachu jego był krzyk lub świst przeraźliwy, nieludzki, do ryku zwierzęcia lub gwizdu drapieżnego ptaka podobny, który nagle rozlegał się nad samym jego uchem. Rozglądał się i nie spostrzegał nic, lecz zaledwie z przestrachu swego ochłonąć mógł i znowu do rozmyślań swoich lub natchnień powrócić, o nogę jego uderzał kamień, tak zręczną rzucony ręką, że dolegliwie raził mu stopę i płytki sandał na ziemię zrzucał. Jednocześnie spostrzegał giętką postać w brudnoczerwonej bluzie, która rzucając w powietrze bosymi stopy kryła się pomiędzy drzewa, a spomiędzy gałęzi drzew wychylała się ku niemu ciemnoskóra, małymi oczami

błyskająca, zjadliwym uśmiechem wykrzywiona twarz Silasa. Innym razem wśród ciszy najgłębszej zza drzewa jakiegoś lub wypukłości gruntu wyskakiwał Silas i z dłońmi wspartymi na kłębach, z wyszczerzonymi zębami rozpoczynał przed nim dziwaczne skoki i pląsy. W błękitnym, położonym powietrzu, na tle pustego pola i cichego gaju zwinna, bosa, brudno odziana postać Syryjczyka miotająca się w skokach i gestach cynicznych miała w sobie coś piekielnego. Z wyszczerzonych ust jego leciał grad naigrawających się albo bezwstydnich wyrazów. Menochim zamykał oczy, ale uszu zamknąć nie mógł. Cierpiał i milczał. Milczał też, gdy w fałdach swej sukni znajdował nie wiedzieć skąd tam biorące się kawały wieprzowego mięsa, które ze wstrętem od siebie odrzucał. Nie mógł jednak milczeć dłużej, gdy raz o zmroku wracając do domu i zbliżając się ku przedmieściu spostrzegł kilku ludzi goniących wąż i chyżą dziewczynę. Dopędzana niemal dziewczyna krzyknęła. Menochim poznał głos przybranej córki swej, Mirtali. Jak wściekły rzucił się naprzód, ale dwóch nadchodzących poważnych mężów zastąpiło drogę ścigającym, którzy pierchnęli. Pierchającymi byli: Silas i przyjaciele jego, Syryjczycy także, lektykariusze i tragarze.

— Czego chcesz ode mnie? jaką jest wina moja przed tobą? — zapytał nazajutrz Menochim Silasa, gdy ten, jak często bywało, ukazał się w pobliżu gaju Egerii.

— Chcę, abyś mi miejsca tego ustąpił — odpowiedział Silas — a winą twoją jest to, że jesteś psem judejskim, któremu podobnych rok temu Syryjczycy w Antiochii dwadzieścia tysięcy wymordowali. Jeżeli tam wymordowano was tyłu, dla-czegóżbym ja jednego zadusić nie mógł?

— Niech zlituje się nad tobą Pan, człowieku czarnych myśli i okrutnego serca! Pomyśl! Judea i Syria to dwie rodzone siostry. Jednym mówimy językiem, jednego czcimy Boga. Plemię nasze z jednego korzenia ród swój wiedzie.

— Bodajbyś zgorzał w ognistym objęciu Molocha! Twoja

jedność języka i plemienia, i Bóg twój, i Judea, i Syria tyle mię obchodzą, co podeszwa zdartego sandała. Pić chcę, a za pieniądze, które ci płaci Monobaz, napiłbym się do syta. Leżeć chcę, a ty zajmujesz miejsce to, na którym mógłbym wylegiwać się spokojnie. Dlatego postanowiłem albo spędzić cię stąd, albo wydrzeć ci z gardła twoją żydowską duszę.

— Skarżyć cię będę! — spokojnie, lecz stanowczo rzekł Menochim.

— Wyj, psie! skrzecz, żabo! sycz, podły gadzie! Zobaczmy, czy cię pan twój, Monobaz, ludożerca, na którego wielu szlachetnych Rzymian dawno już ostrzy zęby, od pazurów Silasa obronić potrafi!

Menochim poszedł do Monobaza, Silas skarconym został; przez całe dni dziesięć nie widać go było nigdzie. Ukazał się jednak znowu, ale Menochima dręczył zaprzestał. Pilnie tylko szukał sposobności spotkania się z nim i gdy tylko ją znalazł, w milczeniu podnosił ramię i wykonywał ręką niemy gest groźby. Raz tylko oko w oko spotkawszy się z Menochimem w tłoku ludzi napełniającym rynek, mijając go ponurym głosem rzekł:

— Nienawiść tajona sroższą jest niż jawna. Nadejdzie kiedyś godzina Silasa!

W południe Menochim na barierze swej siadając jadał chleb przysypany cebulą i popijał go wodą zaprawioną octem; czytywał, pisał, dumał, w milczeniu znosił obelgi i żarty przechodniów, w milczeniu dźwigał ciężar naigrowań się i grózb Syryjczyka. W zmieszonym chaosie ścian i dachów Rzymu z łatwością rozpoznać mógł miejsce, gdzie wznosił się pałac Agryppy, będący zarazem mieszkaniem Józefa Flawiusza, który go do boku swego zapraszał. Nigdy kierując się ku miejscu temu oko jego nie zaszło żalem ni zazdrością. Często natomiast płonęło ono oburzeniem. Często także plecy jego garbiły się tak bardzo, jakby spoczywał na nich ciężar ogro-

my. Drżącymi usty powtarzał wtedy imię Jonatana, rycerza, tułacza, skazańca...

Ale na wszystkie te udręczenia swoje posiadał on widać tajemniczy jakiś, kojący balsam. Codziennie, gdy ognista tarcza słoneczna kryła się za purpurowy skraj widnokregu, blaski wielkiego miasta gasły i gwary jego milkły, gdy z szafirów niebieskich spływały na ciche pola przezroczyście woale zmroku, a w głębi gaju coraz wyraźniej i srebrniej dzwoniły wody strumienia, Menochim opierał twarz na dłoni i ze wzrokiem błędzącym wysoko z rytmicznie i powoli kołyszącą się postacią zapadał w niemą, pogodną zadumę. Być może, iż wtedy zmartwychwstawał w nim hillelista, człowiek z gołę-bim sercem brzydzącym się niezgodą, krwią i przekleństwem. Twarz jego uspokajała się, usta traciły zbolaty swój zarys, w źrenicach gasła namiętność. Cicho, przeciągle śpiewał pieśń nadziei:

„Jako chmura przechodząca minie niezbożnik; sprawiedliwy jako fundament wieczny...”

„Ścieżka sprawiedliwych jako pas światła ściele się w górę, ku dniowi tryumfu...”

„Oczekiwanie... nieszczęśliwych wesele. Czekaaj, narodzie mój, dnia sprawiedliwości!”

Wyraz cichej radości twarz jego oblewał, gdy patrząc w niebo mówił:

— Ty, którego imienia nie umięją wymówić usta moje, dziękuję Ci, żeś i na mnie spuścił chłostę, którą braci moich dotknąłeś, bo stokroć i tysiąckroć lepiej jest cierpieć z pogńębionymi, niżeli zażywać rozkoszy z pogńębiicielami...

Wstawał, księgę swą wyjętą z ukrycia starannie krył w fałdach sukni i ścieżką usłaną bazaltem a wysadzaną bukszpanami spokojnie, z wyprostowanym grzbietem i nawet z jakąś niby dumą w podniesionej głowie dążyć zaczynał ku dzielnicy miasta noszącej nazwę Transtiberim, czyli Zatybrze.

II

Transtiberim była to XIV dzielnica Rzymu zamykająca w sobie dwa wzgórza: Janikulskie i Watykańskie. Z przeciwległej strony Tybru na siedmiu pierwotnych, kolebką jej niejako będących pagórkach zgromadzały się wszystkie świętości, blaski i potęgi wielkiej stolicy; tu znowu rozległe publiczne ogrody noszące nazwy Cezara i Agryppiny, jako też otoczone ogrodami wille możnych okrywały szczyty i stoki dwu wzgórz przedmiejskich gęstą zielenią, wśród której jaśniały tu i ówdzie śnieżne, wspaniałe łuki i sklepienia bram wiodących poza obręb miasta. Tu także, u stóp Janikulu, na ciasnej przestrzeni zamkniętej ścianą wzgórze i brzegiem rzeki, naprzeciw łuku Germanikusa, który bogatą jakby klamrą zamykał spuszcającą się z Awentynu Ostyjską ulicę, szarzała rojem niskich domków ta część zatybrzańskiej dzielnicy, którą wyłącznie zamieszkiwali Syryjczycy i Żydzi. Miejsce to różniło się od innych części miasta nie tylko rozmiarem ulic swych i budynków, ale także odrębną całkiem architekturą tych ostatnich i nade wszystko fizjonomią zamieszkującej je ludności. I po przeciwległej stronie rzeki istniały miejsca ubogo i ciasno zabudowane. To na przykład, które nosiło nazwę Subury, ulice miało wąskie, domy stłoczone i kruchością swą budzące przestrach przechodniów. Niemniej przecież były to domy wysokie, sześciu nieraz piętr dosięgające, przyozdobione kolumnadą, której cegły i gipsy słabo naśladowały marmury wspanialszych części miasta; wąskie nawet zaułki posiadały tam wysłanie z lawy lśniacej jak ciemne zwierciadło,

a tu i ówdzie ozdabiały się posągami przedstawiającymi bóstwa niebieskie lub uwielbianych ziemian. Tam także nikt słyszeć nie mógł mowy innej nad łacińską lub grecką, a twarze ludności, grube i często wynędzniałe, nosiły jednak w rysach swych wyraźne dowody pochodzenia swego od starożytnych Kwiryków albo Hellenów, będących w Rzymie dawnymi już i poufałymi gośćmi. Na zatybrzańskim przedmieściu całkiem było inaczej. Setki może krótkich, wąskich, krętych uliczek wiły się dokoła domków jednopiętrowych, niskich, z dachami płaskimi, otoczonymi balustradą, a zwieńczonymi rodzajem trójkątnej budki smutnie spoglądającej jedynym oknem bez szkła, które było zbytkiem w tym miejscu nieznanym, a zastępowanym szybami z pęcherza albo szmatami przepojonych woskiem materii. Architektura taka Rzymianom była obcą, dopóki jej tu nie przywieźli z sobą wędrowcy z Judei. Trójkątna budka owa nad płaskim dachem stercząca zawierała w sobie izdebkę powiększającą szczerpłe na dole mieszkanie i noszącą nazwę *aliga*; dach płaski otoczony balustradą rozszerzał ciasną i duszną przestrzeń tworząc rodzaj tarasu, na którym jadano, modlono się i często spano. Domki te, uliczki i ciasne placyki zalegała ludność płci obu, w strojach całkiem też różnych od tych, które noszono w innych częściach miasta. Nie było tu ani tog brunatnych, szkarłatnych lub białych, ani tunik obcisłych, wytwornych, wzorzystych, ani kobiecych *stolli* z rzęsimi haftami, ani zalotnych zasłon, lekkich jak obłok, opływających kształty uwydatnione lśniącymi od metalowych ozdób pasami. Mężczyźni nosili tutaj długie do ziemi, luźne, grubym, wełnianym zwojem ściśnięte w pasie suknie, *chithoneth* zwane, głowy zaś ich dźwigały ciężkie turbany łamiące się w twarde załomy, a opuszczające na oczy i policzki cienie wysokich gzymsów. Same turbany te były dziełem zawikłanym, którego wykonania ani podjąć się, ani zrozumieć by nawet nie mógł gołogłowy najczęściej, a czasem lekkim kapeluszem lub kapiszonem pla-

szcza głowę swą okrywający Rzymianin. Kobiety za to jaśniały sukniami swymi jak różnobarwne kwiaty na łąkach. Zielono, błękitno, żółto robiło się w oczach przybyszowi, gdy patrzył na gromadę niewiast tutejszych, skoro zbiegły się one dla sprzedaży lub kupna na jeden z ciasnych placyków albo długim szeregiem w poufalej gawędzie obsiadły ścianę jednego z domów. Złoto ani srebro nie świeciło na pasach otaczających kibicie ich, ale były to lniane lub bawełniane wstęgi mieniące się pysznymi wschodnimi wzory. Starsze głowy i czoła swe na wzór mężczyzn ukrywały w turbanach śnieżnych lub wzorzystych, młodsze spuszczały na plecy bogactwo kruczych albo ognistych warkoczy i nierządno, idąc, pobrękiwały chórem dzwoneczków kołyszących się u wysokich sandałów ich z czerwonej lub wzorzysto wyciskanej skóry. Wszystko to, mężczyźni, kobiety i dzieci kędzierzawe, wpólnagie, mówiło językiem całkiem w innych miejscach Rzymu nieznanym, będącym zlewem dwu mów wschodnich: syryjskiej i chaldejskiej. Język ten, przez mieszkających tu Syryjczyków także używany, mnóstwem zawartych w sobie brzmień gardłowych przyciszoną nawet rozmowę zmieniał w gwar głośny, a byle trochę ożywionym słowom nadawał pozór kłótni. Nieustanny i głośny gwar, który tu panował, zwiększał się znacznie przez wielką ruchliwość ludności tej, przez bliskie sąsiedztwo portu i przez mnóstwo nagromadzonych tu fabryk. Ludność ta była ruchliwą. Wprawdzie mężowie w podeszłym wieku, zgarbieni i zadumani, przesuwali się często wśród tłumu wlokącym się krokiem nieszczęśliwych; młodzieńcy nawet miewali zmęczone i posępne twarze, a spod turbanów okrywających czoła niewieście patrzyły oczy trwożne lub spłakane; wprawdzie na całej ludności tej widocznym było piętno chorobliwego istnienia na ziemi obcej i pod obcym słońcem, niepokoju i trosk tułaczki, świeżych, nie przepłakanych jeszcze żalów i twardej walki z ubóstwem, niemniej jednak była ona ruchliwą; sprężyste, żwawo, z na-

miętnymi ruchami i zanoszącym się gwarem krzątała się około zajęć mnóstwa. We wnętrzach domów słycać było furczenie wrzecion i skrzyp tkackich krosien; rozlegał się stuk narzędzi uderzających w żelazo; widać było głów mnóstwo schylonych nad misternym oprawieniem w brąz szkieł kolorowych lub szlifowaniem i rzeźbieniem drogich kamieni; dławiące zapachy wonnych kor i korzeni znamionowały dokonywające się wyroby perfumiarstwa. Gdzie indziej na odkrytych, lecz ciasnych przestrzeniach mnóstwo ludzi mieszało ze słomą ogromne masy gliny i pracowitym wydeptywaniem jej nogami przerabiało ją na piętrzące się stosy cegieł; tam znowu okręcały się z łoskotem koła i warczały kamienie garnarzy; ówdzie gromady haftarzy ze zgiętymi nad krosnami plecy w podnoszących się wciąż i opadających rękach błyskały różnobarwnymi, złotymi i srebrnymi niciami. Dalej nieco były garbarnie nadające skórom różną cienkość i barwę; a dalej jeszcze ciekące po ścianach i progach płyny ze wstrętliwym pozorem i zapachem świadczyły o farbiarskich zajęciach. Kilka oberży brudno i posepnie wyglądających buchało na zewnątrz hałasem grubych głosów i wonią najpośledniejszych napojów, a dokoła nich zbierali się w krzykliwe gromady idący po zarobek do miasta lub z miasta powracający lektarzy i tragarze. Tragarzy, Syryjczyków i Żydów, pełno bywało szczególnie w tym miejscu, gdzie na żółtych falach Tybru przybyłe zatrzymywały się statki ładowne towarem przysyłanym tu z wielkiego nadmorskiego portu Ostii. Statki przybywały nieustannie; nieustannie też u brzegu rzeki panował tłok ludności żeglarskiej zmieszanej z tą, która zdejmując ze statków towary składała je u brzegu w spiętrzone stosy albo na grzbietach mułów i osłów i na wozach zaprzężonych mułami i osłami uwoziła ku mostom, kilku kłamrami spinającym brzegi rzeki. Stuk więc, skrzyp, gwizd i warczenie narzędzi rzemieślniczych i fabrycznych, przeciągłe wołania żeglarzy przywodzących do portu towa-

rowe statki i chóralny, potężny plusk ich wiosł, turkot wozów, tętent stóp zwierzęcych, hałasy oberż łączące się z rozmowami i kłótniami męskich głosów, z gwarą kupujących i sprzedających niewiast, z wesołymi lub płaczliwymi krzykami mnóstwa dzieci wytwarzały wrzawę ogłuszającą, jak nieustanny grzmot huczącą w ciężkim, dławiącym, smrodliwym powietrzu. Olbrzymie ścieki i podziemne kanały, które od wieków z nieporównaną doskonałością Rzym oczyszczały, tej jego dzielnicy oczyścić nie mogły. Wyraźniej jeszcze może niż w ubiorach, mowie i rysach twarzy Wschód ukazywał się tu w nagromadzonych wszędy śmieciach, w ciekących swobodnie mętnych i cuchnących wodach, w ostrych lub mdławych zapachach ulatujących z kuchen. Kuchenne zapachy cebuli i ryb nadgniłych mieszały się w powietrzu z gęstym dymem garbarni, z gryzącym smrodem farbiarni, z odorującą wonią myrry, kasji, aloesu, szafranu, cynamonu, aromatycznych kor i korzeni unoszącą się z fabryk perfum. Wszystko to złączone z wyziewami, jakie wydaje zazwyczaj ciężko uznojona i od wytworności daleka ludność, tworzyło atmosferę, którą by żadna pierś miejscu temu obca bez szkody i cierpienia oddychać nie mogła. Przenigdy też nie ukazywał się tu nikt z wytwornego rzymskiego świata, i każdy z tych, którzy na Kapitolu, Awentynie lub cesarskim Palatynskim wzgórzach przechadzali się po zwierciadlanym bruku z lawy, w świeżym i wonnym cieniu pałaców i portyków, spoglądał na mrowisko to ścielące się po przeciwnej stronie Tybru wzgardliwie, niechętnie, co najmniej obco. Zejść tam, pomiędzy te niskie, płaskie dachy, w tę ludność szwargocącą językiem niezrozumiałym i barbarzyńskim, w pył ten, dym, smród i wrzask, wstrętniejszym i straszniejszym dla każdego z nich byłoby zadaniem niż przepłynąć morze i wylądować u brzegów Afryki lub Brytanii.

Jeżeli jednak z góry ku dołowi nie zstępował nigdy nikt, z dołu ku górze wspinało się mnóstwo istot codziennie od

mrowiska tego odrywających się i niezmiennie do niego powracających. Codziennie mnóstwo Żydów starych i młodych nie przemieniając ojczystego stroju swego na żaden inny opuszczało Transtiberim, przebywało jeden z mostów i szerekami, wspaniałymi ulicami wstępowało na zamieszkiwane przez panów świata wzgórze. Byli to prawie powszechnie przekupnie roznoszący po mieście towary w dzielnicy ich wyrabiane, a które oryginalnością swą zaciekawiały i pociągały Rzymian. Jeden z przekupniów takich niósł na sprzedaż biżuterię tanią, lecz błyszczącą, bo wyrabianą ze szczątków naczyń z zabarwionego szkła i kryształu w domach możnych stłuczonych a skrzętnie przez mieszkańców Zatybrza nabytych i zużytkowanych. Inny pociągał wzrok pękami ślicznych sandałów kobiecych z czerwonej i wyciskanej skóry; inny jeszcze powiewał wstęgami pysznych pasów, albo rozwijał tkaniny okryte wschodnimi wzorami, albo pobrzękiwał wyrobami z miedzi, brązu i żelaza, albo jeszcze okazywał na pierścieniach i spinkach misternie rżnięte kamienie lub fantastycznych kształtów naczynia, pełne płynów i maści z wonią nieznaną. Na to obfite napływanie w ich miasto i w łono przemysłu ich tego obcego pierwiastku wielu Rzymian dla przyczyn rozlicznych patrzyło niechętnie. Niechętnie patrzył na pokornego, brudnego przybłądę dumny i wytworny patrycjusz, a szlachetny patriota dostrzegął w nim jeden z pierwiastków osłabiających moc jego ojczyzny. Niechętniej jeszcze, wzdardliwiej spoglądał na niego myśliciel widzący w nim hołdownika przez niego już porzuconych wierzeń i przesądów. Najnieawistniejszym okiem pożerał go kupiec i fabrykant, którego arkadę mijano dla przyjrzenia się jego towarom. Plebs uliczny, gawiedź spragniona wszelkich wrażeń i widoków nowych ściagała ich ciekawością swą z hucznym śmiechem, drwiąc z niezrozumiałej ich mowy, z dziwactw ich stroju, z chudości nawet ciał ich i ciepłego milczenia ust. Niejeden patrycjusz, filozof, kupiec, którzy by z ulic Rzymu zdmuchnąć ich pragnęli,

OKRĘGOWY

ŚRODEK KSZTAŁCENIA 29

II DOKONAŁEM KURS PEDAGOGICZNY

-SZKOLENIA WYKŁADY I WYBIO

zapytywał siebie: skąd wzięli się oni tutaj? po co przybyli? dlaczego nie pozostali tam, kędy były kolebki i groby ich ojców? A zapytując tak i odpowiedzi na pytania swe nie znajdując zwycięzcy ci zapominali o tryumfalnych wojennych pochodach, które do stolicy ich wprowadzały tysiące jeńców judejskich; o tym, że na ziemi podbitej, strатовanej pożoga i mordem, głodem i straszno było pozostawać jej dzieciom; że synowie jeńców przywiezionych przemocą urodzili się już w mieście wygnania, a gromady tułaczy, których oni pozabawili ojczyzny, jak ptaki pozbawione gniazda zakładały je w ich ojczyźnie. Zwycięzcy ci zapominali o tym, że niemiłych im przybyszów przygnali tu krwawi bracia: podbój i gwałt: że jeśli pognębnego udziałem staje się niedola, ze szczęścia pognębicielea powoli, lecz nieuchronnie wyrasta różga kary i pomsty.

W roju tym niby pszczoł, które wylatując z brudnego, wrzaskliwego ula swego rozlatywały się po rozległych przestrzeniach, znajdowała się często młoda dziewczyna, drobna, ładna, zgrabna i w dziwny sposób przystrojona. Była to jedna z haftarek roznoszących długie pasy wełnianych materii, okryte naszyciem o wzorach wschodnich, mieniących się fantastycznie połamanymi liniami i purpurą wszelkich odcieni zmieszaną ze srebrem i złotem. Rzymianki cheiwie ubiegały się o wyroby te, którymi przyozdabiały brzegi swych sukien, sprzęty i okna swych mieszkań. Były one kosztowne i całkiem niepodobne do tych, które wyrabiały haftarnie rzymskie; zbytkowność ta więc i osobliwość ich tym ponętniejszymi je czyniły. Młoda haftarka z *Transiberim* ilekroć z towarem swym udać się miała na drugą stronę Tybru, o wczesnej bardzo porannej godzinie wychodziła z jednego z najmniejszych i najuboższych domków przedmieścia i biegła raczej, niż szła, przez wąskie uliczki wesoła, lekka, ziemi, zda się, nie dotykająca, a wciąż przy świetle wschodzącego słońca lubująca się pięknnością niesionych przez się przedmiotów. Lubo-

wanie się to objawiała ciągłym rozwijaniem pięknych szlaków materii i przyglądaniem się im, któremu towarzyszyło zachwycone kołysanie się w obie strony głowy jej małej i niemniej od haftów jej oryginalnej. Była to głowa okryta takim gąszczem ognistorudych kędziorów, że z dala przy słońcu można by je wziąć za ciężki, złoty wieniec. Z bliska widać było, że kędziory te posiadały figlarność dziecienną i miękkość jedwabiu, a w cieniu złocistej, miękkiej tej gęstwiny olśniewającą białością rozkwitała twarz drobna, przychuda, z dwójgiem czarnych oczu, których płomiennność łagodził cień długiej rzęsy, i z drobnymi ustami, czerwonymi jak odłam koralu. Drobną i wątlą jej kibić okrywała suknia uboga, spłowiwała, przepasana w stanie kawałkiem spłowiełej, lecz pysznie wyhaftowanej materii: szyję zaś posiadającą rozkoszne, łabędzie zgięcia otaczał błyszczący i pobrzękujący naszyjnik z oprawnych w brąz kolorowych szkiełek.

Biegła, na szczupłych ramionach zawieszała haftowane szlaki, z lubością kołysząc głową uśmiechała się do nich, a do niej uśmiechały się łaskawie i pieścizotliwie wysuwające się z okien i drzwi domków tylko co ze snu zbudzone głowy dojrziałych i starych niewiast. Niektóre z nich słały jej głośnie, żartobliwe pozdrowienia; odpowiadała na nie przyjaznymi skinieniami głowy i rozradowanymi uśmiechami; cieszyła się okazywaną sobie łaską i przyjaźnią ludzką; najbardziej jednak radowały ją pozdrowienia Sary, niewiasty z twarzą pogodną i dobroduszną, a postawą pełną powagi, bogatej właścicielki jednej z największych haftarni Zatybrza. Jej to własnością był towar przez młode dziewczę na sprzedaż niesiony. Dziewczyna haftowała na materiałach i niemi dawanymi jej przez Sarę; Sara dość hojnie płaciła jej za to i ją to, nie zaś żadną inną, wysyłała z towarami do miasta dlatego, że nikt inny tak dobrze uwagi ludzkiej na siebie zwrócić i tak roztropnie językiem edomitów rozmawiać nie umiał. Językiem edomitów mówić ją nauczył przybrany ojciec jej, Menochim;

Sara nauczyła ją haftować, ale dziewczyna prześcignęła wkrótce umiejętność swej mistrzyni. Zaledwie dorosła, dziwne i śliczne zaczęła mieć pomysły i natchnienia; ze wzgardliwym wydukiem pąsowych warg odrzucała cudze dawane sobie wzory, a spod drobnych dłoni jej wypływały we własnej głowie jej powstające szczególne, do żadnych innych niepodobne szlaki, arabeski, kwiaty zamknięte w rzeźbionych jakby ramach, dziwaczne na pozór mieszaniny mnóstwa linii i kolorów, które przecież zlewały się zawsze w pełną wdzięku i fantazji całość. W głowie dziewczęcia pod gęstwiną ognistych włosów błyskały płomyki twórczości. Kiedy otyła Sara po raz pierwszy zobaczyła samoistne roboty swojej uczennicy, płasnęła w pulchne dłonie i z błogim uśmiechem na dobrodusznym wargach po razy kilka zawołała:

— Hoscheb! Hoscheb!...

Znaczyło to, że dziewczyna w sztuce haftarstwa za improwizatorkę uznaną została. Wtedy to, w dniu mianowania jej tym tytułem, otrzymała ona w podarunku od Sary ów naszyjnik z kolorowych szkiełek i śliczne sandałki, bez dzwoneczków wprawdzie, które nie przystawały ubogiej dziewczynie, ale z pąsowej skóry i z podeszwą głośno i wesoło uderzającą o bruk ulic i portyków rzymskich. W sandałki te i naszyjnik stroiła się wtedy tylko, gdy szła na drugą stronę Tybru.

Głośno i wesoło uderzając sandałkami o lawowe lub marmurowe płyty coraz powolniej przecież wspinała się na Awentyńskie wzgórze i o piękności zwieszonych na ramionach swych haftowanych pąsów zapominała. Teraz otaczały ją piękności inne, znane jej od dawna, ale na które dosyć napatrzeć się nigdy nie mogła. Ukazujące się jej tu zewsząd rzeźby i malowania, mozaiki z różnobarwnych marmurów, kolumnady, posągi, świetne i kunsztowne ubiory mężczyzn i kobiet budziły w niej zawsze ciekawość i zachwycenie. Wrzące tu życie, nie wrzaskliwe, brudne, ze złorzeczeniami i łzami zmieszane, jak

na rodzinnym przedmieściu jej, ale wykwintne, błyszczące, wesołe, wlewało w pierś jej wółrozkoszne, wółdręczące wrzenie. Z szeroko otwartych oczu jej, z warg drżących, z rumieńców, które wybijały się na policzki, poznać można było, że pragnęłaby nie iść, lecz lecieć, nie oddychać powietrzem tutejszym, lecz pić je chciwie i bez końca. Szła to powoli, to prędzej, uśmiechała się do wszystkiego, co wzrokiem napotykała, i machinalnie, bezwiednie, jakby chcąc dostroić się do piękności i blasku otoczenia, stroiła się w niesione przez się hafty, owijała je dokoła szyi, opuszczała na spłowiałą suknię, w malowniczych fałdach zwieszała je na ramionach. Wkrótce osypały ją całą złote i srebrne iskry, które w haftach jej rozniecało słońce, aż gasły w cieniach portyku, do którego wstępowała po kilku marmurowych wschodach i w którym u jednej z kolumn stawała uważna, cicha, pilnie nabywców towaru swego wyglądająca.

Portyk to był przez Cestiusza, jednego z najmożniejszych panów rzymskich, na Awentynie zbudowany i na miejsce przechadzki i ochłody ludowi rzymskiemu ofiarowany w darze. Składał się on z dwóch długich rzędów kolumn złączonych w górze lekkim dachem a w dole marmurową posadzką. Gzysmy dachu, głowice i podnóża kolumn ociekały bogatymi rzeźbami; sufit okrywały rzeźbione także kwadraty i medaliony; tu i ówdzie pomiędzy kolumnami wznosiły się potężne lub wdzięczne kształty posągów. Zazwyczaj mnóstwo ludzi różnych płci i stanów przechodziło tamtędy i niejedni zatrzymał wzrok i uwagę na stojącej u kolumny żydowskiej haftarce. Niejedna też Rzymianka zbliżała się do niej, oglądała hafty jej lub je kupowała. Przemawiano do niej różnie: dumnie, łaskawie lub obojętnie. Ona od dawna już widując miejsca te i tych ludzi nieśmiała nie była. Na zwrócone ku sobie pytania odpowiadała krótko, lecz jasno, i rumieniec okrywał policzki jej, gdy widziała uśmiechy wywoływane przez sposób, w jaki wymawiała słowa łacińskie lub greckie. Obu bowiem

językami tymi zagadywano do niej i obu umiała ona odpowiadać, lecz mieszała się i długie powieki swe na czarne źrenice opuszczała, ilekroć wzrok jej napotkał uśmiech wzgardliwy albo szyderskie, niechętnie spojrzenie. Najwzgardliwszą i naj-sroższą wydawała się jej twarz haftarza pewnego, którego tu widywała często. Z dosłyszanej rozmowy jakiejś dowiedziała się o tym, że był on, tak jak Sara, właścicielem haftarni, ale nie na Transtiberim, tylko na Awentynie istniejącej, i że imię jego było Sylwiusz. Był to człowiek lat średnich, dostatnio w kraciatą tunikę albo fałdzistą togę ubrany, z długim, orlim nosem nadającym twarzy jego dziobaty pozór ptasi, z białą, wypieszczoną i kosztownym pierścieniem błyszczącą ręką. Zbliżył się raz do niej i hafty jej przerzucając ostrym głosem zapytał:

— Zza Tybru?

— Tak, panie.

— Z fabryki Sary?

— Tak, panie.

— A tyż kim jesteś?

— Robotnicą Sary... improwizatorką...

Mniemała, że wymienienie tytułu, którym była dumną, złagodzi srogiego fabrykanta rzymskiego. Lecz on w twarz jej złąknioną i zasmuconą cisnął piorunujące spojrzenie i przez zacięte zęby wymówił:

— Bodaj was wszystkich wzięły na swoich nadwornych haftarzy bóstwa piekielne!

Odszedł, lecz potem często przechodził tamtędy i na dziewczynę obwieszoną wschodnimi haftami rzucał spojrzenia pełne niechęci i wzgardy. Raz szedł w towarzystwie innego człowieka, który, niski i pulchny, z utrefionymi kunsztownie włosami i togą w zalotne fałdy ułożoną, zionął mocnym i daleko rozchodzącym się zapachem perfum. Był to perfumiarz, imieniem Wentury. Obaj rozmawiali z sobą z ożywieniem wielkim i z niezadowolonymi minami. Sylwiusz pal-

cem wskazywał na żydowską haftarkę; Wentury ruchem sklepowego eleganta odwrócił się w stronę przeciwną i takim samym gniewnym i pogardliwym gestem ukazał starego, zgarbionego, łachmanami prawie okrytego Żyda, który na drugim końcu portyku u stóp kolumny przysiadłszy wystawiał na widok publiczny flakony i pudełka z wonnymi płynami i maściami. Obaj ludzie, haftarz i perfumiarz, zmarszczyli niskie czoła.

— Wkrótce — zawołał jeden z nich — uczciwi Rzymianie obsiądą most żebraków, a cudzoziemcy rozpierać się będą w grodzie Romulusa. Rzecz to doprawdy dziwna, że cesarz — niech długie będzie życie jego! — nie wzbroni tym psom azjatyckim wstępu do głównych przynajmniej ulic miasta.

— Nie teraz przynajmniej, nie teraz nastąpić to może — wpół z tajemniczą, wpół z gorzką miną odparł Wentury — kiedy Tytus (oby na półbożka tego wiecznie łaskawymi byli bogowie!) duszę swą utopił w pięknych oczach Żydówki Bereniki...

— Chciałbym, aby wspaniała Berenika i królewski brat jej, Agryppa, posiadli wieczną miłość bogów! Żydami są także, to prawda, ale cóż to szkodzi, skoro niedawno, gdy zapotrzebowali do pałacu swego stu haftowanych okryć na łoża i sofy, u mnie je zamówili. Wprawdzie głusi tylko i ślepi nie wiedzieć mogą o Sylwiuszu, najdoskonalszym w Rzymie haftarzu, albo nad jego wyroby przekładać łachmany tych azjatyckich barbarzyńców!

Oddalili się. Żydowska dziewczyna rozmowę ich słyszała i długo potem dumiała nad czymś głęboko. Myślała o tym, czy być mogło, aby tak wielka sprzeczność zachodziła pomiędzy ludźmi samymi a ich dziełami? Tyle piękności stworzyć, a mieć serca twarde, chciwe, okrutne... jak to być mogło? Więc Rzymianie ci, którzy w jej wyobraźni przybierali niezrównaną piękność i potęgę, byli może istotnie takimi, za jakich miano ich na Transtiberim? Tam nazywali się

oni okrutnikami, ciemieżcami, bluźniercami Boga i wrogami cnoty, tam złorzeczono im o każdej niemal minucie dnia i płakano na nich głośno, z jękami w świątyni i ścianach domowych. A jednak nie! Sylwiusz i Wentury oddalili się i oddaliły się strojne panie, które z cheiwością rozpatrując i kupując towar jej na nią patrzyły dumnie i szydersko; natomiast zaś jakże szanownym i dobrym wydawał się podeszły mąż ten, co się często przechadzał pod cieniem portyku otoczony gronem młodzieńców, do których przemawiał z powagą i dobrocią, a którzy słuchali go ciekawie i z uwielbieniem! Siwiejąca, długa broda spływała mu na ciemną, malowniczo fałdującą się toge; wpółłyse, otwarte czoło przerzynały zmarszczki przebytych trudów; w ognistych oczach płonął zapał niemal młodzieńczy, a na ustach znać było słodycz serca, które kochać umie. Towarzyszący mu młodzieńcy zgrabni byli i strojni, a jednak poważni i skromni; podeszły mąż przypominał jej dziwnie Menochima. Inne były ruchy i rysy, inne też postawa i ubiór, a jednak było pomiędzy nimi coś wspólnego. Może zapał, może cierpienie... Od rodaka sprzedającego perfumy dowiedziała się, że mąż ów był tym, co u Rzymian nosi nazwę filozofa, że nazywano go też stoikiem, że imię jego było Muzoniusz Rufus, a towarzyszący mu młodzieńcy byli jego uczniami. Nie wiedziała wcale, co znaczyły nazwy: filozof i stoik, ani czego by właściwie nauczać mógł Muzoniusz, ale zrodziła się w niej paląca ciekawość usłyszenia mowy jego, zdobycia nauki tej, której on młodym rodakom swym udzielał. Pilnie chwyciła dźwięki zalatującej ją rozmowy i parę razy dosłyszała wymawiane przez Muzoniusza wyrazy: sprawiedliwość, cnota, czystość serca, litość, wierność. Co to znaczy? Tam, na Transtiberim, często wyrazy te wymawiano, i doprawdy, w ustach Rzymianina tego miały one toż samo brzmienie, z jakim wymawiał je Menochim. Czy i tego także wraz z całym ludem jego ogarniają przekleństwa na Transtiberim brzmiące? A ona dziwny jakiś pociąg czuła ku

grupie tej zwolna przechadzającej się po portyku, z której, gdy spojrzenie jednego z młodzieńców trafem na nią upadłszy dłuższą chwilę zatrzymało się na włosach jej i twarzy, czuła mącąca się w głowie myśl i w zamęcie tym wołający wciąż jeden okrzyk: „Jakże oni są piękni“.

Jeden z nich mijając ją z bliska rzucił jej dnia pewnego kilka wyrazów:

— Śliczniuchną jesteś, mała Judejko! i gdybym był malarzem, zaraz bym głowę twoją na ścianie triclinium mego wymalował!

— Proś o to Artemidora! — zawołał inny i oddalili się.

W godzinę potem młodą haftarkę mijiała rodaczka jej, znana jej trochę mieszkanka Zatybrza, roznosząca po mieście wyroby ze stali. Dziewczyna poprosiła ją o stalowe lustro i przyglądając się niby misternej ramie jego patrzyła na odbicie własnej swej twarzy. Była potem weselszą jeszcze niż zwykle i głośno, dziecinnie śmiała się patrząc na zabawę małych chłopców, którzy w portyku giętkimi laskami popychali obręcze zaopatrzone w dzwonki i brzękawki. Obręcze toczyły się i dzwoniły, chłopcy w krótkich tunikach, ze złotymi łańcuszkami, u których wisiały złote kule na szyjach, gonili je śmiejąc się i w elastycznych poskokach. Młodziutka haftarka śmiała się także całą siłą swych wielkich rozradowanych oczu przyjmując udział w zabawie. O! jakżeby chciała poskoczyć, pochwycić jedną z lasek i wraz z dziećmi tymi biegać w cieniście portyku w pogoni za błyszczącą, dzwoniącą obręczą... Ale nie dla niej były gry wesołe, tak jak i mądre nauki. Uczuwała nagle, że nogi bolały ją od codziennego stania i osunąwszy się na marmurową posadzkę siadała u podnóża kolumny; a im więcej dzień zbliżał się ku końcowi, im większa cisza zapanowywała w portyku i na krzyżujących się dokoła niego ulicach, tym cichszą stawała się ona i smutniejszą. Drobna jej postać malała jakby, kurczyła się przybierając pozór pokory i zgnębienia. W cieniach zaczynają-

cych napełniać portyk gasły do szczytu iskry te, którymi poranne słońce osypywało ją, gdy tu przybywała. Znikały też jej wesołe i zachwycone uśmiechy, martwiały żywe ruchy. Skurczona, z głową opartą o twarde podnóże kolumny, pokorna i smutna, była już tylko dzieckiem ubogim, mizernym, nie wiedzieć jak spadłym w ten świat blasku i wielkości, dzieckiem ludu miejscem tym obcego, nie znanym tu przez nikogo, nie związanym żadną nicią sympatii ani wspólności z nikim i z niczym. Wstawiała i powoli, wcale inaczej niż z rana stąpając, a wciąż oglądając się poza siebie, opuszczała Awentyńską dzielnicę, przebywała most, pod którym głucho szumiały wody rzeki, i za rzeką znikła w grubej tej, dusznej, cuchnącej mgłę, która niby banią z brudnego szkła obejmowała siedlisko wygnania, biedy, płaczu i przekleństwa.

Dnia pewnego, niewiele potem, gdy Menochim odrzucił świetną propozycję Justusa, młoda haftarka wstępując do Awentyńskiego portyku ujrzała widok niezwykły. Było to w godzinach popołudniowych, w których Rzymianie zwykli byli napełniać łaźnie, sprawować sądy, słowem, oddawać się zajęciom i rozrywkom w chłodnych ścianach domostw. Ulice były puste prawie, w portyku siedziało i stało kilku tylko przekupniów i rzadko bardzo kroki śpieszącego przechodnia uderzały przez chwilę o marmur posadzki, po czym wszystko milkło. Haftarka przybywała tu w złą porę, ale zatrzymano ją długo w miejscu innym, gdzie też kupiono znaczną część jej towaru. Przyszła więc późno, ale jakże szeroko i ciekawie otworzyła swoje wielkie oczy i jak nieruchomo stanęła, aby móc niepostrzeżenie przypatrzeć się temu, co się tu dziś robiło. Niedaleko wejścia do portyku wzniesione było rusztowanie wysokie, u którego szczytu równoległego z gzymsami dachu siedziało i stało kilku ludzi. Jednego z nich haftarka spostrzegła najpierwej. Młody, wysoki, w białej tunice, z obnażonymi ramionami, siedział on na najwyższym szczeblu rusztowania i pędzlem trzymanym w ręku napełniał malowaniem

dość szeroką przestrzeń znajdującą się pomiędzy sufitem a głowicami kolumn; część szlaku, który widocznie świetnym wieńcem otoczyć miał portyk dokoła, była już wykończoną. Składała się ona z kwiatów i kłosów ujmowanych w ramy z zygzaków greckich i wdzięcznie mieszanych z mnóstwem postaci dziecięcych, skrzydlatych, figlarnych, roześmianych. Charakter roboty tej był tak wesołym i wykwintnym, jak twarz i ruchy samego malarza. Kilku innych ludzi, młodych także i zwinnych, pomagało mu w pracy i rozweselało ją przyjacielską, a jednak pełną uszanowania rozmową. Podawali mu oni farby, zmieniali pędzle; lekkimi rzutami rąk uprzedzających jego rękę rzucali na ścianę pierwsze kontury przyszłego malowidła; zbiegając o kilka stopni niżej z dala przypatrywali się skończonym już częściom roboty; wydawali okrzyki podziwu albo czynili nieśmiałe uwagi. Mieli pozór uczniów jego i pomocników.

Był to więc malarz! A ona tak całym sercem swym pragnęła kiedykolwiek ujrzeć z bliska jednego z tych, których dzieła widokiem swym napełniały ją dziwną rozkoszą i takimi myślami, od których głowa jej w godzinie powrotu na rodzinne przedmieście stawała się ciężką, smutną i pokorną. Patrzała też teraz na malarza chciwie, z podniesionym wzrokiem i chociaż religijne wierzenia edomitów ze słyszenia tylko znane jej były, chociaż od niemowlęctwa czcić ją nauczano jedynego Boga, w głębokościach istoty swej trwożnie, lecz z uwielbieniem nazwała go półbogiem. W ten sam sposób przypatrywała się mu przez wiele dni następnych. W czasach ostatnich robotnice Sary wiele wykończyły robót, a ona w nagrodę za dokonany haft, piękniejszy i nowszy jeszcze nad inne, otrzymała od dobrej kobiety, która pieściła ją nieco, zlecenie rozprzedawania towaru. Przychodziła więc i patrzała. On ani jej spostrzegał. Rankiem przybywał tu wesoły, rażny, w orszaku uczni swych i wielbicieli, szybko wbiegał ku szczytowi rusztowania i tam godzinami zostawał

zatopiony w swej pięknej pracy, czasem tylko śmiejąc się dźwięcznie z zachwytów lub uwag swych wielbicieli albo pąsowe usta odświeżając podawanym sobie przez nich soczystym owocem. Haftarka zsa sukni swej wyjmowała w południe kęs chleba i sera i zjadłszy szybko oddawała się znowu swej przez nikogo niedostrzeganej kontemplacji. Raz przecież tuż prawie obok niej zabrzmiał donośny głos wołający:

— Artemidorze! Artemidorze!

W sposób ten wołał na malarza jeden z uczni jego, szczupły, zgrabny chłopak, który zbiegł był z rusztowania aż na dół portyku i teraz z wyciągniętą ku górze ręką wskazywał mistrzowi jedną z lili i róż girlandy, która stąd wydawać się mogła zbyt małą i nikłą. Artemidor odwrócił głowę i wdzięcznie na wysokim siedzeniu swym przegięty spojrział w dół na czyniącego mu uwagę młodego ucznia. Spojrzenie jego upadło zarazem na dziewczynę w spłowiałej sukni okrytej szlakami pysznych haftów, z głową nastrzępioną mnóstwem ognistych kędziorów, ze splecionymi jak do modlitwy rękoma, z wlepionym w niego wzrokiem czarnych oczu. Nieme to, pokorne uwielbienie zwróciło znać na siebie przyjazną uwagę mistrza. Łagodnie, wesoło przez chwilę popatrzył na nią, lecz wnet odwrócił głowę i znowu pogrążył się w pracy. Nie dziw. Pomiędzy żydowską dziewczyną tą, nędzarką prawie, a świetnym i przez Rzym cały uwielbianym malarzem Artemidorem istnieć nie mogła wspólność żadna. Jednak nazajutrz, gdy pęzel swój oderwał od wykończonego już małego Fauna, spojrział znowu w dół i przez chwilę zatrzymał wzrok na wzniesionej ku niemu twarzy dziewczęcia. Ona przed wzrokiem tym nie spuściła oczu. Uśmiechnęli się do siebie. Wkrótce potem Artemidor przyszedł do portyku w towarzystwie jednego tylko ucznia. Długo malował, aż zawieszając pęzel w powietrzu i niedbałym ruchem głowę w dół pochylając zapytał:

— Kim jesteś, dziewczę?

Słumionym głosem odpowiedziała:

— Żydówką jestem.

Artemidor zaśmiał się głośno.

— Gdybyś mi była odpowiedziała inaczej, powiedziałbym ci, że kłamiesz. Słońce Azji rozpaliło włosy twe i oczy.

— Słońce Azji nie rozpaliło mi włosów ani oczu. Urodziłam się w Rzymie.

— Doprawdy? I, na Jowisza! Rzymowi wstydu nie przynosisz. Zabawnie trochę łatyńska mowa w ustach twych wygląda, ale czyni cię to tym osobliwszą, a osobliwości wszelkie są teraz namiętnością Rzymian. Jak ci na imię?

— Mirtala.

— I imię to osobliwym jest także. Gdzie mieszkasz?

— Na Transtiberim.

— Lituję się nad tobą. Stopa moja nie postąpiła tam nigdy...

Chwilę jeszcze popatrzał na nią i do pracy swojej powrócił. W czas jakiś potem znowu w dół spojrział, jakby chciał przekonać się, że nie odeszła. Stała wciąż na tym samym miejscu, kędyś daleko rozmarzonymi oczami patrząca, ze skrzyżowanymi u piersi ramionami. Smuga słonecznych promieni zakradłszy się pod gzymsy portyku we włosach jej i spływających z ramion haftach rozżarzała tysiące iskier. W oczach malarza ukazało się coś na kształt zachwytu.

— Czy to są twoje roboty? — zapytał.

— Moje — odpowiedziała i z pewną dumą rozwinęła szeroko jeden ze szlaków.

— Śliczne wzory! — zawołał malarz całą postacią już w dół przegięty. — Skąd je bierzesz?

— Od dawna już układam je sama. Improvizatorką jestem...

— Arachne! muszę przyjrzeć się z bliska tobie i robotom twoim!

Wydawszy okrzyk ten zerwał się z miejsca i z żywymi, giętkimi ruchy, z pędem w rękę zstępować począł z rusztowania. W tej samej chwili w portyku ukazała się kobieta wy-

niosłej postawy i w bogatym stroju prowadząca za rękę dziesięcioletnie dziecko, chłopczyka, w szkarłatnej, krótkiej tunice, pąsowych sandałach i łańcuszku ze złotą kulą na szyi. Z kruczych warkoczy kobiety tej gazowa zasłona jak lekki, srebrzysty obłok spływała na suknię jej białą, bogato srebrem haftowaną i na ramionach spiętą spinkami z rubinów. Za nią w oddaleniu pewnym postępował sługa niosący różne przedmioty szkolne jako to: podługowaty futerał chroniący pergaminowe zwoje, tabliczki, style, gąbkę i kałamarz. Spostrzegłszy podchodzącą Artemidor pochylił głowę ukłonem uszanowania pełnym. Ona powitała go z dala już przyjaznym uśmiechem, a dziecko rękę swą z dłoni matki wysunąwszy z krzykiem radości pobiegło naprzód i swawolnie obejmując artystę drobnymi ramiony poufałe do niego szczebiotać zaczęło. Chłopak to był żywy, hoży, z elastycznymi ruchy i oczami iskrzącymi się życiem i pojętnością. Szczebotał, że wraca ze szkoły, do której matka jego przybyła sama, aby odprowadzić go do domu, a w której dziś właśnie mistrz Kwintilian opowiadał śliczną historię o Manliuszu, co to wspomagał biednych, bronił uciśnionych i zginął taką straszną, okropną śmiercią...

— Cicho bądź, Helwidiuszu! Szczebiot twój nie dozwala mi powitać przyjaciela naszego, Artemidora!

Wyniosła i strojna kobieta wymówiła słowa te z pieszczotliwym, ku dziecku zwróconym spojrzeniem, które surowe nieco jej rysy rozjaśniło wyrazem dobroci i spokojnej wesołości.

— Dzień tu twemu, Artemidorze, przypatrywałam się już nieraz, gdy przechodziła tędy w czasie nieobecności twojej. Niemiły ten Cestiusz podwójnie teraz dumnym czuć się będzie z portyku swego, gdy przyzdobi go ręka twoja. A wielce mu teraz pociechy potrzeba. Od klęski wojennej, którą poniósł w Judei, spochmurniał hardzo i mniej dobrze bawi się

niż za czasów Nerona, którego był ulubieńcem i niecnym pochlebcą.

— Cały Rzym mówi o nieporozumieniach jego z żoną — odparł Artemidor. — I doprawdy, nie podobna dziwić się ślicznej Flawii, jeżeli związek z nim zadowolnić jej nie mógł.

— I że zadowolenia tego szuka podobno w dziwacznych jakichś azjatyckich wierzeniach i zabobonach... — wzgardliwie nieco uśmiechnęła się kobieta.

Czarne brwi młodego malarza drgnęły.

— Azja ogarnia nas zewsząd, dostojna Fanio! — odparł posepnie — i bliskim może jest czas, w którym jak Azjaci padać będziemy czołami do stóp naszych władców, przed którymi, jak przed królami Partów, zbiry nosić będą ogień, symbol świętości i grozy. Niewolnicze poddaństwo i zabobony oto podarki, które nam podbity przez nas Wschód przynosi...

— Podbity! za jaką cenę! — z goryczą szepnęła Fania.

Ale Artemidor długo posepnym myślom oddawać się nie mógł. Natura to znać była młodzieńcza, świeża, w której smutek i gorycz topiły się szybko w swobodnych uśmiechach.

— Azja ta przecież — zawołał wesoło — przysyła nam też czasem ciekawe i wdzięczne zjawiska. W chwili właśnie gdy nadchodziłaś, dostojna Fanio, rozmawiałem z jakimś żydowskim dziewczęciem, które doprawdy ma najpiękniejsze włosy i oczy, jakie w życiu moim widziałem. W dodatku jest ona...

Spojrzenie jego szukało Mirtali, która usunąwszy się nieco od rozmawiających ciekawie jednak słowa rozmowy ich chwyciła.

— Jesteś tu jeszcze! — zawołał. — Popatrz, domina, na nią i na jej roboty!

— Dziewczkę tę — odparła Fania — widuję tu od dawna i nieraz już nawet kupowałam u niej hafty, które sprzedaje. Nie widziałam jednak...

— Popatrz, domina, popatrz tylko uważnie — wołał Ar-

temidor, który w obu rękach swych rozwijał pas śnieżnej wełnianej materii cały okryty liśćmi i kwiatami takich barw i kształtów, jakie tylko wyśnić się mogły gorącej i bujnej fantazji. — Arachne, która w sztuce tkackiej była rywalką Minerwy, pozazdrościć by mogła tym drobnym rączkom... Kto cię uczył rysować?

— Symeon, mąż Sary...

— Mistrzem więc jej był Żyd jakiś, nieuczony zapewne i jak oni wszyscy sztuce naszej obcy! Jakżebym pragnął mieć cię uczennicą moją.

Od zdumienia osłupiała, drżąca z radości, Mirtala stała w płomieniu rumieńca, ze spływającym na policzki cieniem długich rzęs, z rozkosznym w półuśmiechem na trochę rozwartych ustach. Nagle usłyszała wyrazy kobiecym przyjaznym głosem wymówione:

— Chodź do domu mego; pokażę cię matce mojej i przyjaciółom naszym, i musisz mi opowiedzieć historię swoją...

— Mówiłem ci, Mirtalo, że osobliwości wszelkie są dziś namiętnością Rzymian, a ty osobliwością jesteś!... — ze śmiechem zawołał Artemidor.

I zwracając się do Fanii dodał:

— Czy pozwolisz, domina, abym dziś był gościem twoim?

— Nie możesz wątpić o mojej dla ciebie przyjaźni, a mąż mój, który wkrótce z bazyliki powróci, i Muzoniusz, który dziś właśnie odwiedzić nas przyrzekł, zobaczą cię z radością.

Mały chłopak bawił się nie opodal z malutkim, ładnym pieskiem towarzyszącym kobiecie jakiejś, która zatrzymawszy się w portyku kupowała perfumy od starego przekupnia Żyda. Fania przywołała syna i zwracając się znowu do Mirtali powtórzyła:

— Pójdź za mną...

Mirtala podniosła powieki i spotkała się z oczami Fanii, których głęboką czarność łagodził wyraz spojrzenia. Łagodnie i łaskawie, nade wszystko jednak ciekawie patrzyła ona na ży-

dowską dziewczynę, która pobladła nagle i nawet oofnęła się o kroków parę. Wejść do wnętrza jednego z domów tych, na które tyle razy z zachwytem patrzyła, o których mieszkańcach śniła zawsze mnóstwo cudownych rzeczy, byłoby dla niej radością niezmierną. Przy tym usłyszała, że będzie tam Muzoniusz... zobaczy więc i usłyszy z bliska męża tego... Ale wszakże to był dom edomitów! Przesząpić próg domu tych, którym złorzeczyli jej bracia, czy wolno jej było? Cóż by powiedział na to Menochim? co by powiedziała Sara, której syn najstarszy zginął niedawno na wojnie z edomitami wiedzionej? Co by powiedział mąż Sary, ponury Symeon, którego brwi najeżone, twarde zbiegały się nienawistnie na samo imię Rzymianina? Co by powiedział na to Jonatan... gdyby powrócił i dowiedział się, że narzeczona jego nawiedza domy tych, z którymi on tak krwawo w murach oblężonej Jerozolimy walczył, od których mściwej dłoni uciekając tułał się teraz po afrykańskich pustyniach jak zwierz tropiony? Błada, wahająca się, przez dwa sprzeczne uczucia rozdzierana, podniosła oczy pełne łez i już wymówić miała: „Nie pójdę za tobą, pani!“, gdy Artemidor dotknął z lekka jej ręki i w półwesoło, w półpoważnie rzekł:

— Chodź! nie lękaj się! Ludźmi jesteśmy i życzliwymi dla wszystkiego, co ludzkie, skądkolwiek pochodzi.

Zapomniała o wszystkim. Transtiberim, Menochim, Sara, Symeon, Jonatan przestali istnieć dla niej. Nie tylko posłuszna, ale rozpromieniona, odzyskując żywe i zgrabne swe ruchy poszła za Fanią i Artemidorem. Z rozmowy ich dowiedziała się wkrótce, że znaleźć się ma w domu pretora Rzymu, Helwidiusza Prisca, wysokiego dostojnika, którego imię ze zgrozą wspominała często ludność zatybrzańskiego przedmieścia. Zgroza ta pochodziła zapewne stąd, że był on pomiędzy edomitami dostojnikiem wysokim i możliwym, bo o żadnym jego czynie złym i okrutnym nie słyszała nigdy. Więc zobaczy pretora Rzymu? Jak on wygląda? Pozór jego musi być stra-

sznym, spojrzenie piorunującym, dłoń żelazną i okrytą plamami krwi, a może... podobniejszym jest on do lwa krwiożerczego lub do drapieżnego potężnego orła niż do człowieka? Drżąc znowu wchodziła do przedsionka domu, nad którego czworokątną kolumnadą wznosiło się odkryte niebo, a na posadzce z szarego marmuru jaśniał z purpurowych liter ułożony gościnny i wesoły napis: „Witajcie!“

III

Jakkolwiek Helwidiusz Priscus był dostojnikiem wysokim, a Fania pochodziła z senatorskiego możnego rodu, dom ich nie należał do najbogatszych i najwspanialszych w Rzymie. W przeszłości ich rodów, jako też we własnej ich od przodków nieodrodnosci spoczywały przyczyny tego, że ściany nie ociekały tu złotem, czary i misy nie świeciły diamentami, sprzętów nie okrywały równie jak złoto i diamenty drogocenne tkaniny z jedwabiu. Nie było tu też tłumu niewolników najrozliczniejszych plemion i stopni, ani nieustannego gwaru uczt oblewanych strumieniami wina, rozweselanych brzękiem rzucanych kości, huczną muzyką, lubieżnymi tańcami Hiszpanek i Egipcjanek, przedstawieniami dowcipnych albo bezwstydných pantomin. Uciech tych bez hamulca i zbytków bez miary, które napełniały pałace ludzi z panującym porządkiem publicznych spraw pogodzonych i z niego właśnie ciągnących ogromne, najrozmaitsze korzyści, w domu pretora i żony jego nie było. Niemniej w miejscu tym i w tej epoce mierne nawet bogactwa bywały wielkimi, a perystyl zdobiony tylną częścią domu Helwidiusza i Fanii z mnóstwem kolumn swych z żółtego, numidyjskiego marmuru, zza których przeglądała zielenią ogrodu z ujętym w wyrzeźbione ramy dachu szafirowym stropem nieba, z mocnymi woniami roślin kwitnących w śnieżnych wazonach, miejscem był wykwintnym, świeżym i wesołym. Było to miejsce, w którym w porach od zajęć wolnych najchętniej zgromadzała się rodzina i w którym przyjmowano najpoufalszych i najmilszych gości. Pośrodku na

układanych z różnobarwnych marmurów arabeskach i szlakach posadzki wesoło igrały w miliony iskier i kółek rozsypujące się promienie słońca; w cieniu rzucanym przez nagłówki kolumn i rozłożyste krzewy róż i krokusów, na brązowych w kość słoniową zdobnych stolkach i krzesłach zasiadało szczupłe grono ludzi. Dokoła stołu wspartego na lwich łapach a dźwigającego srebrną, rzeźbioną czaszę pełną owoców i czary napełnione winem rozcieńczonym wodą i osłodzonym wonnym attyckim miodem, ludzie ci skupiali się w ciasne, poufne, przyjacielskie koło. Najpoważniejsze i najwygodniejsze siedzenie, bo krzesło poręczowe, katedrą zwane, z purpurowym obiciem, z poręczą misternie rzeźbioną i wysokim, miękkim podnóżkiem zajmowała matka Fanii, Aria, kobieta stara już, małowówna, z twarzą delikatną i białą jak listek lilii, w mnóstwo zmarszczek zmiętą, a osłonioną cieniem długiej zasłony, której lekkie, czarne zwoje owijały jej fałdzistą suknię. Była to postać surowa, zamknięta w sobie, i nie tylko żałobne jej suknie, lecz blade, milczące wargi i wyraz oczu głęboko zapadłych pod brwią jeszcze czarną, przywodziły koniecznie na myśl jakieś bolesne tragedie, których ona jedną z aktorek być musiała.

I nie myliłby się ten, kto by domyśl ten stworzył. Od dnia, w którym pod Filippami ostatnie republikańskie zastępy uległy przed geniuszem i szczęściem następcy pierwszego cezara, nieprzerwane pasmo spisków, buntów, krwi i żałoby przerzyło panowanie dziewięciu następujących jedynowładców. Zazwyczaj nie dla wszystkich dusz ludzkich fakt spełniony niezłomnym rozkazem być może. Są takie, które dla przyczyn różnych z nim pogodzone czynią z niego sobie skarbnicę uciech, potęgi i bezpieczeństwa, i takie, które wbrew konieczności żelaznej i bezsilności własnej, powściągnąć nie mogą, a często i nie chcą przejmujących je dreszczów gniewu i oporu. Tak bywać musiało od pierwszego zarania ludzkiej myśli, tak było przez ciąg całego stulecia i w Rzymie cesarskim

wzniesionym na gruzach staro-rzymskiej, burzliwej i wybujałej, lecz twórczej, potężnej i długowiekowej wolności.

Do tych opornych, niepohamowanymi czołami w straszny niezłomnością swą fakt dziejowy uderzających należał ojciec Arii, Petus Sesina, i mąż jej, Trazeusz. Pierwszy na rozkaz cezara Klaudiusza, drugi z woli Nerona przedwczesną i okropną śmiercią zginęli. Należała też do nich i matka jej, imieniem także Aria, która małżonka swego przeżyć nie chcąc dobrowolną śmiercią swą męczeński zgon jego uprzedziła. Należeli do nich liczni krewni i przyjaciele jej i jej rodu, mężowie i niewiasty o najprzedniejszych w Rzymie umysłach i charakterach, a którzy teraz, jak widma skrwawione i dumne, błędzili już tylko w krainie jej wspomnień.

Cóż więc dziwnego, że kobieta, z której losów dziejopisarze układali posępne obrazy, a wieszczce czerpali wrzące i bohaterские natchnienia, wyglądała tak, jakby sama wypadkiem tylko z krainy cieniów pośród śmiertelnych wyrzuconą została.

U stóp jej o kolana jej wsparty, rumianą twarz swą ku niej podnosząc, siadywał mały Helwidiusz, a szczebiot jego, którym opowiadał babce przeróżne dziecięce swe przygody i wrażenia, mieszał się z ożywionymi głosami Fanii i Muzoniusza.

Zza krzesła i białej sukni Fanii wysuwała się młodzianka dziewczęca głowa z ognistymi kędziory i czarne oczy spoglądały na wszystko i wszystkich z ciekawością i uwagą niezmierną, z tysiącem przelatujących w źrenicach uśmiechów i płomieni. Mirtala często przychodząc do domu tego, gdzie kupowano znaczną część jej towaru i gdzie parę godzin zlatywało jej jak jedna rozkoszna minuta, od dawna już opowiadała tu krótką swą przeszłość. Za pierwszej jej bytności Fania obchodziła się z nią z łaskawością wyniosłą nieco i połączonej z tym lekceważącym trochę zaciekawieniem, które w Rzymianach obudzały plemiona obce cywilizacji ich, szczególnie zaś wschodnie. Przypatrując się zgrabnej kibici i pojętym oczom dziewczyny pytała:

— Czy nie jesteś, dziewczeczko, po trosze Greczynką? z ojca może lub z matki? Imię twoje brzmi z grecka...

Ze spuszczonymi powiekami Mirtala odpowiedziała:

— Galilea, dziedzictwo synów Izraela, była rodzinnym miejscem ojca i matki mojej. Ojciec mój był rybakiem, spokojnie rzucającym sieci swe na wody błękitnych jezior, lecz pod rządami Rzymianina Feliksa wmieszany w bunt Zelatorów został przez Feliksa oddanym w niewolę pewnemu greckiemu panu, do którego domu dobrowolnie za mężem swym udała się matka moja, Rebeka. Dobrą robotnicę umiejącą tkąć cienkie materie i cudnie haftować grecki pan przyjął z ochotą. W domu tym urodzonej dano mi imię Mirtala.

Urodziła się więc w niewoli. Jakim sposobem wolną mieszkanką Transtiberim została? Ożywiając się coraz opowiadała, że z niewoli małym, nagle osieroconym dziecięciem wykupił ją Menochim. Zaraza dotknęła Rzym i zabiła jej ojca. Dusza matki jej, która od dawna tęskniła za wolnością i swym rodzinnym błękitnym jeziorem, wkrótce też rozwiódła się z ciałem. Wtedy to Menochim mnóstwem zabiegów i starań wykupił ją z niewoli Greka. I nie tylko ją jedną. Menochim poświęcił cały majątek swój na wykupowanie z niewoli edomskiej judejskich dzieci. Był on kiedyś bogatym. Ojca jego potężny wódz rzymski, Pompejusz, który z wojskami swymi pierwszy naszedł Judeę, jako wojennego jeńca do Rzymu przywiódł. Tu zostawał on w służbie bogatego i hojnego pana, który wyzwalając go zapisał mu w testamencie mienie znaczne. Menochim mienie to odziedziczył (dom na ulicy Subury i wiele tysięcy sestercji), ale nie użył go ani na prowadzenie korzystnego handlu, ani na uczyty i piękne suknie, ani na gody weselne. Nie pojął nigdy żony i własnych dzieci nie miał. W Rzymie, w Efezie, Antiochii i Koryncie wyszukiwał drobne dziatki judejskie, których rodzice odumarli w niewoli, i z panami ich długie o nie zaprowadzał targi. Wielu w ten sposób dziewczętom i chłopcom wolność przywrócił. Teraz wszyscy

już oni są dorosłymi. Jedni w odległych stronach prowadzą handel, inni w Judei osiedlili się na roli; dwoje tylko przy Menochimie pozostało, bo umiłował on je najwięcej... ona i Jonatan...

Wymówiwszy imię to umilkła nagle. Wiedziała dobrze, dlaczego przed obcymi wymawiać go nie można, i przełknięta tym, co uczyniła, zaczęła prędko, prędko znowu o przybranym ojcu swoim mówić. Dawniej zdrowym on był, silnym i często nawet wesołym. Oczy jego świeciły pogodą i pobłażliwością, a mowa była łagodną i żartobliwą. Ale teraz wcale już jest inaczej. Biedny Menochim wychudł i zgarbił się, policzki jego zżółkły i okryły się zmarszczkami, głos ma czasem jękliwy, a czasem surowy i takie smutne, ponure spojrzenie. Zmienił się bardzo, czarnych myśli pełną stała się głowa jego i gniew w sercu mu osiadł. Gniewa się teraz często, wyrzeka, złorzeczy...

I jej oczy także zaszyły łzami. Zgromadzone w perystylu kółko ludzi z uwagą słuchało dziejów Menochima opowiadanych przez przybrane dziecię jego. Ogarniające głowę Zydówki spojrzenie Fanii mniej wyniosłym a bardziej życzliwym się stało; z pąsowych ust Artemidora zniknął wesoły uśmiech, Aria nawet podnosiła zżółkłe, ciężkie powieki i pod czarnymi brwiami surowe jej źrenice zapalały się błyskiem niemego współczucia; Muzoniusz zaś zapytywał:

— Czy nie odgaduję przyczyny, która ugięła zdrowie ciała i goryczą zaprawiła duszę Judejczyka tego? Wszakże, dzieweczko, zmienił się on w ten sposób po tej straszliwej wojnie, w której zburzono stolicę i świątynię waszą?

— Tak, panie! — z cicha odpowiedziała Mirtala i twarz ukrywszy w dłonie rzewnie płakać zaczęła. Płacząc po kilka razy podnosiła się z podnóżka, który jej za siedzenie służył, jakby poskoczyć, odejść, uciec stąd pragnęła. Nie odchodziła jednak, nie uciekała. W piersi jej półdziecięcej toczyła się walka. Opowiadając o Menochimie przypomniła sobie wszyst-

ko, wszystko, i to także, że tu być nie powinna. A jednak przykuwała ją tu paląca ciekawość pojętnej jej umysłu, przykuwał czarem niezmożonym dźwięczny głos Artemidora, który do Muzoniusza zwrócony z głębszym i smutniejszym niż zwykle spojrzeniem zapytywał:

— Mistrzu! jakże się to dzieć może, że zawsze i wiecznie radość i tryumf jednych boleścią jest i uniżeniem innych? Drobnym jeszcze dziecięciem będąc słyszałem Senekę, gdy mówił: „Człowiek dla człowieka winien być rzeczą świętą“. Nie sąż ludźmi Judejczycy ci, którym wodzowie nasi spustoszyli i odebrali ojczyznę? Nie jesteś człowiekiem Menochim ten, którego dusza napełniła się goryczą od naszej radości?

— Powiedziałaś, Artemidorze! — z większym niż zwykle ożywieniem potwierdzała Fania. — Judejczyk ten jest człowiekiem enotliwym.

Nagle blade i zawsze milczące wargi Arii otworzyły się i głos głęboki, stłumiony, wychodzący widocznie z piersi, o którą straszne uderzały ciosy, wymówił:

— Od dawna, od dawna ten sam gniew i ta sama boleść są w sercach naszych!...

Słowa te tajemnicze dla każdego obcego ucha zrozumianymi tu jednak zostały, a w siwych źrenicach Muzoniusza zapalił się blask niemal młodzieńczy.

— Tak, najdostojniejsza, i ta sama walka, którą toczą szlachetni i dumni...

— Padając wśród niej na połowie swej drogi jak kłosa podcięte i zrąbane dęby... — dokończyła Fania.

O kim mówili, kogo pobladła nagle żona pretora porównywała do przedwcześnie podciętych kłosów i zrąbanych dębów? — Mirtala nie wiedziała, lecz rozumiała dobrze, że ciężkie smutki i krwawe straty zaprawiały przeszłość, kto wie, może i terażniejszość tego domu, w którym pomimo bogactw, spokoju i częstej wesołości czuć było czasem zawieszoną w po-

wietrze lżę nieprzeplakanego żalu albo westchnienie niezaspokojonych, wysokich pragnień.

Bez cienia obawy przestępowała teraz próg domu pretora. Znała już rzymskiego dostojnika tego i wiedziała dobrze, jak on wygląda. Zadrżała i zbladła, gdy po raz pierwszy wbiegający do perystylu młody służący oznajmił obecnym przybycie pana domu. Jednocześnie przez otwarte na oścież kolumnady, nad którymi dla wpuszczenia we wnętrze domu letniego ciepła i woni kwitnących w perystylu roślin popodnoszono barwiste opony, ujrzała wysokiego, młodego jeszcze człowieka, o silnej postaci i kruczych włosach, szybkim krokiem przebywającego dwie obszerne sale. Z dała już spostrzegła, że ruchy jego były żywe, rysy piękne i że nad spuszczoneymi w zamknięciu powiekami czarne brwi zsuwały się surowo i groźnie. Zaledwie jednak przestąpił próg perystylu i podniósłszy powieki rzucił spojrzenie na zgromadzone tam osoby, uśmiech przyjazny roztopił twardość jego rysów, męski, donośny głos, w którym czuć było przyzwyczajenie do głoszenia rozkazów i wyroków wśród rozległych przestrzeni bazylik i rynków, wymówił pozdrowienie serdeczne i — o dziwo! — ręka spod fałd płaszcza wyjęła zabawkę dziecinną. Była to piłka misternej i artystycznej roboty złożona z giętkich, złotych obręczy. Mały Helwidiusz poskoczył ku ojcu, który na chwilę podniósł go wysoko w silnych ramionach, a potem śmiejąc się złotą piłkę rzucił z taką siłą, że w elastycznych poskokach i z metalicznym brzęczeniem przebywszy perystyl zniknęła w gęstej zieleni ścielącego się u stóp kolumn trawnika.

Dziecię krzycząc z radości pogoniło za piłką, a Helwidiusz Priscus płaszcz z ramion spuściwszy zasiadł w domowym kole swym przy stole pełnym owoców i wina. Nie miał on na sobie wspaniałej sukni pretora, bo przybywał nie wprost z bazyliki, gdzie sprawował najwyższy urząd sądowy, lecz z łaźni, do których przed powrotem do domu zwykł był wstępować. Stamtąd to zapewne wychodząc, zanim umieścił się

w lektyce swej przez kilku barczystych Kapadoków niesionej i otoczonej tłumem przyjaciół i klientów, wysoki dostojnik ten i surowy sędzia w jednym ze sklepów otaczających łaźnie kupił i z tajemnym uśmiechem pod fałdą płaszcza ukrył zabawkę, którą powitać miał jedynaka swego. Teraz w tunice białej, ozdobionej szkarłatnymi senatorskimi szlakami i uwydatniającej w pełni silne i harmonijne kształty jego ciała, przykładał on do ust czarę z chłodzącym napojem i zupełnie już wypogodzonym wzrokiem wodził po twarzach tych, których kochał. Wkrótce jednak zaszepił się znowu i brwi ściągnął groźnie, gdy na pytanie Muzoniusza odpowiadając mówić zaczął o słynnym procesie Herasa. Cóż uczynił mąż ten, stoik, od dawna trzymający się z dala od zgiełku i blasku stolicy i dworu, a którego głowa przed niewielu tygodniami spadła pod ostrzem topora na placu publicznym będącym miejscem traceniał złoczyńców? Heras złoczyńca! Nie, był to najcnotliwszy z ludzi i tylko filozofia stoików, którą wyznawał, powściągnąć nie mogła porywczosci jego, a oddalenie od świata zmieniło ją w prawdomówność nie znającą granic. Uniósł się. Publicznie, w cyrku patrząc na Berenikę, jak okryta drogimi klejnoty, miękko spuszczała głowę na ramię Tytusa, zawołał do syna cezara, że lud rzymski szanuje jeszcze cnoty rodzinne i że widok miłostek jego duszę mu zaraża.

Słowom jego odpowiedziały w wielu miejscach cyrku huczne oklaski, ale niebawem głowa Herasa rozłączyła się z jego ciałem, a mienie jego Wespazjan oddał pod zarząd procuratora a rationibus, czyli ministra skarbu.

— Sam doradziłem dzieciom Herasa — mówił Helwidiusz — aby wytoczyły proces o poojcowską spuściznę, a zanim strony przed senatem staną, pretor rozstrzyga. Wczoraj mówili ze mną posłowie Wespazjana, którego łakomstwo lęka się zdobyć tę utracić... Dziś w bazylice Marek Regulus, ten zausznik i rzecznik Nerona, przez trzy obroty wodnego zegara jadowitą ślinę swą spluwał na pamięć Herasa, a Pliniusz Se-

cundus, młodzieniec godny wielkiego stryja swego, stawał w obronie jego dzieci...

Umilkł na chwilę Helwidiusz i otarł kroplę potu, która spływała mu po śniadym czole.

— Mów dalej — szepnęła Fania.

— Mów prędzej — zawołał Muzoniusz.

— Dzieciom Herasa słusznosc przyznałem — dokończył pretor.

Fania zbladła, niemniej przeciez głowę podniosła.

— Dobrześ uczynił! — zawołała. — Ale — dodała ciszej— jedna to więcej kropla dolana do czary uraz Wespazjana.

Ogniste oko Muzoniusza zaszło wilgocią, a ściśnięte wargi Arii drgnęły i wyszeptaly:

— Zawsze to samo! zawsze to samo!

Innym razem wnet po przybyciu pretora do perystylu wbiegła kobieta, niezbyt mloda juz, wystrojona, z przyprawionymi rudymi włosy, z twarzą wysmarowaną maściami, z suknią ozdobioną różami sztucznymi, lecz które wybornie naśladowaly prawdziwe nie tylko barwą, ale i wonią. Była to Kaja Marcja, krewna Fanii, jedna z tych kobiet, jakich mnóstwo znajdowało się w Rzymie, a które po przejściu burzliwej i miłostkami zajętej mlodości starosc swą cieszyły odmładzającymi strojami, upojeniami uczt i widowisk, najbardziej przeciez zgromadzeniem i rozsiewaniem przeróżnych wiadomości o wszystkich i o wszystkim. Od wczesnego poranku do późnego zmroku przebywając na ulicach i placach publicznych, w portykach i ogrodach, w świątyniach i łaźniach, w przedsiionkach i salach jadalnych, od prostego rzemieślnika i niewolnika pełniącego służbę we wnętrzu możnego domu do najwyższych dostojników i najwybredniejszych wykwintnisiów, wszystkich znając i ze wszystkimi rozmawiając chętnie, wiedziały one o wszystkim wprzód niż ktokolwiek inny, a to, co wiedziały, roznosiły po ogromnym mieście z większym pośpiechem niż cesarsey gońcy cwałujący na bystrych koniach po

przerzynających państwo drogach publicznych. Woniejąca różami, lekko, na skrzydłach jakby niesiona, do piersi tuląc malutkiego pieska, którego kosmaty pyszczek tylko wyglądał spośród róż i pstrych materii ubrania, Kaja Marcja wbiegała do perystylu wołając:

— Pozdrawiam was, dostojni! Witaj, pretorze! Przecho-
dząc ujrzałam cię wysiadającego z lektyki! Wróciłeś więc już
z bazyliki, w której pewno nie dowiedziałeś się jeszcze o naj-
ważniejszej nowinie dzisiejszej! Dzisiejszej nocy Domicja
Longina zniknęła z domu męża swego, Eliusza Lamii! Upro-
wadził ją i w swoim pałacu zatrzymał Domicjan, młodszy syn
cezara, którego niech bogowie nieśmiertelnym uczynić raczą!
Cóż ty na to, pretorze? Biedny Lamia! Nie żałuję jednak
ślepeca tego. Ostrzegłam go sama, a w odpowiedź rzekł mi on
tylko ze śmiechem: „W każdej kobiecie młodej i pięknej wi-
dzisz, Marcjo, samą siebie; ale wiedz o tym, że Domicja moja
wcale do ciebie podobną nie jest!“ Jego Domicja! — Otóż
nie do niego już, ale do młodego cezara należy ona! Co on te-
raz uczyni, ten zakochany ślepiec? Z Domicjanem walczyć nie
radziłabym mu, przed kapryсами łysiejącego młodzieńca tego
stary Wespazjan nawet i piękny Tytus ustępować muszą; na-
piera się teraz podobno, aby wysłano go na wojnę z Allana-
mi. Bo będziemy mieli wojnę. Niedarmo przecież w Sycylii
spadł deszcz czerwony, a w Wejach urodziło się prosię z ja-
strzębimi szponami! Nieszczęścia wiszą nad Rzymem. A ty,
pretorze, miej się na baczości! Słyszałam, żeś srodze obraził
bóstwa wyrokiem swym wydanym w sprawie dzieci Herasa.
Dwa dni temu przy stole Wespazjana ktoś nagle zapytał: „Dla-
czego piękna Fania nie ukazuje się nigdy na dworskich zebra-
niach?“ Przepowiadają edykt cesarski, który filozofów skaże
na wygnanie z Rzymu. Cestiusz rozwodzi się z żoną swoją,
Flawią, którą podobno Judejczycy nauczyli czcić oślą czy
koźlą głowę. Czy słyszeliście o drogocennym pierścieniu, który
Tytus dla Bereniki ze Wschodu sprowadził? Żadna Rzy-

mianka nie miała nigdy tak kosztownych klejnotów, jak te, którymi Tytus przyozdabia judejską kochankę swoją.

Mówiąc to wszystko wielkimi haustami wypróżniała czary wina i serdecznymi słowy osypawszy rodzinę pretora wiecznie jednak ruchliwa i wesoła, do ruchu przy tym pobudzana skomleniem pieska swego, dom Helwidiusza opuściła. Nie wiedziała wcale, że pozostawia za sobą twarze poblądłe od smutku i gniewu.

— Na mściwego Jowisza! Nie Lamię to tylko obraził Domician płamiąc i gwałcąc domowe ognisko jednego z obywateli rzymskich! Czy nikt już w swych ścianach domowych bezpiecznym być nie może od kaprysów i napaści syna cezara! Teraz to dopiero cenzorowie, ci starodawni stróże rzymskiej cnoty, nie próżnowaliby na swym urzędzie, gdyby... gdyby urząd ten istniał jeszcze! Lecz cóż naprawdę trwa jeszcze w Rzymie z tego, co niegdyś istniało? Gdzie jest powaga i władza konsulów będących już teraz marnym cieniem czegoś, co było? Gdzie samodzielność i duma senatu, który niekiedy już tylko odważa się być słabym echem swej przeszłości? Gdzie trybunowie gminni, których rozum i wymowa broniąc praw ludu dźwigały go zarazem nad podłość służalstwa i nad zwierzęce zasklepienie się w interesach brzucha, którego żywić już nie chcą rozpróżniane ręce? Wszystkie te rękojmie obrony i dostojeństwa Rzymu skupiły się w jednej dłoni, spoczęły na jednej głowie...

— Nieszczęsny, znieważony Lamiu!

— Domicia Longina wiernie dotąd i szczerze kochała małżonka swego.

— Tak! — z szyderstwem zawołał Helwidiusz — lecz jakąż miłość i jaka cnota oprzeć się mogą w Rzymie ponętom zięjącym z Palatyńskiego wzgórza?

— Którego fundamentem jest gawiedź psuta hojnie sypaną jej jałmużną i szaleństwem igrzysk, a murem obronnym miecze i dzidy żołdactwa — wyrzekł Muzoniusz.

Mówiono potem o podstępny procesie wytoczonym przez przyjaciela Domicjana, Metiusa Hara, w celu wydarcia połowy mienia Polii Argentarii, wdowie po poecie Lucjanie przez Nerona na śmierć skazanym. Domicjan poprzysiągł, że przyjaciel jego tryumf i bogate łupy odniesie ze sprawy tej, która niebawem wytoczoną będzie przed trybunałem pretora.

— Znowu Helwidiusz... — zawołała Fania i umilkła nagle.

Stara Aria, nieruchoma w swym poręczowym krześle, wyprostowana i surowa w żałobnych sukniach swych i zasłonach, poruszała zwolna zwiędłymi wargami i jakby zmęczoną pamięcią swą coraz nową paciorkę niżąc na długi sznur wspomnień szeptała:

— Zawsze to samo! zawsze to samo!

W rozmowy te, w których głucho zdawały się wrzeć powściągane gniewy i namiętności, mieszały się przylatujące z ogrodu wybuchy i gamy dziecięcego śmiechu. Mały Helwidiusz bawił się piłką, która w powietrzu z brzękiem zwijając swe obręcze w postaci złotego półksiężyca na trawę spadała.

Mirtala nie kryła się już za krzesłem Fanii, ale u stóp perystylu na trawie przysiadłszy błyszczącymi oczami ściagała wesołą grę dziecka.

— Pójdź! — zawołał raz na nią mały Helwidiusz, — pokazę ci, jak trzeba toczyć trochus po ścieżkach ogrodu i rzucać onyksowe kule po planach pochyłych!

Brała odtąd udział w zabawach tych, którym przez dni tyle w awentyńskim portyku przypatrywała się z dala z zazdrością i zachwyceniem. Na wyścigi z gibkim, swawolnym chłopcem biegła za mosiężnym kołem z przeraźliwym brzęczeniem dzwonek toczącym się po źwirze wysypanych ścieżkach lub pośród trawnika z podniesioną twarzą wyciągała dłoń po spuszczający się ku ziemi złoty półksiężyc. Świeże, wonne powietrze ogrodu, tak niepodobne do tego, jakim na Transtiberim oddychała, rozszerzało szczupłą jej pierś i białość twarzy zapalało płomieniem rumieńca. Usta jej śmiały

się, oczy błyszczały szczęściem; wydawała się dzieckiem potrzebującym szerokiego oddechu swobody i radości, ptakiem wypuszczonym z klatki i którego skrzydła drżały do lotu. Helwidiusz i Fania stojąc wśród żółtych kolumn perystylu, które w łunie słonecznej i na tle zieleni paliły się jak ogniste słupy, z uśmiechem patrzali na głośną zabawę jedynaka z tą obcą, lecz wdzięczną dziewczeczką. Oczami malarza patrzył też na nią Artemidor, i wkrótce potem trzymając w dłoni swej rękę Mirtali oprowadzał ją po domu pretora ukazując i tłumacząc znajdujące się w nim dzieła sztuki. W triclinium, czyli w sali jadalnej, stawali przed okrywającym ścianą wielkim obrazem, pośród którego na tle świeżego jak wiosna krajobrazu, nad brzegiem wody, w zieleni gaju, z rozwianym płowym włosom, igrała z towarzyszkami swymi wdzieczna i poetyczna Nauzyka. Artemidor słowami Homera powtarzał dzieje królewskiej tej córki, a Mirtala z rozżarzonym wzrokiem słuchała dźwięków epopei greckiej, melancholijnie i słodko brzmiącej w pąsowych ustach malarza.

— Tyś do niej podobna — mówił. — Czy wiesz, kto obraz ten malował? Kobieta. Jaja z Kryzykosu, sławna malarka, którą w czasach Augusta czcił jak bóstwo cały świat grecki i rzymski. Ty także mogłabyś kiedyś tworzyć arcydzieła takie.

Rsy haftarki okrywały się wyrazem dojmującego żalu.

— Nigdy! — odrzekła — religia ojców moich wzbrania pędzlem czy dłutem naśladować postacie ludzkie!

— Jakto! więc w domach swoich nie macie posągów?

Przecząco wstrząsnęła głową.

— Ani obrazów?

— Nie!

— I wzbrania wam tego religia wasza? Cóż za barbarzyństwo! Jaki bezmyślny i gruby zabobon!

Śmiał się. Grek z pochodzenia, urodzony i wychowany w Rzymie, którego ulice i place zdobiło trzydzieści tysięcy dzieł rzeźbiarskiej sztuki wykonanych z marmuru, brązu,

złota i kości słońcowej, którego świątynie, teatru, domy roily się fantastyczną ludnością tą przez pracę wielu stuleci i geniusz dwóch ludów z kamienia i metalu wywołaną, dziecię cywilizacji wykwintnej i sięgającej już najwyższych swych szczytów, wychowawiec filozofii wyzwalającej rozum ludzki, artysta mistrzowsko malujący kwiaty, ptaki, dzieci, młodzieńcze twarze i wszystko, co na ziemi wiosną było, świeżością, rozkwitem i śmiechem — długo dźwięcznie i wzgardliwie i razem serdecznie śmiał się z ponurego ludu za występki poczytującego to, co dla niego było skrzydłem myśli, iskrą serca, najpyszniejszą ozdobą i rozkoszą życia. Nagle przestał śmiać się.

— Czegoś ty taka smutna, Mirtalo?

Teraz dopiero spostrzegł zmianę, która w niej zaszła od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w portyku. Rumieńce zdrowia i blaski wezbranego życia oblewające ją w ogrodzie wśród wesołej zabawy i na tle powietrza zrózowionego łunami słońca pogasły i znikły. Teraz stali pośrodku obszernej sali, do której światło dzienne wlewało się tylko przez czworokątny otwór dachu na kilku kolumnach wsparty i kawałkiem błękitnego nieba świecący prostopadle nad okutą w marmur szybą kryształowej wody. W wodzie pływały złote i pąsowe rybki, dokoła niej rosły w rzeźbionych wazonach szerokolistne rośliny, a kilka brązowych amorków wychylając się z zieleni zdawało się igrać złotymi piłkami. Smuga zachodzącego słońca wnikając przez otwór dachu stała w powietrzu ognistym słupem, za którym nieśmiało w głęboki cień kolumny kryło się dziewczę w spłowiałej sukni przewiązanej barwistym, haftowanym pasem, ze znieruchomiałą drobną kibicią i opuszczonymi bezwładnie szczupłymi ramionami. Przychudłe już i wprzódki policzki jej stały się jeszcze chudszyimi, twarz całą okrywał wyraz cierpiącego marzenia, a w zapadłych nieco, szeroko rozwartych oczach mieszkając się zdawał cały smutek ludu, który jak występku wyrzekał się najpiękniejszych uro-

ków życia, i tam na brudnym, cuchnącym przedmieściu wiódł ponury i złorzeczący żywot zwyciężonych.

Jak z portyku, do którego przybywała zawsze wesola i żwawa, tak z domu pretora, który rajem ziemskim był dla niej, Mirtala wracała na rodzinne przedmieście swe powoli, z pierśią pełną tłumionych westchnień, z głową ciężką od dziwnych myśli i marzeń. Jak w sennym marzeniu przed oczami jej przesuwały się nieustannie twarze i obrazy, które pozostawiała za sobą nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze je ujrzy; niby iskry migotały w zmroku rubiny zdobiące srebrzystą zasłonę i krucze włosy Fanii; powoli unosiła się kędyś wysoko tragiczna twarz Arii; lekka Nauzyka biegła nad brzegiem morza; chóry skrzydlatych amorków igrały złotymi piłkami; uśmiechniona Wenus uczyła służyć Iwa potężnego; rzędy złotych kolumn paliły się w słońcu jak ogniste słupy; wśród bieli marmurów kwieciste zasłony opadały miękkimi fałdy; aloesy przeglądały się w kryształowej szybie wody usianej złotymi i szkarłatnymi rybkami...

— Czegoś ty taka smutna, Mirtalo?

Pytanie to szło za nią i wraz z nim szły pąsowe usta, które je wymówiły, i czarne, ogniste oczy, które w twarzy jej utonęły z przyjaznym współczuciem. Za nią, przed nią, w powietrzu, na niebie i ziemi szła wysoka, gibka postać męska w białej tunice, z obnażonym ramieniem trzymającym pęzel niby berło. O, królu!... Pęzel opadał wciąż na paletę i podnosząc się ku lśniącemu szlakowi marmuru przedko, cudem niby, wywoływał nań nieskończoną, zda się, grę życia, wiosny, młodości, radości. Róże i lilie spletały się tam i pachniały, szczebiotały ptaki, zza greckich zygzaków, wesółych, figlarnych, wyglądały dzieci skrzydlate o ciałach rumianych... O, promieniu!...

Królem w krainie piękna, promieniem słońca w mroku jej młodości wydawał się jej obcy młodzieniec ten, którego imię... U końca mostu stanęła i oczy wznosząc ku niebu, na

którego ciemnym tle błyszczała już jedna wielka gwiazda, wymówiła:

— Artemidor!

Był on tak daleko od niej i tak nad nią wysoko jak gwiazda.

Nagle wzdrygnęła się i przyspieszyła kroku. Z marzeń wyrwała ją głośnie i grubiańska wrzawa. Przebywała jeden ze szczupłych i brudnych rynków Transtiberim, przy którym największa z oberż przedmieścia, Taberna meritoria zwana, wrzała zmieszanyimi krzykami i śmiechami mężczyzn i kobiet łączącymi się z huczącym odgłosem sumbuki, syryjskiego muzycznego instrumentu, z piskliwymi tonami fletów i przyciszonym dzwonieniem sisto, metalowych kastaniet, wstrząsanych podniesionymi rękami syryjskich tancerek. Taberna meritoria była jednym z najulubieńszych miejsc zabaw gawiedzi złożonej z ulicznych próżniaków, opitych lektykarzy i tragarzy, niewolników wymykających się o zmroku z domu swych panów i z tamtej strony rzeki śpiesznie ku niej przybywających. Tu najliczniej schodzili się kuglarze pokazujący za drobną zapłatą sztuki akrobatyczne, psy uczone, kury wróżące, walczące przepiórki i koguty; tu przy dźwiękach sumbuki i fletu tańczyły kobiety o żółtych twarzach, w srebrnych pierścieniach na palcach nóg bosych; tu nad ogniem fajerek smażył się nieustannie najpożądany przysmak rzymskiej gawiedzi: kielbasy z wieprzowego mięsa; tanie wina lały się z amfor w kubki z czerwonej gliny; tu na koniec zjawiał się niekiedy i tłumy ku sobie pociągał cud zadziwiający i ponętny: obficie z odłamu skały ciekący strumień oliwy. Ktokolwiek chciał, mógł czerpać ze strumienia tego. Tłumy cisnęły się do oberży z amforami, dzbanami i kubkami w rękach, a były zawsze tak liczne i liczbą swą śmiałe, że edylowie strzegący publicznego porządku i przebiegające miasto oddziały nocnych straży odwracając oczy z daleka miejsce to wymijały.

Mirtala tuląc się do ścian domów jak drobny, chyży cień przebiegła rynek. Po raz to pierwszy w tak późnej porze znajdowała się w pobliżu strasznej oberży. Wracała zazwyczaj wcześniej, o zachodzie słońca. Dziś spóźniła się. Długo odpowiadając na pytania, które jej zadawał, rozmawiała z malarzem. Powoli, ośmielona, opowiedziała mu dzieciństwo swe spędzone na płaskim dachu małego domku Menochima i na śmietniskach wąskiej uliczki wraz z przybranym bratem swym, Jonatanem, który był taki dobry dla niej i łagodny, bardzo ją kochał, a potem, nagle, poszedł bronić Jerozolimy i... już nie wrócił. Opowiedziała ciche i długie dumania swe u stóp gaju Egerii, gdy tam codzienną żywność przynosiła przybranemu ojcu; a potem zachwyty swe nad haftarskimi krosnami, w których rozsnuwały się z głowy jej płynące, coraz nowsze i piękniejsze wzory; a potem jeszcze smutek, którym przemawiało ją brudne, brzydkie, duszne przedmieście, i trwogę, jaką napełniał ją Syryjczyk Silas, wróg jej ojca i ją samą ściągający często grubiańskimi gestami i słowy...

A teraz wszak słyszy znowu głos Silasa! O! głos ten wybija się z tłumu, biegnie za nią, zbliża się zmieszany z innym głosem jakimś, kobiecym, który także słyszała kędyś... Ją to wyraźnie ścigają dwa te głosy ochryple, urągliwe, rozchichotane śmiechem podobnym do zwierzęcego rżenia. Przy tym biegnie też za nią i goni ją śpieszny tętent stóp... Wątpić nie mogła, że w przezroczystym zmroku dostrzegł ją bawiący się przed oberżą Silas. Biec zaczęła tak szybko, że tchu brakło w jej piersi. Rynek pusty był, domy tylko szczelnie pozamykane, puste tarasy, i tam... ta straszna, pijana, szalona wrzawa oberży...

— Na Molocha i Beliala, bogów przodków moich! nie wmkniesz mi się tym razem, chuda przepiórko! Raz przecie pochwyć cię i dobrze utuczę świńskim mięsem i uściskami mymi...

— Niech wprzód, Silasie, ja ją w pazurach moich uściskę,

tę przeklętą haftarę, która zamienić mię ma na służbie u dostojnej Fanii! — krzyczał zdyszany głos kobiecy.

Mirtala pomimo śmiertelnego przestrachu poznała głos Egipcjanki Chromii, ciemnotwarzej garderobiany Fanii, która w domu pretora ciskała na nią często ponure i jadowite spojżenia. Zazdrościła jej łask swej pani i lękała się zostać zastąpioną przez żydowskie dziewczę z *Transtiberim*.

— Na pomoc, Babasie! — krzyknął Silas do człowieka, który w tej chwili z oberży na rynek wybiegł. — Nogi dłuższe masz i silniejsze od moich; wyciągnij je, Babasie, i pomóż mnie i Chromii złowić tę gadzinę wypętlą z jaszczurczego gniazda!

Silna, jakby żelazna dłoń Babasa na ramię jej opadła i czarnymi włosy obrośla twarz tragarza zionęła na głowę jej oddechem cuchnącym cebulą i winem. Z innej strony chwycił już pas jej zwinny Silas, a przed nią, z rozczochranymi włosy i rozognionymi oczami, istny obraz pijanej jędzy, wysunęła się Chromia i rozwarłe, zakrzywione, srebrnymi pierścieniami błyszczące palce swe do twarzy jej przykładła.

— Nie drap jej, Chromio — wołał Babas — zanim przyrzemy się jej przy świetle palącym się w oberży!...

— Przeciwnie! na wszystkich bogów twoich i moich! pociągnij po twarzy jej pazurami swymi tyle razy, ile asów zarobku odbiera mi codziennie ojciec jej, Menochim!...

W tej chwili nad trojgiem ludzi porywających już swą ofiarę zabrzmiał donośny i dźwięczny głos męski:

— Na Persefonę! Cóż to za napaść na niewinne i bezbronne dziewczę? Czy na przedmieściu tym poślepli edyłowie? czy nigdy nie przechodzi tędy straż nocna? Precz stąd! łajdacy, opilcy bezwstydni! zakało Rzymu! Pierchajcie, bo straży zawołam! lecz wprzód z ręki mojej przyjmcie te podarki, które się wam należą...

Mówiąc to pchnął w plecy Silasa z taką siłą, że zatoczył się on na półpijanych nogach i twarzą ku ziemi upadł; po

czym zamierzył się na wysokiego i silnego Babasa, ale ten, za ledwie na niespodziewanego przybysza spojrzenie rzucił, odskoczył wnet i w szalonych podskokach długich i silnych nóg swych ku oberży uciekać począł. Po długim, fałdzistym płaszczu osłaniającym wysmukłą postać i po rysach twarzy rozgniewanej i dumnej Babas w przybyszu poznał nie widywane tu nigdy zjawisko: Rzymianina z tamtej strony Tybru. Był to więc może urzędnik dostojny albo pan bogaty, z którym kłótnia niebezpieczną była dla jego tchórzostwa i niepodobną dla służalczej jego względem dostojności i bogactw pokory. Poznała też w nim Rzymianina z tamtej strony Tybru Chromia i z głośnym krzykiem zdumienia i przestrawu do stóp mu upadła.

— Artemidorze! nie gub mię nieszczęsnej! Dostojny! zlituj się! Tajemnie wymknęłam się z domu pani mojej, Fanii, aby z przyjaciółmi mymi, Silasem i Babasem, wesołą przepędzić godzinę! Przeklęta dziewczka ta usiłuje miejsce moje zająć... podziemne duchy natchnęły mnie zemstą... Najdostojniejszy! nie gub mię!...

Ze wstrętem od stopy swej, do której przywiązała się ramionami, odepchnął Egipcjanę, której gibkie, półnagie ciało do wijącego się węża w chwili tej było podobnym, i łagodnie ująwszy rękę Mirtali pociągnął raczej, niż powiodł ją dalej w chaotyczne i mroczne uliczki przedmieścia.

— Wskazuj mi drogę do domu ojca twego! Bogowie! jakież ponure miejsce! Niech umrę, jeśli odgadnę, jakim sposobem ludzie mieszkać mogą w takich drewnianych budach! A toż co znowu? kupa śmiecia podobno, kałuża pośrodku ulicy! Czy doprawdy znajduję się w Rzymie?

— Jakim sposobem znalazłeś się tu, panie?

— Gdyś wyszła z domu Fanii, poszedłem za tobą.

— Za mną?

Ciche pytanie to podobnym było do łkania. On przeciw-

nie wesołym był jak zawsze. Bawiła go znać niezwykła przygoda, wesoło zadziwiła własna w tym miejscu obecność.

— Odkąd wszedłem na to przedmieście, wiem już dobrze, dlaczego bywasz smutną. Żałuję cię. Uczyni wedle domniewania przebrzydłej Chromii. Pozostań przy Fanii, która chętnie w domu swym miejsca ci udzieli. Piękność i wesołość wezmą cię tam w twórcze swe ramiona, a ja przychodzić tam i uczyć cię będę sztuki malarskiej. Uczynię z ciebie drugą Jaję z Kryzykosu...

Mirtala wysunęła rękę z jego dłoni i stanęła jak wryta. W cieniu widać było, jak dłonie jej błagalnie splotyły się u piersi.

— Odejdź stąd panie! — szepnęła.

Artemidor obejrzał się.

— Czy dlatego odejść mam i samą jedną pozostawić cię w tej ponurej dziurze, że znowu słyszę goniące cię kroki czyjeś? — żartobliwym tonem zapytał.

Istotnie, od kilku minut ktoś szedł za nimi. Był to mężczyzna wysoki i szczupły, którego twarz niewidzialną była w zmroku i w cieniu szerokich brzegów kapelusza. Nie ścigał ich, lecz równym, chociaż znużonym krokiem w pewnym odaleniu wciąż postępował.

— Jeżeli nie mylę się — rzekł Artemidor — jest to rzemieślnik, z którym wracając spotkać mi się przyjdzie. Pomimo ciemności widzę, że oberwańcem jest i że cieszy się ze spotkania niezwykłego tu łupu. Mniejsza o to! spotka pięść moją, a jeśli to nie wystarczy, ostrze mego sztyletu...

Krótki, ostry sztylecik z bogatą rękojęścią błysnął mu w dłoni. Zaśmiał się.

— Ile razy wychodzę sam albo w towarzystwie jednego tylko Heliasa mego, biorę to z sobą, aby móc w razie nie miłego spotkania własną ręką dopomóc do opiekowania się mną przyjaznej mi dotąd Fortunie. Dziś nie tylko przyjaciół

swoich, ale i mego miłego Heliasa odprawiłem. Chciałem pomówić z tobą sam na sam. Dlatego za tobą szedłem.

Po chwili znowu mówić zaczął:

— Cóż, Mirtalo? Uczynisz, jak ci doradzam? Pozostaniesz w domu Fanii? Pomyśl. Sztuka jest państwem czarownym, rozległym, pełnym rozkoszy, których bogowie sami wybrańcowi jej zazdrościć mogą. Królową w państwie tym być możesz. Wolną być możesz od trapiących naród twój zabobonów bezmyślnych, od ponurych i nędznych widoków Trans-tiberim, od prześladowań Silasa i jemu podobnych... Kto inny powiedziałby ci, że uczyni cię swą kochanką. Ja nie. Uwodzenie niewinności nie jest rzemiosłem moim. Nie jestem ja skromnisiem, ale małoż jest w Rzymie bezwstydnic, które mi już zbrzydły? Kiedy na ciebie patrzę, lepiej niż dawniej rozumiem słowa mistrza mego, Muzoniusza: „Uczciwością męża jest nie dotykać zepsuciem nikogo i nie obrażać skromności niczyjej“. Zajmujesz mię więcej, niżem zrazu mógł mniemać, ty, cudzoziemska Arachne... Oczy masz piękne i wymowne, a usta twoje podobne są do koralu zwilżonego rosą. Ale nad oczy i usta twe piękniejszą jest stokroć ta iskra twórczości, którą nieznanne siły w pierś twą położyły. Ja iskrę tę w płomień zamienię. Uczynię z ciebie malarzkę na cały świat głośną, a wtedy otoczą cię kołem radosnym wszystkie rozkosze sławy, bogactw i miłości!...

Tym razem mówił z powagą i zapalem. Ona stanęła znowu i splecione ręce ku niemu podnosząc stłumionym głosem zawołała:

— Artemidorze!

W wykrzykniku tym była wdzięczność bez granic i upajająca radość; jednak drżącymi usty po chwili szeptała:

— Odejdź stąd! Oto są drzwi domu Menochima. Wszak zobaczę cię jutro w portyku... Pomiędzy wami na zawsze nie pozostanę... nigdy...

Załkała cicho, głęboko.

— Ale wszakże cię jutro zobaczę w portyku, Artemidorze! Odejdź stąd! Oto są drzwi domu Menochima. Wszakże cię jutro zobaczę, panie!

— Zostań w pokoju i myśl o radzie, którą ci daję. Przyjdź jutro do portyku. Pokażę ci, jakim sposobem maluję ptaki te, które dziś tak podziwiałaś... Przyjdź do portyku...

— Zobaczę cię jutro, panie!

Odszedł i wkrótce skrzyżował się z nocnym wędrowcem, na którego plecach teraz dopiero spostrzegł podróżną torbę, a w ręku wędrowny kij. Nie był to więc rzezimieszek, ale podróżny jakiś wśród umilkłych i śpiących uliczek przedmieścia szukający na noc przytułku. Spokojnie minął on Rzymianina i widać było tylko, że usiłował w zmroku rozpoznać rysy jego. Potem przyśpieszył kroku i Mirtalę, która otworzyć już miała drzwi ojcowskiego domu, za rękę pochwycił. Zarazem cicho, prędko, syro-chaldejskim językiem przemówił:

— Któżeś ty, izraelska dziewczyno tocząca nocne rozmowy z cudzym młodzieńcem w języku Rzymian?

Pochylał się ku niej coraz niżej i nagle prostując się stłumionym głosem zawołał:

— Mirtala! Mirtala!

Ona rzuciła się ku domowi i niknąc w jego wnętrzu pozostawiła drzwi na oścież otwarte. Przez te otwarte drzwi ukazała się izdebka mała, niska, z ciemnymi, drewnianymi ścianami, których chropowatej nagości nie przyozdabiało nic, oświetlona mdłym światłem małej lampy, mglista od dymu, czarną nicią wijącego się z na pół zwęglonego, po roztopionym tłuszczu pływającego knotu. W ciemnej ramie ścian i sufitu izdebki, w mgławym i dymnym świetle, na drewnianym stołku, przed stołem okrytym wąskimi i długimi kartami pergaminu, zgarbiony, z trzcinką służącą do pisania w rękę, z rozrurionymi policzkami siedział Menochim. Na odgłos śpiesznych kroków wbiegającej do izdebki Mirtali podniósł twarz.

— Tyżeś to, Mirtalo? dlaczego wracasz tak późno?

Ale dziewczyna zniknęła kędyś w najciemniejszym kącie izby; natomiast w drzwiach otwartych stał podróżny z torbą na plecach, w kapeluszu z szerokimi brzegami. Gdy tylko z postacią tą spotkał się wzrok Menochima, całe ciało jego jak targnięta struna wyprężyło się i pochyliło naprzód. Sekund kilka pochyłony, sztywny, z szeroko rozwartą źrenicą wpatrywał się w przybyłego, aż porwał się ze stołka, zachwiał się, wyciągnął naprzód ramiona i wielkim głosem, w którym czuć było łkania i śmiechy, krzyknął:

— Jonatan!

IV

Jonatan torbę swą i kij sękaty na ziemię rzucił i na klęczki runąwszy długo twarz swą ukrywał w sukni Menochima, który osunąwszy się na stołek drżącymi rękoma obejmował jego szyję, dotykał ramion i twarzy, głowę swą okrytą ciężkim turbanem do czarnowłosej głowy jego przykładając. Ani jedno słowo z ust ich nie wychodziło; milczenie panowało w izbie, w której najciemniejszym kącie niewyraźnie szarzała do drewnianych krosien haftarskich przytulona postać niewieścia. Knot w lampie zatrzeszczał, karta pergaminowa z szelestem zsunęła się ze stołu, Menochim zdławionym szeptem wymówił:

— Synu mój! bohaterze! chlubo Izraela i boleści moja!

Jonatan ręce jego od ust swych odjął.

— Chwałę i wysławiam Pana, że pozwolił mi zobaczyć cię jeszcze, ojcze!

— Wstań, wyprostuj się, ukaż mi twarz swoją! Niech ujrzę, żeś jest tym samym, który przed czterema laty odszedł ode mnie, aby z piersi swej dla ojczyzny naszej uczynić wał obronny! Niech ujrzę, co uczyniła z ciebie wojna straszliwa i tulaćzka długa! Wstań, synu!

Jonatan podniósł się z klęczek, ale przez sekund parę chwiał się jak człowiek śmiertelnie znudzony i posługujący się ostatkami sił swoich. Wzrost miał wysoki i znać było, że kiedyś barczystym i silnym być musiał. Teraz jednak tunika rzymska, ciemnej barwy, zszarzana i niedbale opadająca mu aż prawie do stóp obutych w grube, płytkie sandały ukryć nie mogła niezmiernej chudości i wynędznienia ciała jego. Kości

ramion i bioder jego sterczały; szyja wychylała się z podartych brzegów tuniki, koścista i okryta ciemną, zgorzałą od skwarów skórą; twarz o pięknych, podłużnych rysach, ciemna także, spalona, krótkim, czarnym zarostem obrosła, uderzała wklęsłością policzków uwydatniającą długość przygarbionego nosa i wypukłość warg tak prawie białych, jak pergaminy pokrywające stół Menochima. Widać było, że postać tę i twarz długo i bezlitośnie rzeźbiły: głód i bezsenność, trudy ciała i rozpacz ducha, wiatry, mróz i upały pustyni. Lecz ani dnie głodowe i noce niespane, ani męczarnie mokołów i bólów, ani ostrza wichrów i płomienie skwarów nie mogły zagasić w tej wynędzniałej piersi ognia, który w niej płonął i wyglądał na zewnątrz przez oczy głęboko zapadłe, ciemnymi kołami objęte, czarne jak noc i czarnymi, gęstymi brwiami ocienione. Stał, wyprostował się i na Menochima patrzył, aż ponurość twarzy jego rozwidniła się uśmiechem i suchy ogień oczu ochłodził w zapływającej je łzie. Przez uśmiech ten i tę łzę, która nie spłynęła na policzki, lecz tylko oszklifica źrenicę, przejrzało coś z przeszłości człowieka tego dalekiej, dalekiej, pacholęcej, niewinnej, może wesołej...

Menochim dłońmi twarz zakrył; cienka postać jego przewiązana grubym pasem i głowa ocieniona zwojami turbanu zakołysała się powoli w strony obie.

— O! biedne, nieszczęsne, zniweczone dziecko moje! — zawołał. — Po coś ty tu przyszedł? po coś przybliżył się do jastrzębich szponów? Lepiej by ci było z głodu na pustyni umrzeć albo w jaskini lwa oczekiwać godziny zbawienia, niż tu schwytanym zostać przez wrogów i zginąć pod ich toporem albo zgorzeć w płomieniach stosu. Wiedziałem, że żyjesz, i z sercem trzęsącym się od trwogi myślałem często: „On tu przyjdzie! zechce zobaczyć starego Menochima i młodą oblubienicę swoją i przyjdzie!“ Kiedym stróżował tam, u gaju Egerii, liście drzew szeptały mi: Przyjdzie! gdy usypiałem, widziałem anioła z żałobnymi skrzydły, który płacząc z litości

szeptał mi: Przyjdzie! Wyciągałem ręce ku niebiosom żebrząc u Pana: Niech nie przychodzi! I oto przyszedłeś, jesteś tu, a ja czymże zasłonię cię przed oczami wrogów, czym cię przed pociskami ich obronię? Ubogi jestem i nieznany, siły nie mam żadnej i porwą cię stąd ode mnie, jak jastrząb u gołębiczy małe jej porywa!...

Jonatan uśmiechał się znowu, ale inaczej już niż wprzód: niedbale, prawie wyzywająco.

— Nie trwóż się, ojcze — rzekł — przebyłem drogi długie i ludne, a nikt mnie nie poznał. Ubiór edomitów przybrałem i językiem ich umiem mówić tak dobrze, jak oni...

— Rysy twarzy twojej zdradzają cię...

— Jak trzoda kóz spędzonych z pastwiska swego, tak rozsiani są teraz Izraelici po całym przestworze rzymskiego państwa. I w samym Rzymie mieszka ich mnogość wielka...

— Ciebie szukają... Nie darmo byłeś przyjacielem najmilszym i nierozłącznym towarzyszem Jana z Giszali; nie darmo w bojach ściągałeś na siebie sławę nieustraszonego wojownika! nie darmo uparty i niepokonany należałeś do szczupłej garści tych, którzy zamknąwszy się w świątyni, opuszczeni przez wszystkich, bronili świętości Izraela, aż dopóki bezbożne usta Tytusa nie rozkazały rzucić na nie główni pożogi! Cezar sam wie o tobie, pamięta cię Tytus, pamiętają pewno rzymscy żołnierze...

Jonatan podniósł głowę.

— A więc — zawołał — niech mię chwytają, więżą i uśmiercą, jak uśmiercili tylu braci moich godniejszych i doskonalszych ode mnie!

Ale widząc, że Menochim od stóp do głowy zadrżał, łagodniej dodał:

— Uspokój się, ojcze! pod dachem twoim przebędę tylko dni kilka. Niech oczy moje napatrzą się na twarz twoją, która była dobroczynnym słońcem mego dzieciństwa; niech uszy moje nasłuchują się głosu twego, którego nauki uczyniły mię

tym, czym jestem. Potem odejdę stąd tak niepostrzeżenie, jak tu przybyłem, i skryję się w pewnym zakątku Galii, gdzie kilku przyjaciół moich bezpieczny znalazło przytułek i gdzie mnie także odkryć nie zdoła wzrok prześladowców. Bądź spokojny. Starać się będę, by cię nie ugodził ten cios, na myśl o którym drży z bojaźni twoje dobre, ojcowskie, sterane serce!...

Uspokojony nieco Menochim odsłonił twarz i spojrzeniem szukając kogoś w głębi izby zawołał:

— Mirtalo!

Na dźwięk imienia tego twarz młodego Izraelity stała się znowu twardą i posępną, czarne brwi zbiegły się nad oczami jego, które pod badawczym i pół srogim wejrzeniem ogarnęły wysuwającą się z mrocznego kąta dziewczynę. Oderwała się od krosien swych, do których dotąd zdawała się być przykutą, i wyszła na światło lampy powolnym, trwożliwym krokiem. Widać było, że scena i rozmowa, których świadkiem była, silne na nią wywarły wrażenie. Twarz jej oblewał gorący rumieniec; nieśmiały wzrok to chylił się ku ziemi, to z miękkiem, rozrzuwionym wyrazem spływał na Menochima, to zwracał się ku Jonatanowi, a spotkawszy się z badawczym wejrzeniem jego zmacony spływał znowu na glinianą podłogę. Chudy ten, od nędzy szerniały człowiek, z rysami stwardniałymi w walkach, z ponurym płomieniem w zapadłych oczach, budził widoczną trwogę w dziewczynie tej o wątłym, delikatnym ciele i duszy artystycznej, rozkochanej w pięknościach linii i barw, w całej radosnej i świetnej promienistości rzymskiego świata. Ze spuszczonej powiekami, milcząc wysłuchiwała rozkazów Menochima, który mówił jej, aby wnet poszła do domu Symeona i Sary, oznajmiła im o przybyciu Jonatana i prosiła ich o wieczerzę dla drogiego gościa. Potem posłuszna i cicha wyszła bez najlżejszego szelestu, drzwi za sobą zamykając.

— Bracia nasi nie zdradzą nas — po odejściu jej mówił Menochim — wszyscy oni kochają cię i wysławiają imię twoje...

Jonatan z brwią ściągniętą, chmurny i roztargniony wpatrywał się w znajdującą się u stóp jego wklęsłość glinianej podłogi.

— Ojczy! — zaczął z cicha — odkąd odszedłem stąd, Mirtala dorosła.

Wzajemnie Menochim zajęty jedną, najważniejszą dla niego w tej chwili myślą na słowa jego nie zważał.

— Symeon — ciągnął dalej — powinien koniecznie dziś o przybyciu twoim wiedzieć. Mąż to jest z ponurym obliczem, lecz mądrą głową i sercem gorąco kochającym swych braci. Jako ojciec synagogi zwoła on jutro do domu modlitwy Moade-El, święte zgromadzenie, na którym opowiesz całej kehili (gminie) naszej drogi, jakimi cię Pan prowadził. Opowiadania takie nieraz rozlegają się w ścianach synagogi, rozgrzewają ostygających i pocieszają tych, którzy cierpią najstrożej — wąpiąć!...

— Ojczy!... gdy odchodził, była ona jeszcze małą dziewczynką... teraz rozkwitła jak jerychońska róża i Sulamitka salomonowej pieśni wdzięczniejszą od niej nie była!...

— Małżonka Symeona, Sara, przemyślną jest i mądrą niewiastą. W domu swoim ustawiła ona dwanaście haftarskich krosien, przy których pracuje dwanaście robotnic i wielka koryć spływa stąd na dom Symeona. Bogaci są i w wędrownce, która cię czeka, pomocnymi ci być mogą...

— Szczęśliwi, którzy w pokoju i radości serca wieć mogą gniazda rodzinne i wprowadzać do nich oblubienice swoje!

— Ufam też hojnej ręce Goriasza. Wyrabia on wonne maści i płyny, które pomocnicy jego rozprzedają po ulicach Rzymu, i zaprawdę, wierny ten wyznawca słodkiej nauki Hillela uczci przecież tego, który jeżeli przelewał krew, to tylko w obronie ziemi ojców naszych i pod hasłem Pana Zastępów...

— Ojczy! dlaczego pozwalasz, aby Mirtala sama jedna i w późnej porze dnia wracała z tamtej strony Tybru? Po co

wysyłasz ją do edomskiej jaskini? Dlaczegoś ją nauczył mówić językiem wrogów?

Tym razem Menochim usłyszeć i odpowiedzieć musiał, bo Jonatan schylony silnie pociągnął go za suknię i wlepił w niego oczy pałające gniewem.

— Synu mój — odpowiedział łagodnie — alboż ja i ona nie zapracowujemy wspólnie na odzież i pożywienie nasze? A jakimże mógłby być jej zarobek, gdybym ją na Trans-tiberim jak ptaka w klatce trzymał, a usta jej wobec obcych, pośród których żyjemy, niemymi uczynił?

— Niechajby lepiej umarła z głodu i niemą na zawsze została, niżeli...

Wstrzymał się, umilkł, patrzył na zmarszczki okrywające twarz Menochima, na zmęczone, krwistą obwódka otoczone jego powieki, na usta jego zwiędłe; umilkł, po chwili dopiero rzekł ciszej:

— Ojczy! nie odejdę stąd bez Mirtali. Zabiorę ją z sobą, do Galii zawiodę i tam w bezpiecznym zakątku uścielę sobie gniazdo ubogie, w którym ukryję ją od cudzych oczu...

Menochim myślał długo, wstrząsał głową, po chwili uroczystym głosem rzekł:

— Przyrzeczona ci od dzieciństwa Mirtala jest oblubienicą twoją. Uprowadź ją i zaślub, i niech błogosławieństwo Pana będzie z wami i potomstwem waszym. Lękam się tylko...

— Lękasz się, aby obecność jej ucieczki mej nie utrudniła... Ojczy! niech zginie ona lepiej u boku mego, niżeli...

I znowu wielkim wysiłkiem woli powściągnął się i umilkł. Po grubych zmarszczkach fałdujących policzki Menochima spływały dwie łzy.

— Sierocą będzie starość moja, jako cedru, od którego siekiera drwała odrąbała wszystkie latorośle jego...

Podniósł jednak głowę, zarumienił się, oczy jego strzeliły błyskawicą.

— Ale — zawołał — Pan w dobroci swojej dał mi pociechę nieprzebraną...

Dłoń jego opadła na pergaminy stół okrywające.

— Z nimi — domówił ciszej — wytrwam do końca... nimi do chwili ostatniej służyć będę sprawiedliwości... Z nich biją promienie, które oświecą i ogrzeją dni mojej starości!...

— Pergaminy te, ojcze, były zajęciem i szczęściem twoim już przedtem, nim stąd odszedłem. Ale co na nich kreślisz...

— Dowiesz się o tym jutro. Jutro po raz pierwszy przed ludzkim okiem całą duszę moją ukazę, a oko to będzie twoim...

Kilkaset tylko kroków rozdzielało malutki domek Menochima z obszerniejszym od wielu innych i pokaźniej wyglądającym mieszkaniem Sary. Wewnątrz mieszkania tego widać też było dostatek z zamożnością graniczący. W izbie obszernej, choć niskiej także i z ciemnymi, chropowatymi ścianami, wesoło paliły się dwie spore lampy, przy których świetle trzy młode dziewczyny, wysmukłe, bladawe, z grubymi kosami zarzuconymi na plecy, z przywiązanej do przęsnicy śnieżno białej wełny wiły na wrzeczona cienkie nici, a dwaj poważni, brodaci mężowie w długich chitonach i ciężkich turbanach nad wielką rozwartą księgą wsparci wiedli ze sobą cichą, częstymi gestami rąk i głów ożywioną rozmowę. Prządki były córkami Sary; twarze miały pogodne i często uśmiechając się ku sobie zamieniały się wesołymi szeptami. Jeden z dojrzałych mężów był Goriaszem, owym bogatym perfumiarzem i łagodnym hillelistą, o którym wspominał Menochim, drugi — Symeonem, małżonkiem Sary, ojcem transtiberańskiej synagogi, srogim i twardym zwolennikiem nauk Szamaja, mistrza zaciętej walki Izraela z obcymi narody. Dokoła ciemnych ścian stały drewniane ławy, stołki, skrzynie, tu i ówdzie przyozdobione dość kosztownymi okryciami; stół, przy którym siedzieli dwaj mężowie, zasłany był cennym kobiercem wschodnim, w kącie

izby połyskiwał srebrny, ciężki siedmioramienny świecznik otoczony misami, dzbanami i czarami z drogiego metalu. Wprawdzie nie było tu nigdzie na ścianach, sprzętach ani w naczyniach najlżejszego podobieństwa do czegoś, co by nazwanym być mogło dziełem sztuki: żadnego malowania, żadnych ozdób, żadnej nigdzie wesołej, wdzięcznej gry barw lub linii. Wszystko tu było surowe, poważne, monotonne, niemniej przecież dostatnie i prawie bogate. W izbie tej panowała cisza, bo dziewczęta szeptały, a dwaj mężowie rozmawiali cicho — częste w rozmowie swej czyniąc przerwy. W jednym tylko z jej kątów, w pobliżu srebrnego świecznika, rozlegał się od chwili do chwili donośniejszy nieco wybuch młodzieńczego głosu, lecz milkł natychmiast, skoro tylko Symeon, jakby dla poskromienia wesołości, która go razila, zwracał w tę stronę twarz swą surową i chmurną. A jednak własny to syn jego, zaledwie dorastający młodzieniec, jedyny pozostały mu po zabiciu przez Rzymian starszego w murach Jerozolimy, rozmawiał tam z przyjacielem swoim, młodziutkim także synem Goriasza. W drugiej dopiero izbie, obszerniejszej jeszcze niż poprzedzająca, oświetlonej we dnie małymi, lecz licznymi okienkami, a teraz kilku jasno palącymi się lampami, panował ruch i gwar wielki. W jak najlepszym możliwie oświetleniu stało tam dwanaście krosien haftarskich, od których właśnie w tej chwili powstawały robotnice Sary. Były to kobiety różnego wieku, młodziutkie i stare już prawie, ale wszystkie ubogo odziane, ze stroskanymi, chudymi twarzami, córki lub matki ubogich widocznie i ciężko pracujących rodzin. Pomiedzy nimi zwawa pomimo znacznej swej tuszy, z rumianymi policzkami i bystrym, roztropnym, energicznym wzrokiem małych oczu, mówiąc wciąż i gestykułując, od krosien do krosien przechodząc, uwijała się Sara. Jednym z robotnic udzielała ona pochwał, innym przygan i napomnień. Tu dobrodusznie uderzając po ramieniu mizerną i bladą dziewczeczkę zapytywała o zdrowie jej dziada, biednego, kochanego starca,

który po mieście roznosił perfumy Goriasza. Tam całując głośno pomarszczone czoło siwej już kobiety wołała z żartobliwym zachwytem:

— Ach! jakie to oczy! jakie to jeszcze u ciebie oczy, Miriam! Jak ty ten ładny kwiat dziś wyhaftowałaś!

Gdzie indziej przyrzekła wdowie jakiejś, że przez rok cały żywić będzie dwoje jej dzieci; a tam znowu ładnej dzieweczce o błyszczącym naszyjniku do wyrazu surowości nastrojając do broduszne swe rysy groziła, że odprawioną przez nią zostanie, jeżeli, tak jak dotąd, więcej myśleć będzie o przyozdabianiu się naszyjnikami i naramiennikami niż o ćwiczeniu się w sztuce haftarskiej. Przy tym z nadzwyczajną zręcznością i wprawą licząc asy i sesterceje dzienną ich płacę rozdawała robotnicom, które odchodząc całowały poufale twarz jej albo niskim ukłonem chyliły przed nią głowy i przechodząc w milczeniu przez izbę poprzedzającą stopniowo znikwały za drzwiami na ulicę prowadzącymi.

Od lat kilkunastu już Sara kierowała haftarskim zakładem swym w podobnie czynny i roztropny sposób, a dostatek napełniający mieszkanie jej rodziny z tej to przeważnie pracowitości i zabiegliwości pochodził. Symeon, biegły niegdyś w sztuce szlifowania i oprawiania drogich kamieni, od dawna już zarobkową pracę zaniedbał oddając się całkiem prawie czytaniu i rozważaniu ksiąg potrójnie świętych, bo zawierających w sobie dzieje narodowe, ustawodawstwo i wykład religijnej wiary Izraela. Ciało tylko jego w ścianach tych przebywało, dusza ulatywała wciąż daleko, na Wschód, do miasta Jabue, dokąd po strasznych i ostatecznych klęskach Izraela udali się najznakomitsi jego mężowie na przekór wszystkim prawdopodobieństwom, naradzając się tam nad przechowaniem plemiennej i religijnej odrębności izraelskiego ludu. I teraz także, kiedy Sara w izbie robotnic gasiła lampy, a potem otwierając skrzynie starannie wkładała w nie świeżo ukończone roboty i z błogim uśmiechem na ustach myślała li-

czyła ilość znajdującego się już w skrzyniach cennego towaru, Symeon donośniejszym nieco głosem i ze wzrastającym zapachem do Goriasza mówił:

— Z każdej litery świętych ksiąg naszych wyciągnąć korzec przepisów, które wypełniać będzie zmuszony każdy prawy syn Izraela. Oto zadanie beth-dinu, mądrego zgromadzenia, które nad przyszłością naszą obraduje w Jabue. Tak, Goriaszu! z każdej litery korzec przepisów! One to jako płot niewzruszony odgradzą zewsząd Izrael od obcych narodów. Niech każdy czyn swój pełni inaczej i każdą godzinę życia swego przepędza inaczej niż synowie ludów cudzych, a nie zmiesza się z nimi i nie utonie pośród nich jak marna kropla w ogromie oceanu. Z każdej litery korzec przepisów! a któżkolwiek jednego z przepisów tych, najdrobniejszego choćby, wypełniać nie zechce, przekleństwo nań, przekleństwo srogie, nieubłagane, wyłączające go spomiędzy żyjących, a ciało i duszę jego oddające na pastwę aniołów śmierci i pomsty! Dzieła tego dokonać zadaniem jest beth-dinu zasiadającego w Jabue... dlatego to dusza moja przebywa częściej tam niżeli tu...

Goriasz trząsł z wolna głową okrytą płowymi, siwiejącymi włosy, a na białej, drobnymi zmarszczkami pooranej twarzy jego malował się łagodny smutek. Po chwili wskazujący palec wyciągnął w górę i przyciszonym głosem mówić zaczął:

— Kiedy poganin pewien przybył do Hillela prosząc go, aby mu wytłumaczył wiarę Izraela, Hillel odpowiedział: „Nie czyn bliźniemu twemu, czego nie chcesz, aby czyniono tobie“. A mędrcom w Jabue na wykład wiary naszej wkrótce już i lata całe starczyć nie będą...

— Nie czyn bliźniemu twemu, czego nie chcesz, aby czyniono tobie! — z goryczą powtórzył Symeon. — O Goriaszu! Goriaszu! a jakoż nam przez obce narody uczynionym zostało!

— Grzesznymi są one, zapewne — odparł Goriasz — lecz

Hillel mawiał także: „Nie sądź bliźniego twego, zanim zwązysz, co sercem i myślą jego kierowało“.

— Bliźniego! — zawołał Symeon — niech w tej chwili prawica Przedwiecznego w marny proch rozsypie kości moje, jeżeli kiedykolwiek Greka lub Rzymianina bliźnim moim nazwę!

Lagodny Goriasz żywym jednak ruchem ze stołka powstał.

— O Symeonie! — zawołał — oby usta synów naszych nie powtarzały słów, które wyrzekłeś!

— Usta i serca synów naszych — krzyknął już prawie Symeon — z pokolenia w pokolenie powtarzać je będą; ale za prawdę, Goriaszu, miękka nauka Hillela ciebie i podobnych tobie prowadzi wprost ku... odstępstwu!

Goriasz zarumienił się zrazu gwałtownie i drżącymi ustami szepnął:

— Odstępstwo!... ja, ja... ku odstępstwu!...

Lecz wkrótce wierny zasadom swoim powściągnął gniew, uśmiechnął się pobłaźliwie i biorąc rękę rozgniewanego przyjaciela, a twarz do pałającej twarzy jego przybliżając szepnął:

— Symeonie! ojcem synagogi naszej mianował cię lud... a Hillel mawiał: „Ten, kto pozwala gniewowi, aby go unosił, nie może nauczać ludu“.

Symeon ponuro nad pałającymi oczami ściągnął krzaczyste brwi i usiadłszy zatopił dłonie w gęstwinie kruczych, krętych siwiejących włosów. W tejże chwili Sara, która przyzwyczajona, była do sporu i utarczek dwóch przyjaciół i nigdy w nich żadnego nie brała udziału, donośnym i wesołym głosem wezwała rodzinę swą na wieczerzę. Pośrodku izby stał długi stół z gładko wyheblowaną deską z cyprysowego drzewa, obficie zastawiony misami i dzbanami, w których znajdowały się ciasta, harbuzy gotowane z mlekiem, ryby silnie zaprawne cebulą, pierniki z maku i miodu smażone, lekkie i tanie gatunki win. Zastawa ta objawiała także panujący w domu dostatek, z gospodarską skrzętnością złączony. Po chwili kilkana-

ście osób przy wesołym świetle lamp i z gwarem przyjacielskich rozmów stół ten obsiadło. Lecz zaledwie po odmówionej przez Symeona modlitwie ręce biesiadników wyciągnęły się ku misom i dzbanom, drzwi wiodące na ulicę otworzyły się cicho i do izby weszła Mirtala. Wchodzącą powitał głośny okrzyk trojga dziewcząt, uprzejmy uśmiech Goriasza, ciekawość, choć nieśmiały wzrok dwóch młodzieńców i pieszczotliwe cmoknięcie pulchnych ust Sary. Ale ona, roztargniona i milcząca, nie patrząc na nikogo szybko przeszła dużą izbę, stanęła przed Sarą i obie dłonie na ramionach jej opierając, schylona, długo jej coś na ucho szeptała. Sara słuchając szeroko otwierała swoje małe oczy, wydawała urywane okrzyki, bladła i rumieniła się na przemian; aż gdy dziewczyna szeptać jej do ucha przestała i wyprostowała się, klasnęła w pulchne dłonie, zerwała się ze stołka i wyciągając ręce do obecnych, krzyknęła:

— Słyszycie! słyszycie! co ta dziewczyna mi powiedziała! Ach! co ona mi powiedziała! Jonatan przyszedł! Jonatan znajduje się w domu ojca swego Menochima! Jonatan, który poszedł był tam... razem... z moim Enochem...

Enoch był to ten syn jej pierworodny, który na polu bitwy zginął... tam! Usłyszawszy o powrocie Jonatana kobieta tylko o synu swym pierworodnym wspomniała i z twarzą w dłoniach ropłakała się rzewnie. Ale wieść przez nią ogłoszona na wszystkich obecnych silne i różnorodne wywarła wrażenie. Symeon powstał szybko i wymówił z cicha:

— Jonatan... towarzysz Enocha mego!

I w ponurym oku jego błysnęła łza, niby krótka, męska odpowiedź na długi, niewieści płacz Sary. W zamian błękitne, łagodne oczy Goriasza zapaliły się iskrami.

— Jonatan! słodkie pachole, którego w lwa zamieniła miłość ojczystej ziemi!

Dwaj młodzieńcy powstali i z pałającymi twarzami przybliżyli się do Mirtali; poskoczyły też z siedzeń swych dziew-

częta i pobrzękując dzwonekami zdobięcymi ich sandały otoczyły rówieśnicę wieńcem ramion i zarzuciły ją gradem szczebiotliwych pytań. Sara płacząc jeszcze bezładne też pytania zadawała Mirtali. Młodzi chłopczy wołali:

— Pragniemy zobaczyć go! chcemy go słyszeć!

Goriasz, pomimo dojrzałego wieku swego żywy i którego łagodność naiwnym niekiedy czyniła, mieszał też głos swój ze szczebiotem niewieścim i młodzieńczym. Gwar nie tylko nie ustawał, ale zwiększał się, gdy niecierpliwy Symeon surowym i nakazującym głosem zawołał:

— Uciszcie się! Niewiasty, pozamykajcie gadatliwe usta! Pacholęta, ustąpcie na stronę! Języki wasze podobne są do młynów, a głowy do pustego pola, z którego wiatr ciekawości zmiata ziarna rozumu!...

Głosu ojca rodziny, tego srogiego głosu, który nie znał pieśszoty ani śmiechu, usłuchali wszyscy. Wśród ogólnego milczenia Symeon zapytał Mirtali, z czym przybywała i czego żądała. W ogniu rumieńców cała, ze spuszczonej oczami, bo nigdy jeszcze nie ośmieliła się spojrzeć w twarz Symeona, Mirtala poselstwo swe opowiedziała. Symeon po chwilowym namyśle zwrócił się do żony:

— Saro, daj dziewczecze wszystko, co najsmakowitszego i najposilniejszego w domu swym posiadasz... Nalej do dzbana najlepszego wina, wyjm ze skrzyni pościel najmiększą... Niechaj posili się i spocznie obrońca Syjonu... towarzysz Enocha.

Potem do Mirtali rzekł:

— Powiedz temu, który dziś nawiedził progi wasze (niech błogosławieństwo Pana towarzyszy każdemu krokowi jego i każdej chwili jego życia!), że pojutrze, wnet po zachodzie słońca, zwołane będzie do domu modlitwy Moade-El, święte zgromadzenie najlepszych członków kehili (gminy), któremu bojownik i wędrowiec boje i wędrowki swe opowiadać będzie. A teraz weź to, co w ręce twoje włoży Sara, i odejdz w pokoju!

Wkrótce Mirtala była już z powrotem w ojcowskim domu

i stawiając na stole misy i dzbany, którymi Sara nie tylko ją, ale i jedną z córek swych obciążyła, usługiwała dwom mężczyznom pogrążonym w milczącej zadumie. Po pierwszych wybuchach powitania, po pierwszych krótkich i urywanych zwierzeniach, Jonatan umilkł. Znać w nim było znużenie wielkie, na długie rozmowy nie pozwalające, lecz nie przeszkadzające myślom męczyć dalej zmęczoną już głowę. Uważnie, uparcie przypatrywał się wszystkim kątom małej izby i widać było, że wspomnienia dzieciństwa i pierwszej młodości strugami były do pamięci jego, że w sercu jego dwie przeszłości, całkiem do siebie niepodobne, walczyły z sobą dobijając się o pierwszeństwo. Menochim milczał także i wpatrywał się w przybranego syna z czułością i niepokojem. Mirtala podała im misę z wodą, którą omyli sobie ręce, a potem misy z potrawami i dzbany, z których do glinianych kubków nalewano wino. Jonatan przestał przypatrywać się izbie i zaczął ścigać wzrokiem każde jej poruszenie. Teraz, gdy ochłonęła nieco ze wzruszeń wieczoru tego doznanych, a gorliwie i cicho krzątała się około stołu, ktoś znający ją przedtem dostrzec mógłby zasłże w niej zmiany, subtelne, lecz nadające jej pozór dziwnie z otoczeniem jej niezgodny. Niedawno jeszcze każdy poznałby w niej od razu Izraelitkę, mieszkankę żydowskiej na Transtiberim dzielnicy; teraz w ruchach jej, postawie i nawet wyrazie twarzy było coś, od czego wiał inny świat jakiś, coś, niby echo dalekiej jakiejś muzyki. Ogniste kędziory jej, splecione dawniej w gąszcz nierozwikłany i ciężkim wieńcem otaczające jej głowę, teraz spływały na szyję jej i plecy w jedwabistych, spokojnie falujących zwojach. Spłowiła suknia jej układała się w fałdy nieruchome, w malownicze węzły spletał się jej u stanu pas wyszyty w jaskrawe plamy; a gdy prosta i lekka, cichą stopą przebywając izbę w podniesionej ręce niosła dzban z czerwonej gliny, dziwnie podobną była do tych postaci greckich i rzymskich dziewic, które z marmuru ukute zaludniały place i portyki Rzymu. Jak we wnętrzu posągów, spokojnych

i białych, zdaje się gorzeć ukryty, a źródłem czaru ich będący ogień namiętności, tak po bladawej, milczącej jej twarzy grały i migotały błyskawice bliskiej burzy uczuć. I jak oczy posągów zdają się nieruchomo tkwić w nieskończoności, tak jej źrenice, głębokie i zadumane, poprzez wszystko, co ją otaczało, patrzyały kędyś daleko...

Jonatan jadł mało. Długa nęcza odzwyczaiła go od obfitego używania pokarmów. Lecz niosąc do ust czerwony kubek z winem zatrzymywał go przy bladych wargach i wzrokiem płonącym wśród ciemnych kół otaczających powieki nieustannie ściagał Mirtalę. Gdy po ukończeniu wieczerzy otworzyła ona wąskie, niewidzialne prawie drzwiczki i zniknęła na ciemnych wschodkach wiodących do izdebki znajdującej się na gorze i mającej być mieszkaniem Jonatana, zwrócił się on do zamyślnego Menochima.

— W dzieweczce — rzekł — czuję coś obcego... Rzym wieje od niej.

Menochim odpowiedział:

— Dobrą jest, uległą i pracowitą. Nigdy przez nią nie zapłakało oko moje. Sara uważa ją za pierwszą swoją robotnicę. Będzie ci ona żoną wierną, niewiastą, która buduje dom męża...

Po chwili milczenia wstając Jonatan rzekł:

— Powiedz jej, ojcze, aby nie odchodziła stąd nigdzie. Moją jest. Nie zostawię jej tu za żadne skarby świata. Minął dzień krwi i tułaczki. Pożądaj dnia radości. Mirtala żoną moją zostanie i powiodę ją do Galii, aby tam była ozdobą życia mego.

Wkrótce potem cicho i ciemno było w domu Menochima. Na tarasie, za trójkątną przybudówką, co mieściła w sobie górną izdebkę, zakryty ścianą przed wzrokiem tych, którzy by wczesnym rankiem przechodzili ulicą, Jonatan leżał na miękkiej pościeli przez Sarę mu przysłanej i z twarzą zwróconą ku nocnemu niebu szeroko otwartymi oczami wpatrywał się

w gwiazdy. Usta jego poruszały się od chwili do chwili, jakby modlił się lub z kimś niewidzialnym rozmawiał. Raz głośniejsze wymówił:

— Panie Zastępów! czemuś nas opuścił?

W tej samej chwili cicho otworzyły się drzwi domu i na zmrok nocy wysunęła się z nich szczupła niewieścia postać. Kamień duży leżał w bliskości progu; usiadła na nim, wciągnęła w pierś ciepłe powietrze wzruszane rzeźwiącymi podmuchami wiatru, ale twarzy nie podniosła ku niebu, owszem, schyliła ją nisko i ukryła w dłoniach.

— Biedny on, biedny! biedni oni! — szepnęła.

Myślała o Jonatanie i Sarze opłakującej zabitego syna, o ponurym Symeonie, łagodnym Goriaszu, o dwóch młodzieńcach, którzy dziś na wieść o przybyciu obrońcy Syjonu takie wzburzone mieli twarze i załzawione oczy.

— Biedny on! — powtarzała — szerniały od nędzy, ze zbiegłymi ustami! Biedni oni wszyscy, smutkiem, ubóstwem i gniewem trapieni! biedni my wszyscy!

Podniosła twarz smutną i osłupiałym wzrokiem wpatrując się w mroczną przestrzeń, pod dotknięciem jakby wspomnienia jakiegoś drgnęła.

— Powiedział: „Przyjdź jutro do portyku!“ A ja... nie przyjdę! O Artemidorze!

V

— Artemidorze! Artemidorze! dokąd tak śpiesznie dążysz? I tak samotnie, w towarzystwie jednego tylko Heliasa swego! Gdzież są weseli przyjaciele twoi? czy opuścili cię twoi uczniowie i wielbiciele?

Tak brzmiał donośny i piskliwy, jakkolwiek wykwintnym akcentem wielkiego świata przyozdobiony niewieści głosik.

Było to na ulicy, która wypływając spod bramy Ostyjskiej staczała się po pochyłości Awentynu ku wysokiemu łukowi Germanicusa i przeświecającemu za nim szlakowi rzeki. Na rzece spod arkad łuku widać było most łączący Awentyn z Janikulskim wzgórzem, u którego stóp, nisko przy ziemi, szarzała i mrowiła się żydowska dzielnica. Długi rząd wykwintnych domów i arkad z towarami oddzielał ulicę tę od rynku rybiego, którego gwary i swądy przylatywały tu z powiewami wiatru. Ulica ta była piękna jeszcze, zwierciadłem stwardniałej lawy zasłana, w dwie kosztowne niby klamry bramy Ostyjskiej i łuku Germanicusa ujęta, z bazaltowymi chodnikami pełnymi przechodniów dostatnio ubranych; lecz czuć tu już było bliskość części miasta ubogich, handlarskich, ciasnych i cuchnących. Spod wysokich sklepień bramy Ostyjskiej wypłynęło na ulicę towarzystwo złożone z kilku wystrojonych i wyperfumowanych mężczyzn, a na którego czele biegła raczej, niż szła, zwawa i zgrabna Kaja Marcja, dogonić usiłująca wysmukłego mężczyznę w białej tunice, za którym postępował jeden tylko młodzieńki chłopak w grecki *chiton*

przybrany. Środkiem ulicy kilku lektykarzy niosło połyskującą ozdobami, lecz pustą lektykę. Kaja Marcja wolała chodzić po mieście pieszo, bo tym sposobem łatwiej zatrzymywać się mogła we wszystkich bramach i portykach, pod wszystkimi łukami i arkadami miasta, aby tam patrzeć, słuchać, podsłuchiwać, chwycić po drodze znajomych i nieznanym, wabić i pociągać ku sobie urokiem niebrzydkich jeszcze oczu i puste, ale wesołej paplaniny młodych i niemłodych próżniaków, których ilość znaczna czas pozostający od wizyt, uczt i łaźni, przepędzała na otwartym powietrzu i bezmyślnym zbijaniu kosztownych bruków miasta. Dziś Kaja miała na sobie suknię bogato naszytą haftowanymi szlakami i mnóstwo bursztynów na półodkrytej piersi i ramionach, w uszach i włosach, które przed kilku dniami rude, dziś nagle stały się czarnymi. W czarnych lokach było jej daleko więcej do twarzy niż w rudych, i kiedy Artemidor na dźwięk imienia swego zatrzymał się pośród chodnika, ujrzał przed sobą kobietę wcale ładną, niezmiernie ożywioną, zalotnymi oczami błyskającą i gestykulującą rękoma białymi, na których błyszczwały drogie pierścienie. Od otaczających ją mężczyzn wionęła na niego silna woń perfum. Utriefieni, w suknie barwiste ustrojeni, z bladymi, zmęczonymi, półnudzonymi, a półrozswawolonymi twarzami, powitali go oni chórem uprzejmych okrzyków. Jeden z nich mówić zaczął wierszami, ale Kaja jedną ręką trzymając srebrny łańcuszek, na którym prowadziła za sobą nieodstępного pieska swego, drugą gestem poufałym opuściła na ramię malarza.

— Dokąd, mistrzu, w tej porze i w tym miejscu?

— Pora i miejsce to tymi samymi są dla mnie i dla ciebie, domina — śmiejąc się odrzekł malarz.

— Na Dianę, w której świątyni przepędziłam dzisiejszy poranek, wymijającą dałeś mi odpowiedź! Chcę wiedzieć, dokąd idziesz?

— Na Janikul, do ogrodu Cezara...

— Za godzinę słońce już zajdzie. Czy zamierzasz przechadzać się w ciemnościach nocnych?

— Zamierzam malować noc spuszcającą się na kwiaty, tak jak nielitościwa starość spuszcza się na lica niewieście...

Towarzysze Kai parsknęli śmiechem; jeden z nich wierszami znowu pochwalił złośliwy dowcip malarza, Kaja zaś śmiała się także.

— Otóż dociałeś mi! — zawołała. — Nic to! gniewać się na ciebie nie będę, bo jesteś najpiękniejszym młodzieńcem w Rzymie, i w dodatku muzy mściłyby się na mnie, gdybym ci co złego uczyniła. Dlaczego jesteś dziś tak samotny? Helias jest ślicznym chłopcem, ale towarzystwo jego wystarczyć ci nie może. Pójdź z nami. W Ostyjskiej bramie spotkaliśmy przekupnia, który uraczył nas zamrożonym mlekiem i wybornymi ciastkami nadziewanymi pasztetem z ptasich wątróbek. Teraz dążymy do świątyni Junony, gdzie na intencję pewną zawiesić mam serce ulane ze złota i przyozdobione najpiękniejszym z moich szmaragdów. Będzie to ofiara godna bogini, do której szczególne uczuwam nabożeństwo. Potem, Artemidorze, wsiądę do lektyki mojej i poniosą mnie na Marsowe Pole, bo pałam ciekawością ujrzenia przygotowań, które czynią tam do Apolińskich igrzysk. Pójdź z nami!

Wesołość Artemidora zmieniać się zaczynała w znużenie. Rزتargniony, kędyś w stronę rzeki poglądający, odrzekł:

— Nie, domina; szukam dziś samotności; z tobą przestając znalazłbym się w towarzystwie całego Rzymu.

— Znowu dociałeś mi, niepoprawny! Nie pierwszy to raz do zrozumienia mi dajesz, że plotkarką jestem. Powiem ci za to parę wiadomości, które pewno zmartwią cię tyle, ile mnie cieszą pojutrzejsze igrzyska. Czy ty chociaż o igrzyskach tych wiesz cokolwiek? Na Polu Marsowym zobaczymy tańce trojańskie; tak, trojańskie tańce, wykonywane przez kwiat młodzieży, którą dowodzić będzie sam przepiękny Tytus. Umieram z ciekawości i lecę, aby zobaczyć, jak budują trybuny

i łoże... Podobno osobna łoża wzniesioną będzie dla Bereniki i dworu jej... Powiadają, że po skończeniu igrzysk Berenika laurowy wieniec włoży na głowę Tytusa, a w tej samej chwili ogłoszonym zostanie ludowi małżeństwo przyszłego cesarza z... Żydówką. Czy my naprawdę doczekamy tego, że cesarowie nasi żenić się będą z kobietami Wschodu?... Ale o tym wszystkim sza! bogom wszystko wolno... Ja na igrzysko patrzeć będę z łoży Cestiusza...

— Zapominasz, domina, że winną mi jesteś zemstę — przerwał Artemidor.

Zaledwie przypomnieć sobie mogła to, co mówiła przed chwilą.

— Tak, na mściwą Junonę! — z wybuchem śmiechu zawołała. — Docinałeś mi dziś bez litości starością i plotkarstwem, muszę cię w zamian zmartwić.

Wspięła się na palce i wciąż wspierając dłoń na ramieniu malarza tajemniczo szeptać zaczęła:

— Przyjaciele twoi niech będą ostrożni. Zły wiatr wieje nad domem Helwidiusza i Fanii i nad głową tego starego nudziarza, Muzoniusza, którego niech zginę, jeżeli wiem, dlaczego filozofem nazywają, bo popełnianie szaleństw jest jego udziałem. Jeżeli pretor nie osądzi sprawy Karusa i Argentarii tak, jak się Domicjanowi podoba... nie ręcę, czy koniec miesiąca tego ujrzy go jeszcze w Rzymie. Wiem o tym od Cestiusza, który wie wszystko... Syn cesarza!... Karus jest ulubieńcem syna cesarza! Czy twój pretor oszalał, że ciągle sprzeciwia się tym, którzy w dłoniach swych dzierżą pioruny ziemskie? Muzoniusz znowu prawił coś publicznie o starodawnych dyktatorach, co, gdy tylko niepotrzebnymi już byli, składali władzę w ręce ludu, który ich nią obdarzył. Wszyscy zrozumieli, komu to dociąć chciał Muzoniusz. On i Dionizjusz z Pruzji, i wielu jeszcze głupców myślą, że krzykami swymi zmiotą z pallatium następców Augusta... Przyjaciele twoi, Artemidrze, są kupą szaleńców...

Tu wspięła się wyżej jeszcze i ciszej szepnęła:

— Na stole Wespazjana od dawna już leży edykt skazujący na wygnanie wszystkich waszych filozofów, pod których płaszczami oddychają Manliusze i Brutusowie. Dobry cesarz z podpisaniem jego waha się jeszcze, ale... lada sposobność... A co? czy nie zemściłam się? Piękne oblicze syna muz ściemniało jak noc burzliwa!...

Jak noc istotnie ściemniała twarz Artemidora, przed chwilą jeszcze śmiejąca się niedbale i przyobleczona wyrazem żartobliwej niecierpliwości.

— Dostojna Kajo! — ozwał się ten z towarzyszy gadatliwej kobiety, który przedtem przemawiał wierszami — jeżeli przy świetle dziennym chcesz dziś jeszcze zobaczyć Pole Marsowe...

— Ależ chcę, Marcjalu, pałam tą chęcią... Masz słusność, Marcjalu, spóźnię się najpewniej... Żegnam cię, Artemidorze! Czy słyszałeś o tym, że nazajutrz po trojańskich igrzyskach cesarz wydaje wielką ucztę dla ludu?... Wino lać się będzie strugami... najprzepyszniejsze mięsiwa, mnóstwo skoczków i kuglarzy, wystawa osobliwości na Forum... Lud obżerać się i bawić będzie... Żegnam cię, Artemidorze! Nie wiesz jeszcze pewnie o tym, że Domicjan nie otrzymał dowództwa wojsk wychodzących przeciw Allanom i niepowodzenie to przyprowadza go do wściekłości... pociesza się tylko Longiną ukradzioną Lamii... Dziwy nad dziwami! Lamia zamiast rozpaczać po tej niewiernej rzucił się w orgie, w których dotąd nie widywano go nigdy... Żegnam cię, Artemidorze! Czyś słyszał o tej kobiecie z Lukanii, która powiła dziecko z czterema głowami? Fatalny prognostyk! Fatalniejszy jeszcze niż ta ognista kula, którą widziano spadającą nad Wejami...

— Kajo Marcjo! — przerwał znowu najpoufalszy z towarzyszy jej, poeta Marcjalis — zamknij na chwilę usta i wsiądź w lektykę, jeżeli nie chcesz ściągnąć na siebie gniewu Junony za niezłożenie jej ofiary twojej w dniu przyrzeczonem.

— Niechże bogowie bronią mię od popełnienia przestępstwa takiego! — zawołała kobieta, na której twarzy odmalował się przestрах istotny, i ciągnąc za sobą kudłatego pieska swego pośpieszyła na koniec do swej lektyki, którą lektykarze ponieśli ku wznoszącej się na pochyłości Awentynu świątyni Junony i za którą uśmiechając się złośliwie lub wesoło rozmawiając śpiesznie udali się utrefieni i wystrojeni próżniacy.

Lektyka Kai krzyżowała się w drodze z wielu innymi lektykami, a za każdą z nich postępowały większe i mniejsze orszaki złożone z ludzi różnego wieku, stanu i strojów, a wszyscy tym swoim pochodem składali hołd szacunku lub dowód przyjaźni temu, którego niesiono w lektyce. Zresztą, jak zwykle w porze zachodu słońca, ruch na ulicach Rzymu ustawać zaczynał; większość bowiem mieszkańców miasta znajdowała się już w ścianach domostw i zasiadała do głównego dziennego posiłku. Zamrożone mleko i pasztet z ptasich wątróbek, które Kaja Marcja na prędcie spożywała w Ostyjskiej bramie, stanowiły prandium (podwieczorek), po którym oczekiwała ją jeszcze kędyś obfita albo i świetna coena, czyli wieczerza. Dnia tego zresztą nie miała już ona zobaczyć przygotowań do igrzysk trojańskich dokonywających się na Marsowym Polu, bo wieczór zbliżał się szybko, a lektyka jej w drodze do świątyni Junony zatrzymała się raz jeszcze, i zza podniesionej firanki jej wychyliła się głowa kobieca ubrana w bursztyn i z przywołanym przechodniem jakimś długą zagaiła rozmowę.

W złotych i różowych blaskach nadchodzącego wieczoru, w przycichających gwarach rybiego rynku i mrowiącej się za rzeką żydowskiej dzielnicy, u końca ulicy wypływającej spod Ostyjskiej bramy w tej chwili pustej już prawie, Artemidor zatrzymał się i stanął plecami oparty o rzeźbione gzymsy łuku Germanicusa, twarzą zwrócony ku miastu, u którego szczytu w przeczystym powietrzu pałające światła walczyć zdawały się z przezroczytymi cieniami. Nieopodal, pod ciemnym sklepie-

niem łuku zatrzymał się też i stanął Helias, młodziutki sługa o greckich rysach, długich, jedwabistych włosach i przenikliwych oczach, jedno z tych chłopiąt pięknych, starannie uczonych, przebiegłych i zręcznych, których posiadać musiał w domu swym każdy wykwintny Rzymianin i którzy u boku panów swoich pełnili czynności podczaszych, deklamatorów, czasem trefnisiów lub szpiegów, częściej powierników, posłów, kochanych i pieszczonych ulubieńców domu.

Helias na służbie u Artemidora trefnisiem ani szpiegiem być nie mógł, lecz u stołu w niewielkiej, ale wykwintnej jadalni malarza kołysał w rękach swych amforę łabędzich kształtów i gdy ze srebrnego jej dzioba sorrenckie lub taboryjskie wino lało się w rubiny kryształowej czary, srebrny głos swój łączył z cichym dzwonieniem płynu, pół deklamując, pół śpiewając poezje greckie. Nieraz też, od lat już kilku, panu swemu wiodącemu swobodny i rozkoszny żywot słynnego artysty służył on za powiernika i posła w miłosnych przygodach, a nikt lepiej od niego nie umiał po kryjomu wręczyć tabliczki opieczętowanej woskiem młodziutkiej żonie bogatego starca; nikt gorliwiej i bystrzej nie strzegł domu, w którym pan jego pędził miłe godziny na umówionej schadzce. Wiedział on dobrze, co nastąpić miało, gdy malarz wymykał się starannie od przyjaciół swych i wielbicieli, a na samotną udając się wycieczkę, jemu jednemu tylko mówił: „Pójdź ze mną, Heliasie!”

W tej jednak stronie miasta nigdy jeszcze z panem swoim nie był. Czyżby Artemidor naprawdę dążył do ogrodu Cezara, którego gęsta zieleń okrywała część Janikulskiego wzgórza? Być może, iż czeka tam na niego bogata Fulwia, którą opuścił był przed rokiem, a która go ku sobie dotąd jeszcze przyzywać nie przestawała, albo tancerka Higaria, Andaluzka ta z wulkanicznym okiem, której portret niedawno w postawie lubieżnie w tańcu przegiętej, z rozwianym włosiem i sistrą w podniesionej ręce na ścianie sypialni swej sam wymalował?

Któż zresztą zgadnąć może, z kim spotkać się, jakiej przyjemności użyć zamierza w ciemniejącym ogrodzie ten, którego usta tak świeże są i śmieją się tak często, którego serce napawa się na przemian wzniosłą pięknnością sztuki i czarami ziemskich, upojnych rozkoszy? Lecz dlaczegóż stanął on w cieniach pysznego łuku i bez śladu uśmiechu na zamysłonej twarzy zapominać zdawał się o celu swej wycieczki?

Celem wycieczki jego nie był wcale ogród Cezara, tak jak o tym powiedział kobiecie zarzucającej go natrętnymi pytaniami. Przedpołudniowe godziny spędził on dziś w Awentyńskim portyku, kwiecistą girlandą, którą go przyozdobił, z upodobaniem i zapałem spinając postać Eraty, muzy poezji lekkiej i miłosnej, w bluszcze owiniętej, ze złotą lirą w dłoniach. Pomimo zapału i rozkoszy, jakimi przejmowało go wypływające spod pęzła jego białe oblicze bogini, od chwili do chwili spojrzenie jego spadało w dół i błędziło wśród kolumn portyku. Pierwszy to raz w życiu nie spostrzegął kogoś, kogo ujrzeć pragnął; pierwszy raz ktoś, kogo przyzwał do siebie, nie przybywał. Nieprzyzwyczajony do przeciwności i zawodów, niecierpliwił się, i było coś dziecinnego w gniewnym geście, jakim paletę i pędzel rzucił na ręce uczniów swoich, a pąsowe usta ułożył w zarys wzgardliwy. Wcześniej niż zwykle przebrał robotę, i w otoczeniu licznych, a po drodze wzrastającym udał się do łaźien, gdzie długo i zawzięcie w marmurowym basenie zimną wodą napełnionym używał przyjemności pływania, a potem w *elaeothecium*, czyli sali perfum, przeciw zwyczajowi swemu gburowato zgromił posługacza, że go nazbyt obficie namaścił był wonnymi płynami. Brzydził się modą zbytecznego perfumowania się i do sali perfum wchodził tylko dla zaprawienia wonią fiołków kruczych swych włosów. Tym razem roztargniony pozwolił posługaczowi uperfumować się za wiele i opuszczając łaźnię wszystkich, którzy na *ambulatio*, dziedzińcu do przechadzania się, zaczęli go przyjacielskimi powitaniem, obrzucił strzałami złośliwego

dowcipu. Do poróżnionego z żoną Cestiusza, którego właśnie portyk za ogromną malował zapłatą, a który z wysokości bogactw i przydwornego stanowiska swego witał go wspianiałym gestem, zawołał:

— Jakże powodzi się dostojnej Flawii, małżonce znakomitego Cestiusza? Odkąd judejscy czy chaldejscy bogowie zajmować ją zaczęli, Rzym widzieć ją przestał!

Karusowi, najbliższemu przyjacielowi jednego z synów cezara, rzekł:

— Młodym jesteś, Karusie, a śmierdzisz perfumami jak stara zalotnica!

Ze Stelli, bogatego próżniaka, bawiącego się poezją i skupywaniem dzieł sztuki, zaśmiał się:

— Czy od wczoraj, Stello, ułożyłeś choćby kilka złych wierszy? A Aksiusz, ten handlarz z Sabury, czy oszukał cię znowu sprzedając ci za wielką cenę wyrób ostatniego partacza za arcydzieło Mirona lub Praksytela?

Obrażeni wzruszali ramionami, lecz w milczeniu połykali złośliwe przygryzki malarza.

— Zdaje się — wyrzekł Cestiusz — że po cesarze i synach jego artyści są w Rzymie ludźmi, którym najwięcej wolno. Innemu nie uszłyby na sucho zuchwalstwa, jakich się on dopuszcza. Ale tego młokosa karcąc obrazilibyśmy muzy, których jest wybrańcem...

— I oburzylibyśmy przeciw sobie wszystkich, którzy w Rzymie przepadają za sztuką malarską... — dodał Karus.

— Za obrazę jemu zrządzoną kobiety rzymskie podniosłyby bunt, jak wtedy, kiedy im Katon złote naramienniki nosić zabronił — owijając się w jedwabną suknię z szerokimi rękawami i miękko układając się na sofie dokończył biały, ładny, leniwy Stella.

W domu pretora Artemidor długo rozmawiał z Fanią, której opowiedział krzywdę wyrządzoną wczoraj Mirtali przez garderobianę jej, Egipcjanek Chromię. W godzinę potem

Chromia zagrożona strąceniem jej na niższy szczebel domowej posługi podniosła wielki krzyk żalu i złorzeczeń, na który jednak nikt nie zważał, bo ważniejsze stokroć sprawy zajmowały rodzinę pretora. W dniu poprzedzającym Helwidiusz na uczcie w Pallatium przy stole cezara przemówił się ostro z ministrem skarbu, Klaudiuszem Etruskim, starym Syryjczykiem i wyzwolencem, który przebiegłym rozumem i wschodnią słuźalczością dosięgnął najwyższych zaszczytów dworskich, a płaski, giętki, korny, służył już siódmemu z rzędu cesarowi. Pomiędzy dworakiem tym a ojcem jeszcze Helwidiusza, starym i nieugiętym republikaninem, istniała głucha nieprzyjaźń, która raz wybuchnąwszy skończyła się upadkiem i zgubą drugiego.

Do matki i żony pretor z pokorą prawie mówił:

— Przebaczcie mi, że mącę wciąż spokojność waszą. Powiniennem był milczeć, gdy podły Syryjczyk schlebiając Wespazjanowej namiętności układał niemiłosierne i niesprawiedliwe plany nowych podatków. Wszak wiadomo, że stanie się tak, jako lis ten doradza, ale porywczy jestem i rozdrażniony. Nad głową moją czuję miecz Damoklesa. Jest nim sprawa Karusa i Argentarii. A ten, kto pewnym nie jest, czy jutro jego białym lub czarnym będzie, gołębiem być nie może.

Teraz znowu słowa Kai Marcji wybornie zazwyczaj o wszystkim zawiadomionej potwierdziły obawy te, których pełnymi były dziś oczy Fanii, gdy na wzburzoną twarz męża swego patrzała. Artemidor, który po spożyciu w domu swym lekkiego prandium rzekł do Heliasa, aby szedł za nim, i szybko, wesoło dążył ku Transtiberim, stanął u łuku Germanicusa i schmurzonym okiem wodził po przyozdabiających go rzeźbach. Rzeźby te przedstawiały bitwy i zwycięstwa odniesione przez jednego z najczystszych i najszlachetniejszych bohaterów przeszłości rzymskiej. Czystości tej i szlachetności, sławy rozgłośnej i wielkiej w narodzie wziętości zazdrościł mu Tyberiusz, mądry ten, lecz okrutny władca, który tysią-

cami krwawych ofiar utrwalił dzieło poprzednika swego, Augusta. Czy Germanicus wcześniej umierając padł ofiarą zawiści i podejrzeń jego? Czy istotnie trucizna przecięła mu w polowie piękną nić życia? Tak o tym, gdy Artemidor małym chłopięciem był, mówiła mu matka ze zgrozą w oku; w to wierzył on i teraz patrząc na rzeźby bogato okrywające wspinała i wdzięczne zagięcia łuku, który pomnikiem był wielkiego męża, zgubionego tak, jak zgubionymi może będą wkrótce ci, których imiona szeptały mu przed chwilą płochę usta Kai. Wkrótce może, tak jak niegdyś Agrypina, małżonka Germanicusa, Fania z dalekich krain wygnania wracając tu, w tym porcie tybrzańskim, ze statku na ziemię rzymską zstąpi i w dłoniach o zemstę wołających wysoko wzniesie urnę z popiołami zamordowanego męża!...

Opuściła go w tej chwili wszelka myśl płocha. Szedł był z zamiarem szukania Mirtali, której twarz i postać daleko głębiej ryły się w jego pamięci i rzewniejsze budziły w nim uczucia, niż to kiedykolwiek było udziałem świetnej Fulwii i nawet przesłicznej, szalonej Higarii.

Szedł, aby znaleźć ją i dowiedzieć się od niej, dlaczego nie przyszła, gdy on powiedział jej wczoraj: Przyjdź! Ale teraz po rozmowie z Kają, która odnowiła w nim wrażenie dziś w domu pretora doznane i po myślach gniewnych, poważnych, obudzonych w nim przez przypatrywanie się rzeźbom zdobiącym łuk Germanicusa, gonienie za schadzką, jeżeli nie miłosną, to w miłosnym uczuciu przyczynę mającą, zdało mu się niepodobnym. Jednak gdy spojrział na rój niskich, ciemnych domków żydowskiej dzielnicy, gdy w pierś mu zaleciał cuchnący zaduch gęstą parą owijający stopy Janikulskiego wzgórze, oczy jego napełniły się wyrazem żalu. Szybkim ruchem wyjął zza sukni tabliczkę oblaną stwardniałym woskiem i złotym stylem pisał na niej przez chwilę, potem spojrzeniem i ruchem głowy przywołał ku sobie Heliasa. Długowłose chłopię, znudzone i zniecierpliwione, przysko-

czyło natychmiast i zaledwie Artemidor z cicha do niego mówić zaczął, skupiona uwaga odmalowała się na pojętnej twarzy jego. Byстрыm wzrokiem ściagał gesta pana swego, który wyciągnąwszy ramię wskazywał mu żydowską dzielnicę i jakieś śród niej kierunki i zwroty. Potem wręczył mu zapisaną tabliczkę.

— Widziałeś ją nieraz w portyku i w domu Fanii. Poznasz ją?

Greczynek potwierdzająco wstrząsnął głową.

— Znajdziesz ją?

Spojrzał wyzywająco i w drwiącym uśmiechu ukazał śnieżne zęby.

— Czekać cię będę w domu. Odpowiedź przynieś mi. Śpiesz.

Przed domem Menochima stało grono młodych dziewcząt, obejmujących się ramionami i z cicha, z ożywieniem wielkim z sobą rozmawiających. Były to córki Sary, które przysłane tu przez matkę dla dopomożenia Mirtali w sporządzaniu wieczery pozostały jeszcze trapiące ciekawością zobaczenia Jonatana albo przynajmniej dowiedzenia się szczegółów o tym niezwykłym człowieku i towarzyszu nieszczęsnego ich brata. Żółte i niebieskie suknie ich wesoło świeciły przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca; czarne i rude kosy ocieniały szyje połyskujące szklanymi naszyjnikami; dzwonki sandałów pobrzękiwały u ich stóp niecierpliwie poruszających się. Jedna trzymała srebrny dzban napełniony winem; druga zawieszała na ramieniu Mirtali bogato haftowany ręcznik do ocierania rąk po umyciu ich przed i po jedzeniu; trzecia głaskała dłonią włosy towarzyszki żywo opowiadając o krzątaniu, która od wczoraj w domu ich zaszła. Ojciec ich, Symeon, zajęty był całkiem zwoływaniem na jutro gminy do domu modlitwy, matka płakała i śmiała się z kolei, a im bezustannie rozkazywała dopomagać Mirtali w przyjmowaniu drogiego gościa. Szczebiotały długo i u progu domu pozostawiwszy przy-

niesione przez się przedmioty, jak ptaki frunęły ku wznoszącemu się w pobliżu domowi Sary. Mirtala patrzyła za nimi chwilę, z uśmiechem, który na twarz jej z wesołych twarzy ich spłynął, aż zmieniawszy kierunek wejrzenia, jakby zdętwiała, osłupiałym wzrokiem wpatrzyła się w kogoś stojącego z przeciwnej strony ogrodzenia. Jakkolwiek w cieniu stojący, Helias zwróciłby tu na siebie uwagę każdego, kto by go spostrzegł. Greckie chitony zarówno niewidywanymi tu były, jak rzymskie togi. On zaś miał na sobie chiton z materii barwą swą przypominającej ametysty, a długie, kasztanowate włosy miękką falą spływały mu aż do stanu ocieniając twarz białą, delikatną, dziewiczą. Trudno byłoby zgadnąć od razu, do jakiej płci należał; ale Mirtala poznała go przy pierwszym spojrzeniu. Widywała go i w portyku, i w domu Fanii, wiedziała, kim był, komu służył i nawet jakie było imię jego. Zdziwienie, radość, trwoga mieniły się na jej twarzy. Greczynek, gdy córki Sary zniknęły, bacznie rozejrzał się dokoła i odrywając plecy od płotu, o który niedbale i na pozór leniwie opierał się dotąd, szybko przebył wąską i brudną uliczkę.

— Na koniec — zaczął — rozleciały się przepiórki te, które tak długo szczebiotały dokoła ciebie tym waszym dziwnym, brzydkim językiem. Nie mogłem przecież oddać ci przy nich tego, co ci przeze mnie przesyła pan mój, Artemidor.

Na dłoni jego ukazała się zapisana tabliczka. Podawał ją Mirtali, która chciwie ku niej wyciągnęła rękę i wnet ją cofnęła. Drżała, a z twarzy jej krew cała zdawała się znikać aż do kropli.

— Dlaczegoż cofasz rękę, jakbyś się tym oparzyć lękała? — ciekawe oczy topiąc w pobludłej twarzy dziewczyny z uśmiechem szeptał Helias. — Nie lękaj się; ręki nie spali ci pismo mego pana. Weź i czytaj.

Wzięła, oczy utkwiała w piśmie i twarz jej okryła się wyrazem cierpienia.

— Nie umiem czytać latyńskiego pisma... — zaledwie do-
słyszalnie szepnęła.

Nie okazując zdziwienia Helias zapytał:

— Chcesz, abym ci to przeczytał?

Po chwili milczenia błagalnie odpowiedziała:

— Przeczytaj!

Chłopię bystrym spojrzeniem ogarnęło pustą w tej chwili uliczkę. Stali zresztą okryci nieco ścianą domu; przybliżył się więcej jeszcze do Mirtali i z cicha, prędko przeczytał:

„Nie byłaś dziś ani w portyku, ani w domu Fanii. Czy zamierzasz może nie ukazywać mi się już nigdy? Przystałbym na to, gdybym nie żałował pięknej perły tonącej w kałuży. Jutro o zachodzie słońca czekać cię będę u łuku Germanicusy. Przyjdź!“

Helias przestał czytać i oddawał jej tabliczkę, ale ona jej nie brała. Wyciągała po nią rękę i cofała ją. Nagle twarz w dłoniach ukryła.

— Nie mogę... nie mogę!...

Greczynek nie zrozumiał.

— Używaj słów latyńskich lub greckich, bo mowy waszej nie rozumiem. Co mam powiedzieć panu memu?

Odsłoniła twarz, pochwyciła pismo Artemidora i z przerażeniem w oczach znowu oddawała je Grekowi. Lecz on zasnął dłonie pomiędzy fałdy chitonu.

— Przyjdiesz? Dlaczego nie odpowiadasz?

W ziemię patrząc cicho, w rozmarzeniu wymówiła:

— Czyż spragniona sarna może nie biec ku leśnemu źródłu? Czy róża nie rozkwita, gdy zza chmur zaświeci słońce?

— Dziwnieś to powiedziała, ale odpowiedź twą zapamiętam i dosłownie panu memu powtórzę — rzekł Helias i powolnym, niedbałym krokiem, niby ciekawy przechodzień, rozglądając się dokoła odszedł. W końcu ulicy rozminął się ze starym Żydem w ciężkim turbanie, i z twarzą zoraną, a tak zamysłonym, że nie spostrzegł go wcale. Był to wracający do

domu Menochim. Wchodząc do niskiej, małej izby swej zapytał:

— Gdzie jest Jonatan?

Na głos jego w kącie izby, zza krosien, szybko coś za suknię chowając, podniosła się z ziemi Mirtala i zbliżywszy się do przybranego ojca, nisko schyłona, do ręki jego płonące usta przycisnęła.

— Jonatan nie wrócił jeszcze z domu Goriasza, do którego udał się zaraz po odejściu twoim.

Gdy to mówiła, głos jej brzmiał żalem duszy błądzącej, lecz z błędem swym nie mogącej rozstać się jakby z życiem.

W godzinę potem w cieniu krosien swych na glinianej podłodze siedząc Mirtala wlepiła w twarz Menochima oczy, w które zbiegać się zdawały wszystkie siły pojęcia jej i uczucia. Ciężki turban z głowy zdjąwszy, a bielejące włosy osłoniwszy małą, okrągłą czapeczką, która nie zakrywała mu wysokiego, zoranego czoła, Menochim przy świetle małej lampy czytał głośno z rozrzuconych przed nim na stole kart pergaminu. Naprzeciw z półcienia wychylała się ciemna i wynędzniała, lecz uważna i skupiona twarz na niskim stołku siedzącego Jonatana. Nad głowami dwóch tych ludzi mglił się dym ulatujący z lampy; głos czytającego Menochima rozlegał się po izdebce. To, co czytał, było owocem dumań, marzeń i cierpień całego jego życia, dziełem, które w izdebce tej i u stóp gaju Egerii pisał od lat już wielu. Jęki żałosne, krzyki rozpacz, błagania, wyrzuty, zapytania zwracane ku Bogu, bunty przeciw samemu Bogu, mistyczne rojenia o rajskiej przyszłości, straszne pocieszania się złorzeczeniami miotanymi na wrogów, fantastyczne sny i widziadła przedstawiające wrogów tych w postaci orłów wielogłowych, skrzydlatych rumaków rozszarpujących klęski, mórz wylewających na świat czarne i cuchnące wody, wszystko to składało się na ten ponury, konwulsyjny poemat, będący niczym innym jak jednym z utworów tych,

które nosząc nazwę Apokalipsy rojami w porze owej rozchodzili się po świecie.

Menochim był poetą, ale takim, jakiego wydać może tylko lud mocujący się wszystkimi siłami z przedwczesną śmiercią, zgorączkowany od ran mu zadanych, szalejący w ucisku przemocy i w szale swym śniący o rajach, potworach, cudach wybawienia i piekłach zemsty, od udręczeń swych uciekający w pijane konwulsje przekleństw albo w mistyczną krainę ekstazy.

Był on poetą. Ale zarazem był on człowiekiem chudym, bosym, w łachmany niemal ubranym, z ochrypłym i piskliwym głosem w wąskiej, słabej piersi. Teraz, kiedy zdjął turban swój i gruby pas rozwiązał, zmniejszył się i zeszcupiał jeszcze. Ani powagi i wyniosłości wieszczą, ani piorunujących dźwięków proroka w postaci i głosie jego nie było. Kiedy w uniesieniu czytał, a raczej z pamięci wygłaszał najpotężniejszą strofę poematu swego, bosa jego stopy nie sięgające ziemi kołysały się i trzepotały w powietrzu, a chude ramiona dokonywały gestów, na których widok uśmiechnąłby się wzgardliwie najpośledniejszy mówca z tamtej strony Tybru. Wydawał się biednym, chudym ptakiem konwulsyjnie bijącym w odarte z piór skrzydła. Kiedy zaś strofa żalną była, błagalną, pokorną, ochrypli głos jego rozkwilał się i cienia, chude ciało kołysało się w strony obie, drżące dłonie bezładnie dotykały czoła, oczu, policzków, piersi. Podobnym wtedy stawał się do rozkwilonego, skarżącego się, ku piersi matczynej niedołążne ramiona wyciągającego dziecka. I tylko, czy miotał się, czy kwilił, czy konwulsyjnie trzepotał w powietrzu bosymi stopy, czy wargom z łagodnym zarysem śmieśnie nadawał wyraz nienawiści lub grozy, na wzniesionym czole jego tysiączne zmarszczki wypisywały mnóstwo przesnutych marzeń, w źrenicach płonął ogień niewysłowionej tkliwości, a po sfałdowanych, żółtych, drgających policzkach od

czasu do czasu spływała powoli wielka, pod mdłym światłem lampki świecąca iza.

Najpośledniejszy mówca z tamtej strony Tybru patrząc na poetę tego i słuchając go uśmiechnąłby się wzgardliwie. Ale pierś Jonatana dyszała głośno i śpiesznie, dłonie jego szerniały, czerwonymi bliznami poznaczone często szukały kolan ojcowskich, na które opadało wzruszeniem spłonione czoło.

Mirtala wysunęła się także pod światło lampy i nie u krosien już swych, ale u ściany w pobliżu rozmawiających usiadła. Wysilenie myśli głęboko coś rozważającej malowało się w oczach jej wilgotnych, błyszczących i w Menochima jak w tęczę utkwionych.

— Imię twoje, ojcze, sławnym i czczonym będzie wśród Izraela... — zawołał Jonatan.

Menochim przecząco wstrząsnął głową.

— Imię moje! — odpowiedział — nie, Jonatanie! Przed tobą jednym otworzyłem duszę moją i na ustach twych kładę pieczęć tajemnicy. Cóżem ja jest? Nieznany, ubogi, pogardzany. Któż mnie słuchać zechce? Ja chcę, aby każde słowo moje było dla Izraela kroplą balsamu i dzidą obrony. Dlatego wyrzeknę się chluby z dzieła mojego, ogłoszę ludziom, że jest ono spuścizną wielkiego naszego Ezdrasza. Temu, kto niegdyś po wyzwoleniu z niewoli mniej srogiej niż nasza odbudował syjońską świątynię, wielkiemu skrybie, prorokowi czasów dawnych, łatwiej uwierzy lud i łacniej od pieśni jego zapalać się i krzepić będzie, niż gdyby wiedział...

— Wyrzeczysz się więc chluby wszelkiej z dzieła, które było pracą całego życia twego?

— Nie żądza chluby wiodła ręką i sercem moim — odrzekł Menochim, a po chwili ze schyloną twarzą, splecionymi dłońmi i rytmicznie kołyszącą się postacią pokornym, błagalnym głosem niby modlitwę mówić zaczął:

— Zamień mię, Przedwieczny, w cień nikły, w płomień

dogorywający, w marne ziarno piasku! obym, Przedwieczny, stał się przelatującym powiewem wiatru, zeschłym liściem miotanym po pustych polach, obym zniknął i rozwiął się jak biała mgła przed promieniem słońca, jak płowa kurzawa pod kopytem jeźdźca... Niech, o Przedwieczny! imienia mego z pokolenia w pokolenie nie wymówią żadne ludzkie usta, i na grobie moim niech pusty chwast z ciernistym przewija się głógiem, lecz z duszy mojej do duszy ludu mego przenieś choć jedną iskrę nadziei, z pieśni mej uczyni dla niego jedną minutę trwania, pracą mą otrzyj mu z oka jedną łzę boleści...

Drobne, dziewczęce dłonie wyciągnęły się z cienia i sięgały po opuszczoną na suknię rękę Menochima. Postawa Mirtali pokorną była. Zrozumiała wszystko. Wyciągnęła ramiona i już, już obok Jonatana przychylić się miała ku jego stopom, gdy nagle cofnęła się znowu w cień i obie dłonie niespokojnie przycisnęła do piersi, tam gdzie za suknią ukryta spoczywała cienka tabliczka wypełniona pismem Artemidora; zarazem szepnęła cicho:

— Nazwał mię perłą tonącą w kałuży... klejnotem najdroższym jest dusza ojca mego!

Nagle poskoczyła, z błyskawiczną szybkością stanęła pomiędzy Jonatanem a drzwiami i miękki pas swój zrywając z siebie, rozpostarła go szeroko, niby płachtę, którą by okryć się chciała. W szeroko otwartych oczach jej malowało się przerażenie. Przerażenie też wstrząsnęło ciałem Menochima, który twarzą ku drzwiom siedzący, zarówno jak Mirtala, ujrzał w drzwiach, cichutko z zewnątrz uchylonych, zaglądającą do izby głowę rudymi włosami okrytą i twarz żółtą, z małymi, świecącymi oczami, bystro i ciekawie obiegającymi izbę. Jonatan, plecami ku drzwiom zwrócony, nie widział nic.

— Sen twój, Silasie, niespokojnym być musi, skoro w wieczornej porze zaglądasz do cudzych domów — z łagodnym szyderstwem rzekł Menochim.

Silas nie wchodził i wciąż tylko przez drzwi uchylone głowę swą do izby wsuwał.

— Ty także czuwasz, ścierko Monobaza, a dziewczyna twoja pokazuje ci ze swym pasem sztuki kuglarskie. Gościa macie; widziałem go idącego z domu Goriasza. Wydało mi się, że jest to przybysz ze stron dalekich, i przyszedłem, aby go powitać.

Śmiertelna bladość okrywała twarz Menochima. W dłoni swej kurczowo ścisnął suknię Jonatana, który uczynił ruch porywczy, jakby powstać i ukazać się zamierzał. Lecz w tej chwili po małej izbie rozległ się dźwięczny, srebrny, wesoły wybuch śmiechu. Mirtala zwinnymi ramionami rozwijając wciąż i kołysząc w powietrzu miękką, haftami błyszczącą materię z głośnym śmiechem wołała:

— Przybysz z daleka! O Silasie! nie poznałeś więc Judy, syna Goriasza, który przyszedł dziś, aby rozmową swoją rozweselić starego Menochima? Nie poznałeś więc Goriaszowego syna, którego włosy podobne są do piór kruczych? Idź do edomity tego, który na Awentyynie mieszka, i chore oczy ludzkie leczy. Idź, Silasie, do edomskiego lekarza, bo, gdy się spóźnisz, oślepniesz tak, że już i do swojej ulubionej oberży nie trafisz!...

W miarę jak mówiła, podniesiony głos jej słabnąć zaczynał. Lecz Silas nie miał delikatnego słuchu i wyrzekłszy grube zaklęcie jakiejś głowę swą usunął z drzwi, które ze stukiem zamknęły się za nim. Za drzwiami czekała na niego gromadka ludzi, wśród których połyskiwały w cieniu srebrne pierścienie i naramienniki Egipcjanki Chromii i odznaczała się barczysta i wysoka postać Babasa.

— Nie wiem, nie widziałem; diabelska ta dziewczyna zasłoniła go przede mną — do towarzyszy swych szepnął Silas.

— Dlaczegożżeś nie wszedł, ośle syryjski? — krzyknęła Chromia.

— Dziękuję! Jeżeli nie omyliły mię oczy moje, krzywy

nóż tego siepacza odesłać by mię mógł bóstwom podziemnym...

— Dziewczyna może mówiła prawdę — ozwał się Babas, który podsłuchiwał był za plecami Silasa. — Widziałeś może Goriaszowego syna...

— Dałbym sobie rękę uciąć, że był to ten, za którego wydanie władzom rzymskim mielibyśmy za co upijać się codziennie przez cały miesiąc. Nie darmo patrząc na przekłętego poborcę i dom jego oczu pożyczam od Argusa...

— Wyrzeszczajże drugim razem lepiej swoje psie ślepie! — gniewnie sarknęła Chromia — bo jeśli mi jakimkolwiek sposobem dziewczyny tej nie sprzątniesz, zamienię cię na Babasa, który od dawna już wzdycha do mnie... Głupia ze mnie dziewczka, że tak długo zgadzam się łaskami mymi obdarzać takiego, jak ty, niedołęgę!...

Silas ponuro mruknął:

— Sprzątnięto by ich rychło, gdyby się dowiedziano, że w budzie swej przechowują zawziętego nieprzyjaciela cezara i bogów!

Odeszli w kierunku oberży, z której zamkniętego wnętrza wymykały się przez szczeliny czerwone światła pochodni i stłumione dźwięki syryjskiej *s u m b u k i*.

W izbie Menochima ciemno już było i cicho.

VI

Nazajutrz niezwykle wrzenie nappełniało całą zatybrzańską dzielnicę, najbardziej zaś tę jej część, którą zamieszkiwali Syryjczycy i Żydzi. We wrzeniu tym były dwa jakby prądy: jeden głośny, krzykliwy, wesoły; drugi przyciszony, głuchy, spodem płynący. Żaden spomiędzy licznych Syryjczyków zajmujących się zwykle noszeniem lektyk, wylądowywaniem towarów, wyrabianiem cegieł w dniu tym nie udał się do zwykłej swej pracy, lecz wszyscy dokoła mieszkań swych i oberż zbierali się w gadatliwe i żywo gestykujące gromady, do których przyłączała się znaczna ilość próżnującej zawsze gawiedzi ulicznej, obdartusów i łotrzyków żywionych przez państwo z dalszych części Transtiberim i nawet z przeciwnej strony Tybru dziś tu napływających. Przedmiotem zajęcia całego tłumu tego, pstro i półnago wyglądającego, który nie pozwalając mu pracować gromadnie kupił go na ulicach i przed oberżami, było jutrzejsze święto Apollina i przygotowujące się na ten dzień igrzyska i zabawy. Igrzyska był to wyraz wywierający na nich wpływ czarodziejski. Burzył on im krew w żyłach, zapalał wyobraźnię i ciekawość, namiętną niecierpliwością zdawał się stopy ich odrywać od ziemi. Rozmawiali, krzyczeli raczej kilku językami. Najrzadziej w miejscu tym odzywała się mowa łacińska, częściej brzmiały zepsute i z łaciną mieszane dialekty greckie; górował nad nimi pochłaniając je tu prawie język syryjski. Wszyscy przecież rozumieli się wzajem wybornie.

Jeżeli pomiędzy ludźmi tymi różnego pochodzenia i właściwości zachodziły kiedy indziej częste i burzliwe niechęci, współubiegania się i starcia, dziś w przededniu igrzysk godzili się oni z sobą wybornie w jednych żądzach i oczekiwaniach. Sprzeczek wprawdzie nie brakło i teraz, ale przyjacielskich i rozwiązujących się spokojnie. Jedni wołali, że woleliby o wiele walkę gladiatorów w Amfiteatrze albo wesołe i zmysły łechcące pantominy w teatrze Balbusa czy Pompejusza aniżeli te konne, rycerskie popisy szlacheckiej młodzieży, które odbyć się miały na Marsowym Polu. Większość jednak tłumu namiętnie, nad miarę, cieszyła się nadzieją ujrzenia tańców trojańskich, bardziej jeszcze przewodniczącego im Tytusa, syna cezara, najbardziej tym, co koniec igrzyska przynieść miał z sobą. Imię Bereniki było na wszystkich ustach. Żaden z tych ludzi najniższy szczebel społecznego zajmujących nie widział nigdy z bliska królowej Chalcydy, tej najpiękniejszej kobiety Wschodu, która oczarowała Tytusa, którą Tytus jutro ludowi swemu jako małżonkę swą ma ukazać. Potem zresztą od połowy dnia odbywać się będą w cyrku Flamińskim gonitwy na wozach, a potem jeszcze, nazajutrz, wystawy osobliwości na Forum Romanum i placu Marsowym i uczty olbrzymie przez cezara zastawione dla ludu.

Kiedy imię Bereniki z ust do ust przebiegając brzmiało na ulicach i placach przedmieścia, na dźwięk jego odwracali twarze swe, oczy w ziemię wlepiali i w ściślejsze zbijali się gromadki ludzie w długich sukniach, grubych pasach i ciężkich turbanach, którzy dziś także w domach swych i przy swych zajęciach spokojnie pozostawać nie mogli. Byli to Żydzi, niezwykłe też dnia tego wzruszeni i ruchliwi, lecz nie o jutrzejszych igrzyskach rozmowę wiodący. O czym gwarzyli, nie wiedziała gawiedź z pstrej mieszaniny kilku plemion złożona. Mówili cicho, tajemniczo i sprzecznie z rozweselonymi i półpijanymi już ludźmi, którzy ciągnęli ulicami lub otaczali oberże, wydawali się bardziej zasmuconymi i niespokojnymi

niż zwykle. Ciche rozmowy ich, tajemnicze gesty, niespokojnie rozglądające się spojrzenia stanowiły ów drugi prąd dziśniejszej na Transtiberim wrzawy, ów prąd przyciszony, głuchy, spodem płynący.

Bacne ucho, które by uważnie wsłuchało się w szmer prądu tego, dosłyszałoby, że jak w tamtym głośno i nieustannie wspomniano Berenikę, tak w tym cicho płynęło imię Jonatana. Lecz nikt o podsłuchiowaniu ich nie myślał. Silas nawet zapominając o urazach i zemście swojej, przed oberżą wyciągając na słońcu bose nogi, wesoło przebierał w kupie orzechów grając z kilku towarzyszami w cetno i lichy; wysoki Babas za rzucane mu a sy siłę swą ukazując rozdawał dokoła szcutki, od których ludzie chwileli się na nogach albo na ziemię padali; Chromia zaś przy ścianie oberży błyskając srebrnymi obręczami zdobiącymi ciemną jej skórę i oczami pożerając Babasa wrzaskliwie opowiadała, jako przez panią swą, Fanię, wyzwoloną i z domu jej wyprawioną została. Gdzie indziej obito by ją i strącono do kuchennych posług, ale z domu pretora wyprawiano tylko złe i niechętne sługi. Wolnością jej cieszyła się gospodyni oberży, bezzębna Charopia z siwymi włosy spuszczałymi się na twarz żółtą spod brudnej chustki, która z glinianej amfory lejąc wino w czerwony jej kubek namawiała ją do stałego przebywania w oberży. Egipcjanka z ciałem swym giętkim i ruchami podobnymi do skrętów węzowych, z purpurowymi usty, kruczym, roztarganym włosom i migocącym połyskiem srebrnych bransolet uznaną znać była za ponętną Wenerę miejsca tego. Charopia umizgała się do niej i wciąż dolewała jej kwaśnego, lecz mocnego trunku, którego ona tyle czar wychyliła, ile było liter w imieniu siłacza Babasa.

— Wesoło mi tu między wami, przyjaciele! — krzyknęła — lecz weselej nam jeszcze będzie pojutrze, gdy cesarscy kucharze napieką dla nas wołów i wieprzy, a podczaszowie gardła nam pozalewają winem mniej kwaśnym niż twoje,

Charopio! Igrzysk i uczt, cesarze! Hojnym i dobrym jest cesarz! Będziemy mieli igrzyska i ucztę!

— Życia i szczęścia cesarzowi, panu naszemu! — krzyknęło nagle mnóstwo głosów, a chóralny okrzyk ten leciał w czystym, letnim powietrzu dłużej i daleko.

Na tarasie domku Menochima ścianą trójkątnego piąterka osłonięci całkiem przed wzrokiem przechodniów, wsparci o haftowane poduszki Sary, w półleżących postawach siedzieli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Jonatan, głowę drugiego ocieśniał głęboki kapiszon płaszcza. Przybliżali ku sobie twarze, trzymali się za ręce i cicho ze sobą rozmawiali.

— Justusie! — mówił Jonatan — jakże los mój wydaje mi się godnym zazdrości wobec twojego! Jako jeleni przez myśliwca ścigany jestem przez tych, z których przemocą do ostatniego tchnienia nadziei walczyłem. Lecz ani serce, ani twarz moja nie kłamią, i chleba mego nie spożywam u stołu odszczepieńców, jak ty, sekretarzu Agryppy, codzienny towarzyszu i dworaku obrzydłej Bereniki i zdrajcy Józefa!

Justus twarz zasmuconą usiłował ukryć głębiej w cień kapiszona.

— Ku bojom orężnym nie wiodły mnie ani skłonności, ani przekonania moje — odpowiedział z cicha — dlatego nie towarzyszyłem tobie, gdy na odgłos wypadków gotujących się w Judei, udałeś się tam z wielu tutejszymi rówieśnikami swymi. Sercem przecież i obyczajem wierny jestem ojczyźnie naszej i wierze przodków naszych, a teraz, gdy Menochim oznajmił mi o przybyciu twoim, przybiegłem tu jak brat stęskniony za niewidzianym długo obliczem brata.

Po chwili milczenia dodał:

— Czy pozwolisz, abym ukazał ci rzeczy pewne, których jasno widzieć nie możesz?

— Mów — rzekł Jonatan.

— Mówić chcę o tych, których wy odstępcami i przeniewiercami nazywacie. Bogaci, zaznajomieni z cywilizacją hel-

leńską i rzymską i z ustrojem rzymskiego państwa, Agryppa, Józef i wszyscy im podobni mniemają, że walka z potężnym Rzymem szaleństwem jest wiodącym małą Judeę do ostatecznej zguby. Dlatego pogodzili się z tym, przeciw czemu wy targnąwszy się zuchwale sprowadziliście zburzenie stolicy i świątyni naszej.

Szyderski uśmiech błędził po bladych wargach Jonatana.

— Czy pewnym jesteś, Justusie, że pogodzenie się ich z Rzymem źródło swe wzięło z troskliwości o resztkę mizernego istnienia kraju i ludu naszego? Czy nie olśniła ich raczej potęga Rzymu? czy nie oczarowały ich blaski i rozkosze wzbronione wiernym wyznawcom wiary naszej, niedostępne synom naszej spustoszonej ziemi, a którymi tu nasycać się mogą dowoli? Pałace ich pełne malowanych i rzeźbionych postaci ludzi i zwierząt, stoły ich gną się pod cudzoziemskimi przysmakami, togi rzymskie wspaniale owijają ich ciało, na łożach rzymskich rozkosznie wyciągają się ich członki. Józef Flawiusz przyjmował bogate dary od nałożnicy Nerona, a Wespazjan obdarzył go rozległymi dobrami; Agryppa otrzymał królestwo Chalcydy odebrane od Bereniki, która w zamian...

W miarę jak mówił, mowa jego stawała się szybką i syczącą, nienawiść iskrzyła się w zapadłych oczach, ręka kurczowo ścisnęła przedmiot jakiś u piersi za suknią ukryty. Przez zaciśnięte zęby wymówił jeszcze:

— Tu są oni nietykalni, niedostępni, bo otacza ich i ochrania zbrojna prawica Rzymu. Ale tam, Justusie, tam...

Zaśmiał się zdławionym, zjadliwym śmiechem.

— Tam w Jerozolimie krew im podobnych zalewała bruki ulic, a z rozbitych czaszek ich mózg bryzgał na święte mury, których oni bronić nie chcieli!

Justus zadrżał.

— O Jonatanie! — zawołał — cóż uczyniły z ciebie krótkie te lata, które od rozstania się naszego upłynęły!... Znałem cię młodzieńcem śmiałym, lecz łagodnym, ujmującym się za

skrzywdzonymi, lecz brzydzącym się krwią i okrucieństwem... Teraz... pozór twój jest pozorem mieszkańca pustyni, który w walkach z lwami i niedźwiedziami zapomniał słodkich uczuć ludzkich, w którego uszach nigdy nie brzmiała rajska zapowiedź proroka: „Przekują miecze swe na pługi, a jagnię w spokoju uśnie obok lwa i dziecię bezpiecznie igrać będzie nad gniazdem węzowym!“

Z nienawiścią rozpalającą wzrok Jonatana zmieszał się wraz bolesnego szyderstwa.

— Czy mieszkałeś, Justusie, w świętej głowie proroka i dowiedziałeś się, jak daleko w przyszłość sięgał wzrok jego, kiedy wygłaszał on swą rajsłą zapowiedź? Przedwieczny tylko znać może czasy spełniania się widzeń proroczych. Ja z morza krwi i płomieni dłonią Jego wyprowadzony wiem, że jeszcze one nie nadeszły. Dopóki sprawiedliwość nie zapana nad światem, dopóki człowiek nastawiać na człowieka i silniejszy deptać słabszego będzie, dopóty miecz pomsty ścigać musi tych, którzy jak Agryppa i Józef odstępują sprawy słabych, lecz sprawiedliwych...

— Każdy z ludzi dźwiga brzemień grzechów sobie właściwych — z rozwagą i smutnie odparł Justus. — Jeżeli tamtym trwożliwość, obojętność, żądza chluby i rozkoszy ujmuje gorliwości dla sprawy słusznej, wy grzeszycie zbytciem zapalczywości, szaleństwem rzucającym was w męki daremne, sercem stwardniałym na obrzydłość okrutnych czynów. Wy nazwyce ich odstępcami i przeniewiercami, oni wam dają nazwy gorliwców wściekłych, krwawych siepaczy...

— Takimi jesteśmy! — prostując się na siedzeniu zawołał Jonatan.

W tej samej chwili w rękę jego błysnął nóż zakrzywiony, rodzaj krótkiego, obosiecznego miecza.

— Tak, Justusie, gorliwcem jestem, który, gdy pora była, ścinał krwawe grona w winnicy edomskiej i ścinać je gotów jeszcze... tym oto sierpem.

Justus dłonią przysłonił oczy.

— Schowaj oręż ten — szepnął co prędzej — wydać on cię może... Po co go nosisz przy sobie? Pokusa łatwo przeniknąć może do oszalałego serca...

Jonatan zasunął nóż w zanadrze i z gorzkim uśmiechem zaczął:

— Nie lękaj się! Agryppie twemu krzywdy żadnej nie zrządzę. Dzień znoju długim był i strasznym. Odpocząć pragnę. Pójdę daleko, w cichym kącie wzniosę ściany domu swego, ustawię moje krosna i u boku małżonki hodować będę synów, aby wzięli po mnie dziedzictwo...

Przestał mówić. Rysy jego, które przy ostatnich słowach złagodniały nieco, zasepiły się znowu. Ulicą przeciągał i dom Menochima mijał wesoły tabor uliczny wiedziony przez kobiety, pobrękujące na instrumentach muzycznych i w opadającym z nagich ramion ubraniu. Kilkunastu mężczyzn obdartych i półbosych, z zielonymi wieńcami na głowach i gdzieśniedzie z rozkwitłymi różami u piersi i w rękach postępowało w takt muzyki wrzaskliwie śmiejąc się i krzycząc. W weselej się gromadzie tej czuć było zbliżanie się orgii, które po apollińskich igrzyskach nastąpić miały; była ona słabym tylko i oderwanym akordem tych szalonych hulanek, którymi aż po brzegi napełniał się i kipiał Rzym w dniu noworocznych Saturnalii. Saturnalie wprawdzie nieprędko jeszcze nastąpić miały, ale święto Apollina wzniecało także wesołość, którą wzdymała i roznamiętniała skwarna pogoda lipcowych dni. Niewidzialni sami Jonatan i Justus przez szczeliny balustrady otaczającej taras widzieć mogli dokładnie pstry orszak, który mijając dom Menochima wydał zmieszane, chóralne okrzyki:

— Zdrowia i szczęścia wspaniałemu Tytusowi, synowi bożskiego cesarza! Zdrowia i szczęścia Berenice, pięknej oblubienicy Tytusa!

— Czy słyszysz, Justusie? czy ty to słyszysz? — gwałtow-

nie szepnął Jonatan. — Imię Izraelitki ta nawet podła zgraja łączy z imieniem tego, który ojczyźnie naszej ostatnie zadał ciosy! Czy to być może, Justusie, aby ona małżonką jego została? czy to być może, aby zgorzenie takie dotknęło oczu ludzi? aby ślina takiej obelgi spadła na nasze straty i bóle!

Z pochyloną twarzą Justus odpowiedział:

— Niestety! tak się podobno stanie! Tytus kocha ją więcej niż źrenicę oka swego, a ona... Alboż niewiasta oprzeć się może urokom promieniejącej piękności złączonej z najwyższym w świecie dostojęństwem? Tytus jest najpiękniejszym człowiekiem w Rzymie i następcą Wespazjana.

— Widziałem ją niegdyś — w zamyśleniu mówił Jonatan — widziałem ją, gdy w czasie pierwszych powstańczych ruchów w Jerozolimie wyszła na taras pałacu swego w szkarłacie i złocie cała; splecione ręce wyciągała ku nam błagając, abyśmy rozeszli się, uspokoili i nie ściągali na siebie i na Judeę całą mściwej ręki Rzymian... Była wtedy wspaniała, ale lud krzyknął ku niej: „Wnuką Machabeuszów jesteś, bądź im podobną! Judytą bądź! Ujmij miecz i duchem przodków swych niesiona przoduj nam w walce, jako słup ognisty ojcom naszym przodował na puszczy!“ Był to, Justusie, wielki moment, był to moment, w którym niewiasta ta stać się mogła duszą narodu swego, mocą i chwałą jego i — kto wie? może jego zbawieniem... Ale ona...

— Wiem — dokończył Justus — wraz z bratem swym opuściła wzburzoną stolicę...

— Uciekła i bezpieczeństwa swego szukała w obozie Rzymian! Tam to Tytus jedną ręką rzucając na Jerozolimę głównie pożogi, drugą wkładał na palec jej pierścień oblubienicy... O Przedwieczny! czy żaden piorun twój nie spadnie pomiędzy tych ludzi, aby rozerwać ohydny ten, bluźnierczy, potworny związek?

Strasznie w tej chwili wyglądał Jonatan. Oczy jego krwią nabiegłe wznosiły się ku niebu, kurczowe drganie wstrząsało

wynędniała twarzą, w dłoni błyskał znowu zza sukni wydobyty nóż. Justus śpiesznie za ręce go pochwycił.

— Uspokój się! to, czego tak się lękasz, nie stanie się może jeszcze. Od dawna już Tytus poślubiłby Berenikę, gdyby nie sprzeciwiał się temu ojciec jego pragnący synów swych połączyć z najdostojniejszymi rodzinami rzymskimi, a przez to powiększyć świetność niskiego i niespodzianką losu tak wysoko wyniesionego rodu swego; gdyby nie sprzeciwiał się temu patrycjat rzymski w połączeniu przyszłego cesarza z kobietą wschodnią widzący dla siebie ubliżenie, gdyby nie sprzeciwiali się temu sami nawet filozofowie, ogromny tu wpływ wywierający, a gardzący Izraelem za wiarę jego, którą poczytują oni za zbiór zabobonów ciemnego i nieokrzesanego ludu... Czy wiesz, co spotkało stoika Herasa, który publicznie gromił Tytusa za popisywanie się z miłością swą ku Berenice? Ściętym on został na publicznym placu. Okropniejszy może los spotkał za toż samo Dionizjusza z Pruzji. W cyrku wobec stu tysięcy zgromadzonego ludu wołał on do Tytusa, aby powrócił do opuszczonej przez się małżonki swej, Marcji Furmilli, a Berenikę odesłał do jej ojczyzny... Dionizjusza oświczono publicznie i z Rzymu wygnano, ale krewni i przyjaciele Marcji Furmilli pozostali, a obraza ich i chęć zemsty wzmacnia i mnoży nieprzyjaciół władzy cesarskiej, którzy w Rzymie istnieją jeszcze, a na których czele stoją: pretor Helwidiusz i stoik Muzoniusz...

Jonatan opowiadania tego słuchał ze skupioną i chciwą uwagą.

— Justusie! — zwolna i w zamyśleniu zaczął — Rzymianie to więc sprzeciwiają się związkowi temu przez pogardę i nienawiść dla nas... a pomiędzy braci naszych żadenże nie znalazł się tak śmiały?

— Jakżeby to być mogło? — odparł Justus. — Ci, którzy Berenikę otaczają, pragną najżywiej związku, w którym widzą wielką chlubę dla siebie i liczne dla ojczyzny naszej ko-

rzyści; inni zaś, ubodzy, zboleli, przerażeni, są jako krety pracujące pod ziemią...

Jonatan nie odpowiedział nic i w głęboką pogrążył się zadumę. Nie przerywał jej Justus i wpatrzony w twarz przyjaciela zdawał się nadaremnie smutnymi oczami szukać na niej śladów pogodnej jego młodości.

Wtem na niewidzialnej z tarasu górnej części wschodów z izby dolnej ku górnej wiodących ukazała się Mirtala. Wyprostowana i zamyślona, z tym spokojem postawy i ruchów, który, zdawać się mogło, że spłynął na nią z greckich i rzymskich posągów, w jednej podniesionej nieco ręce trzymała misę w zieleń ubraną i owoców pełną, w drugiej opuszczonej wzdłuż sukni dzban z czerwonej gliny. Z ognistymi kędziorami opływającymi twarz białą i szczupłe ramiona, ze spuszczoneymi powiekami, przed Justusem i Jonatanem stanęła.

— Ojciec mój — rzekła — wychodząc dziś z domu, rozkazał mi, Justusie, uczęstować cię, gdy tu przybędziesz, owocami i winem. Oto są oliwki, daktyle, migdały, figi i wino, na jakie stać było dom nasz.

Rzekła to z cicha, ze słabym, lecz uprzejmym na ustach uśmiechem i na obu mężczyzn oczu nie podnosząc oddalić się chciała. Ale zatrzymał ją nagły gest Jonatana. Porywczco, głosem, w którym trudno było gniew od serdeczności odróżnić, zawołał:

— Nie odchodź! Dlaczego zawsze uciekasz ode mnie? Usiądź tu, chcę na ciebie patrzeć.

Pozostała, lecz nie usiadła. Ramieniem wsparta o balustradę tarasu nieruchomym wzrokiem patrzyła daleko, w przestrzeń. Justus spożył kilka owoców, wychylił czarę wina i powstał.

— Pora mi odejść. Słońce chyli się ku zachodowi...

Mirtala szybkim ruchem zwróciła twarz ku mówiącemu:

— Czy myślisz, Justusie, że prędko już... słońce zachodzić będzie?

Justus z przyjemnością widoczną patrząc na nią uśmiechnął się i odrzekł:

— Spójrz tam... za tę gromadę płaskich dachów, na wysoko zaokrąglające się linie łuku Germanicusa... Czy widzisz to, co ci ukazuję?

Patrzała w stronę, ku której Justus wskazujący palec wyciągał, i powoli skinęła głową.

— Otóż gdy wdzięczne i wspaniałe sklepienia te kąpać się zaczynają w takich, jak teraz, jaskrawych światłach, słońce bliskim jest zachodu. Co ci jest, dziewczeczko? Oczy twoje dziwny przybrały wyraz i zdało mi się, że zadrżałaś?

— Nic to, Justusie. Chłodny powiew zaleciał tu od Tybru, a łuk ten... jaskrawy... obraził mi oczy...

Uśmiech łagodny i uczuciem rozkoszy zaprawny dziwnie wyglądał na zdręczonych ustach Jonatana.

— Nieśmiałą jest ona, Justusie — szepnęła. — Gdy odpowiadała tobie, rumieniec podobny do powstającej zorzy lica jej oblała...

— Piękną jest i wdzięku pełną — równie cicho odparł Justus — i z westchnieniem dodał: — Obyś co prędzej na łonie oblubienicy swej uciszyć mógł wzburzone swe serce!...

Po chwili odchodził, i Mirtala uczyniła znowu ruch taki, jakby odejść chciała...

— Pozostań! — zawołał znowu Jonatan.

Stała przed nim zmieszana.

— Usiądź tu przy mnie.

Usiadła na miejscu, które przed chwilą zajmował Justus i nie podnosząc powiek milczała.

— Dlaczego unikasz mnie? Obchodzisz się ze mną tak, jakbym ci był obcym. Czyż nie nazywałaś mnie kiedyś bratem swoim? Wzrastaliśmy oboje pod jednym dachem, a ja, starszy i silniejszy, czy wyrządziłem ci kiedy krzywdę jaką?

Gdy mówił to, wzrok jego był miłosny, ale dźwięk głosu

szorstki i porywczy. Tak długo znać wydawał okrzyki bojowe, że znikły z niego brzmienia łagodne i czułe.

— Podniosłaś na mnie spojrzenie swoje! Patrz tak na mnie, dziewczeczko!... bo z oczu twych na rany moje spływa balsam gojący...

Istotnie, gdy wywoływał wspomnienia wspólnego ich dzieciństwa, podniosła na niego wzrok trwożny jeszcze, ale przyjazny. Lecz w tejże chwili ujął on ją za rękę. Wychudła, szerniała dłoń jego twardą była i szorstką, czuć w niej było przyzwyczajenie do gniewnego ściskania oręża, a czerwone blizny, które ją okrywały, zdawać się mogły plamami krwi. Mirtala znowu twarz odwróciła i powściągnąć nie mogła drżenia, które wstrząsnęło szczupłymi jej ramiony. O! kędyś, w innym świecie, inna wcale ręka, biała, wykwiwna, ujmowała dłoń jej w uścisk tak miękki i słodki, że od niego ku piersi jej wstępowały potoki niewysłowionej rozkoszy...

— Lękasz się mnie, płochе dziecko, nie umiejące oddać czci przynależnej mężowi steranemu w walkach świętych! Nie rozumiesz, jakim dostojęństwem okryje cię Pan, gdy zostaniesz małżonką obrońcy Jego narodu!

Oczy jego płonęły teraz gniewną obrazą, a dłoń coraz twardszym, bolącym uściskiem obejmowała drobną, półdzieciną rękę.

Po chwili jednak zmiękł znowu.

— Czyż zawsze byłem taki, jak teraz, stwardniały w srogiej prawicy Pana, zjeżony kolcami gniewu i popędliwości? Przypomnij sobie, Mirtalo, wspólną przeszłość naszą. W dzień letnie małej dziewczeczce bawiącej się przed progiem domu Menochima, przynosiłem nieraz z ogrodu cezara rozkwitłe róże; w zimie, drżącą i drobną, owijałem ją płaszczem moim. Był dzień, w którym pośród Appijskiej drogi wyrwałem cię spod kopyt rzymskiego jeźdźca. Ty wczoraj odwdzięczyłaś mi tę przysługę roztropnie i śmiało zasłaniając mię przed wrogiem. W piersi mojej, Mirtalo, mieszkało kiedyś serce łagod-

ne, a srogim ogniem zapaliły je i powłoką żelazną okryły gniewy wojny i męki tułaczki. Teraz, kiedy na ciebie patrzę, powraca do mnie pogodna młodość moja. Milsza mi jesteś nad źrenicę oka mego; piękne są jagody lica twojego jak u synogarlicy, a szyja twoja jako klejnoty; usta twe — jabłka granatu, a włosy — szkarłat królewski przetykany złotem...

Na wychudłą i szerniałą twarz tę wystąpił wyraz namiętnego, półnieprzytomnego marzenia. W zapadłych, ciemnymi kołami okrążonych oczach błysnął płomień podobny temu, z jakim pielgrzym spragniony po wielu dniach spędzonych wśród piasków pustyni przybliży usta swe ku wodom strumienia. Ona odwracała wciąż twarz, a pobladłe usta jej niedo słyszalnie szepnęły:

— „Oczy masz piękne i wymowne, Mirtalo, a usta twoje podobne są do koralu zwilżonego rosą...”

I z oddali, z oddali, usłyszała głos, który kiedyś w dźwięcznej mowie Latynów słowa te wymówił. Odtąd dwa głosy przemawiały do niej: jeden bliski, tuż przy niej brzmiący twardo i ponuro, drugi młodzieńczy, świeży, śpiewny, oddalony, tak oddalony, jakby z innego dolatywał świata...

— Krwawa wojna i długa tułaczka uczyniły mię takim, jakim jestem. Lecz minął już dla mnie dzień bojów i mąk. Poślubię cię, tu, oblubienico moja, w ciszy i skromności jako przystoi czasom niedoli. Nie chcę wieńca na głowę moją ani fletów i cymbałów przed ślubnym orszakiem; nie będą cię nieść druźbowie w lektyce błyszczącej i kwiatami włosów twych nie przyozdobią druźki... samo bowiem wesele zwyciężonego rycerza poważne być powinno i owiane wonią świętego smutku...

Z odwróconą wciąż twarzą i coraz bledsza Mirtala szepiała:

— „Pozostań w domu Fanii. Piękność i wesołość ujmą cię w twórcze swe ramiona, a ja przychodź i uczyć cię tam będą sztuki malarskiej...”

Rękę jej ku piersi swej przyciągając Jonatan mówił dalej:
— Powiodę cię z sobą na ziemię wygnania, ale wśród której nikt nas nie odnajdzie i nikt nie zburzy spokoju naszego. W niskiej, ciemnej chacie, ukrytej przed światem ścianami gór galijskich, ustawimy dwoje krosien, na których ja tkąć, ty haftować będziesz. Pracą rąk zarabiając na chleb nasz i dzieci naszych, przeżyjemy dni nasze nieznani i zapomnieni...

Głos drugi, daleki mówił:

— „Uczynię z ciebie drugą Jaję z Kryzykosu... królową będziesz w czarownym państwie sztuki... otoczą cię kołem radosnym wszystkie rozkosze sławy i miłości!...”

— W gorący dzień lata wywiodę cię, małżonko moja, do winnicy, którą własnymi zasadzimy rękoma i jak Booz i Ruth zrywać tam będziem dojrzałe grona aż do zachodu słońca.

— Słońce zachodzi!... — z ust dziewczyny wyrwał się nagle okrzyk przerażeniem prawie dźwięczący.

— Gdy całkiem zgasną światła słoneczne, udamy się do Moade-El, gdzie wraz z gminą całą słuchać będziesz tego, co mówić mam...

— Puść mię, Jonatanie! słońce zachodzi!

Drobna ręka jej nadaremnie z całej siły targnęła się w żelaznej dłoni jego; nie roztworzył on twardego jej uścisku. Wzrok jego zatonął w twarzy jej ponuro znowu i podejrzliwie.

— Dokąd chcesz odejść? Menochim nie wrócił jeszcze z gaju Egerii... córki Sary nie wołają cię jeszcze, abyś szła z nimi...

— Słońce zachodzi! puść mię!

— Dokąd chcesz odejść? Mirtalo! Mirtalo!

Głos jego, gdy po dwakroć wymawiał jej imię, zabrzmiał srogo i groźnie.

— Słońce zachodzi!...

— Czy z nim razem zajdzie dla ciebie występna nadzieja jaka?

— Słońce zachodzi! puść mię!

— Słuchaj, dziewczyno! — głucho, lecz srogo krzyknął — dlaczego płonisz się i drżysz cała, a w oczach twoich błyszczą łzy i płomienie? Dokąd chcesz odejść? Co cię obchodzi zachodzące słońce? Kim był cudny młodzieniec ten, z którym rozmawiającą widziałem cię w późnej porze wieczoru? Czy ty także staniesz się ohydą i hańbą narodu swego? Czy ty... jak Berenika...

Twarz i postawa Mirtali zmieniły się nagle. Z niecierplivej, błagającej stała się zawstydzoną, zgnębiającą. Oczy dłonią zakryła.

— Nie, Jonatanie, nie... Nie puszczaj mię, Jonatanie! Zostanę przy tobie, nie puszczaj mię!

Długie, łkające westchnienie pierś jej podniosło. Pochwyliła teraz sama ramię towarzysza dzieciństwa i zdawało się, że pragnie przykuć się do niego. Ale on szorstko odepchnął ją od siebie, a w tejże chwili mignął błysk i rozległ się dźwięk stali. Krótki miecz Jonatana przy gwałtownym poruszeniu jego wysunął mu się zza sukni i upadł u nóg Mirtali. Porwała się, odskoczyła i drżąca, ze śmiertelną odrazą w spojrzeniu, patrzyła na mordercze narzędzie, którego Jonatan nie podniósł z ziemi. Wzrok jego, ostry i świecący jak ostrze jego noża, wpijał się w coraz bardziej blednącą i ruchem wstrętu pełnym odwracającą się twarz dziewczyny. Pomiędzy nimi wąski promień słońca olśniewające, stalowe błyski rozpałał w krótkim, zakrzywionym mieczu. Mirtala przymknęła powieki. Tuż nad narzędziem śmierci zawisło przed jej oczami narzędzie sztuki: pęzel, spod którego wypływał kielich białej lilii. W tej chwili na wschodkach ukazała się głowa w ciężkim, żółtawym turbanie. Menochim wszedł na taras i ujrzawszy oręż, który Jonatan powoli z ziemi podnosił, drgnął i stanął. I po jego twarzy przemknęły także trwoga i odraza, lecz wkrótce znikły. Jonatan powstał i plecami o ścianę wsparty z uroczystą powagą i surowym głosem rzekł do Menochima:

— Justus był tu. Mówił mi on, ojcze, że poganie sami gromią bezwstyd Bereniki. Dlaczegoż pomiędzy wami nie znalazł się nikt, kto by słowem śmiałym powściągnąć spróbował zgorzzenie zatruwające dusze naszych niewiast? Niejedna z izraelskich dziewic, ojcze, wstępować zapragnie w ślady Bereniki!...

Na dole kilka świeżych kobiecych głosów wołało Mirtali. Dziewczyna szybko zbiegła ze wschodów i przed drzwiami domu wpadła w ramiona kilku dziewcząt, które chwytając ją za ręce, obejmując kibić jej i szyję zarzuciły ją pytaniami i wnet uprowadzić ze sobą chciały.

— Matka nasza zabroniła nam wracać bez ciebie, bo jesteś zawsze pieśczętą jej oczu i nie może ona długo obejść się bez swojej hoszeb! — śnieżne zęby ukazując w serdecznym uśmiechu mówiła rudowłosa Lia, najmłodsza córka Sary.

Najstarsza z siostr, wysoka, w żółtej sukni i bogatym pasie, zgrabna Rachel, z dumnym czołem ocienionym kruczym warkoczem, poważnie głaskała dłonią ogniste włosy niższej i młodszej od niej dziewczyny.

— Odkąd oblubieniec twój wrócił do domu waszego — mówiła — stałaś się, Mirtalo, zamyśloną i milczącą. Myślisz zapewne o tym, jakim szczęściem obdarzył cię Pan czyniąc cię wybranką wielkiego męża!...

— Ojciec mój, stary i chory Aron, który wraz z tobą codziennie siadywał w Awentyńskim portyku, przyszedł dziś do domu Sary, aby wraz z Symeonem udać się na zgromadzenie święte. Pragnie on także zobaczyć ciebie, bo byłaś zawsze perłą dla jego oczu tam, gdzie was oboje otaczali zawsze sami ludzie obcy.

Słowa te wymówiło szczupłe, ubogo ubrane i nieśmiałe dziewczę, z bladą, mizerną twarzą i cierpiącym wejrzeniem dużych, myślących oczu. Mirtala, która innych przyjaciółek swoich nie zdawała się wcale słyszeć, zarzuciła ramię na szyję

biednej i nieśmiałej Eli, córki starego, chorego Arona, i długim pocałunkiem usta swe do bladych ust jej przycisnęła. Była ona zawsze najmilszą jej z rówieśnic i towarzyszek wszystkich dlatego może, iż równie jak ona, improwizować umiała wzory haftarskie i tak jak ona, nosiła w sobie nieokreślone tęsknoty za czymś, co było może ideałem piękna i niedostępnymi im urokami życia. Średnia córka Sary, mała, żywa, ognista Miriam, niecierpliwie uderzała w ziemię dzwoniącym swym sandalkiem.

— Czy nie zamierzacie — wołała — spędzić przed drzwiami Menochima całego wieczoru? Gdy raz otworzycie usta, nie możecie już nigdy nagadać się do syta! Zamiast całować się z Elą, spojrz na niebo, Mirtalo! Zanim dojdziemy do domu rodziców naszych, słońce zajdzie całkiem!

Obejmujące szyję przyjaciółki ramię Mirtali opadło nagle. Wzniosła oczy ku niebu, które istotnie powlekać się już zaczynało przezroczyście zasłoną zmroku. Zza ciemnych ogrodów cezara okrywających stok Janikulu wypływał biały rożek półksiężyca. Niespokojne oczy przesuwając po twarzach towarzyszek szybkim, urywanym głosem mówić zaczęła:

— Idźcie do domu matki waszej... przyjdę tam za chwilę... Teraz iść muszę... muszę... tam, w stronę mostu i łuku...

Uczyliła ruch taki, jakby nie odejść, ale raczej odbiec, ulecieć od nich chciała; lecz nagle cała drżąca, z wyrazem męki niewymownej na twarzy stanęła i obu rękoma uczepiła się ramion i szyi Eli...

— Idę z wami... już idę... prowadźcie mię... obejmij mię, Elo!...

Nie spostrzegając dziwnych zmian, które zachodziły w słowach jej, ruchach i wyrazie twarzy, wesołe i uroczystością dzisiejszą zajęte dziewczęta uprowadziły ją ku domowi Sary. Ela szczerpłym ramieniem otaczała jej kibić, rudowłosa Lia z uśmiechem szeptała coś o niej poważnej Racheli, żywa Miriam brzęcząc dzwoneczkami sandałów błyszczący naszyjnik swój za-

pinała u jej szyi. Przed progiem domu Sary Mirtala stanęła znowu i z twarzą wzniesioną spojrzała kędyś daleko i wysoko. Daleko, za niskimi, płaskimi dachami przedmieścia, wysoko, jakby pod samym szarzejącym sklepieniem nieba, szczyt łuku Germanicusa płonął jeszcze w ostatnich blaskach słonecznych jak tęcza spleciona z purpury i złota. Ani na otaczające ją towarzyski, ani na ludzi innych, których coraz więcej ukazywało się na ulicy, nie zważając Mirtala gestem rozpacznej tęsknoty wyciągnęła splecione ręce ku punktowi temu, samotnie gorejącemu jeszcze wśród szybko mierzchnącej przestrzeni. Lecz zaledwie towarzyski jej zdołały wyrzec słowo zapytania, ogarnęła ją i z sobą porwała rzeka ludzi śpieszących się, przygarbionych, pochylających głowy pod ciężarem grubych turbanów, tłoczących się i popychających wzajem i z cicha, lecz zapalczywie ze sobą gwarzących. Podobnymi rzekami ze wszystkich ulic i placów przedmieścia lud płynął ku wysoko wznoszącemu się nad domostwa inne domowi modlitwy.

Była to budowa nie tylko wysoka, ale i dość bogato przyozdobiona. Zdawało się, że na nią to i w nią spływały wszystkie bogactwa, na jakie zdobyć się mogła otaczająca ją gromada niskich i ozdobności wszelkiej pozbawionych domostw. Bogactwa te wprawdzie w porównaniu z tymi, które gromadziły się w świątyniach z drugiej strony Tybru, a nawet w innych miejscach zatybrzańskiej dzielnicy, były jako drobna kropla wobec wezbranego morza. Niemniej w zbiorowisku tym śmieci, kałuż i smrodów było to miejsce jedyne otoczone czystością pielęgnowaną starannie; wśród ścian drewnianych, ciemnych, skleconych z niedbałością taką, że czyniła je ona podobnymi do wędrownych tylko namiotów, były to ściany jedyne, na które złożyły się cegły i wapno, a nawet gdzieś skromne, bo rzeźb pozbawione, lecz różnymi barwami mieniące się marmury. Drzwi wysokie, szerokie i przyozdobione ognistą miedzią koryncką długo stały otworem wpuszczając do wnętrza budowy coraz gęściej napływający kilka-

tysięczny tłum. Wnętrze to, wysokie i rozległe, oświetlone mnóstwem lamp, a przyćmione nieco ulatującym z nich dymem, jaśniało białością nieskazitelną ścian i sufitu, wśród której błyskały tylko pozłacane balustrady dzielące tę część świątyni, w której zasiadali mężczyźni, od tej, którą napełniały miały kobiety. U jednej ze ścian wznosił się ołtarz ujęty w ramy złożonych kolumn, o które wspierały się dwie tablice zapisane krętymi hebrajskimi znakami, a pośród których purpurowa opona zasłaniała półkolisty otwór niszy przybrany w wieńce z uschłych gałęzi cedrowych i oliwnych. Kręte złote szlaki liter wypisane na tablicach ze śnieżnego i jak zwierciadło przezroczyściego phengitu były dziesięciorgiem synajskich przykazań; w niszy, za purpurową firanką, spoczywała księga Izraela; uwiedłe gałęzie wieńczące otwór niszy zerwane były z cedrów obrastających górę Libanu i z drzew oliwnych wieńczących Syjon. Dawno tu przywiezione uwiedły i zeschły, lecz nie zdejmowano ich stąd dopóty, dopóki by świeżymi zastąpione nie zostały; płomyki gorejące w dwu siedmioramiennych złożonych świecznikach obficie oświetlały ołtarz ten i w pobliżu niego wznoszącą się, kilku wschodami od marmurowej podłogi oddzieloną mównicę. Na mównicę tę wstępowali zwykle mężowie mający ludowi czytać i tłumaczyć ustępy Tory, albo też ci, którzy z dalekiego świata przybywając opowiadali mu o dalekiej ojczyźnie, o rozsypanych po całym świecie braciach, o nowych myślach lub pracach, których przedmiotem były religijne wierzenia, społeczny ustrój albo polityczne nadzieje zwyciężonego ludu. W tej chwili mównica była pustą, ruch zgromadzającej się ludności jeszcze nie ustał i drzwi świątyni stały otworem. Mo a de-El, zgromadzenie święte zwoływane tu w celach religijnych lub społecznych, nigdy może jeszcze tak licznym nie było. W późnej porze dnia zgromadził je Symeon dlatego, aby obecnym mu być i ducha swego skrzepić nim mógł nie tylko dostatni i z czasem swym ściśle nie liczący się mieszkańiec dzielnicy, ale także, wedle

malowniczych wyrażen Tory, „ten, który rąbie drzewo, i ten, który nosi wodę“.

Po jednej stronie złoconej balustrady zasiedli mężczyźni, po drugiej nad kilku marmurowymi wschodami ławy napełniły się rzędami niewiast. W licznym zebraniu tym każde baczne oko dostrzec by musiało przede wszystkim jedną szczególną jego cechę, którą był zupełny prawie brak dorosłych młodzieńców. Oprócz nielicznej gromadki tych, z których twarze, wpółdziecinnych jeszcze i męskiego zarostu pozbawionych, poznać można było, że bardzo niedawno pacholętami być przestali, znajdowali się tam sami tylko mężowie w wieku późnym lub dojrzałym, starzy lub pochylający się ku starości. Wprawdzie na ulicach i placach dzielnicy igrało zwykle mnóstwo dzieci, lecz pomiędzy rojem drobnych tych istot a siwiejącym lub osiwiałym tłumem ojców ich i dziadów istniała szczerba. Tworzył ją całkowity prawie brak pokolenia jednego, pokolenia, które przed kilku laty na odgłos wszczynającej się wojny świętej wywędrowało stąd ku dalekiej ojczyźnie i — nie wróciło. Jedni z nich na polu walk krwawych, w poździe, która pochłonęła świątynię, pod karcącym mieczem zwycięzców — zginęli; inni, rozsypani po świecie, wiedli żywot trudny albo jako wojenni jeńcy żyli w ciężkiej u zwycięzców niewoli. W dniach powszednich, w zwykłym torze codziennych zajęć, objaw ten cechujący pojutrze nieszczęśliwej wojny mniej uderzał w oczy i serca. Za to w całej żalobnej grozie swej zjawiał się on zawsze, ilekroć tak jak dziś gmina zgromadzała się w jednych ścianach i tysiącami razem oczu i serc spostrzegąła nieobecność najdroższych sił i ukochań swoich. Smutne też, zamysłone, ponure były długie szeregi twarzy ciemnych, gęsto obrosłych, ocienionych żółtymi lub brunatnymi zwojami turbanów; smutno i żalobnie czarne szlaki wiły się po białych szalach opływających prawie aż do ziemi ciemne chitonety. W czasach niedawnych jeszcze szale te tkano ze śnieżnej tylko wełny, ale odkąd w płomieniach i dymie pożogi ruuęła

jerozolimską świątynią, brzegi ich, u których wisały nici i chwasty przypominające o węźle przymierza z Panem, otaczać zaczęto czarnymi szlakami. Cóż dziwnego? Mędracy składający Jabue, zgromadzenie obradujące nad przyszłością Izraela, mniemać a przynajmniej głosić zaczęli, że sam nawet anioł Metatron, patron i rzecznik Judei przed Panem żałobnymi znakami obwiódł teraz srebrzyste swe skrzydła. Mniej smutnie wyglądało zgromadzenie niewiast. Na tle marmurów przyozdabiających ściany jaśniało tam wiele twarzy młodych, świeżych, z których nawet uroczystość chwili spędzić nie mogła rumieńców i uśmiechów. Nad fałdzistymi płaszczami spływającymi z ramion aż ku ziemi kołysały się tam głowy niewiast dojrzałych w kwiecistych turbanach albo w barwnych siatkowych czepcach. Ta i owa na głowę, plecy i czoło zarzuciła białą zasłonę tak, że spod niej widać było tylko wielkie wschodnie oczy z ognistą źrenicą i powściągliwie uśmiechające się purpurowe usta. Tu i ówdzie na białym czole połyskiwała złota opaska z dużą perłą pośrodku, z uszu zwisały drogocenne kolce, po szyi wiły się i aż do haftowanego pasa spływały naszyjniki ze szkieł do diamentów podobnych. Tu i ówdzie także po twarzy zoranej i bladej toczyła się łza, pod światłem lamp jak brylant błyszcząca, albo młode, lecz smutne oczy patrzyły w dal z tęsknotą bez granic. W jednej stronie pobrzękiwały dzwonki czy metalowe blaszki sandałów, w innej nad szepty szmerzące dokoła wzbijało się długie, łkające westchnienie.

Nagle szepty, westchnienia, stłumione wykrzyki powitań, ciche dzwonienie sandałów i naszyjników niewieścich — umilkły; w ciszę nieskazitelną zamienił się głuchy szmer towarzyszący zawsze licznemu zgromadzeniu ludzi, a z samych chochy poruszeń ciał ich oddechów piersi złożony. Zdawać by się mogło, że każdy z członków zebrania tego znieruchomiał i każda pierś na chwilę powstrzymała oddech. Po wschodach na mównicę prowadzących wstępował człowiek wysoki i chudy —

rzecz nie widziana tu nigdy — w rzymską tunikę zszarzaną, odartą ubrany, i z głową nie przykrytą niczym, tylko zarosłą lasem kruczych, splątanych włosów. Wszystkie nędze ciała i męczarnie ducha patrzyły z twarzy szerniałej, wychudłej, krwawymi •pозnaczonej bliznami; z oczu jego zapadłych, ze ściemniałych powiek, z ust białych o zarysie udręczonym, lecz hardym, biła namiętność sroga, nieukojoną, uparta. Stał na mównicy wyprostowany. Wklęsłe policzki jego zapłonęły, rozejrzał się dokoła wzrokiem sypiącym płomień i w tył nieco przegięty, jak skrzydła rozpostarł ramiona. W teje chwili, zanim mówca wydać mógł pierwszy okrzyk swój, który zdawał się łkać we wzdętej piersi jego, z głośnym trzaskiem i migotliwymi błyskami zdobiącej je miedzi szybko i szczelnie zamknęły się wysokie drzwi świątyni.

Na zewnątrz cicho było i jasno. Srebrny półksiężyc wypłynąwszy całkiem z za ciemnych ogrodów Cezara świecił pod szafiorowym sklepieniem w otoczeniu mnóstwa iskrzących się gwiazd. Zatybrzańska dzielnica ze stokami dwóch wzgórz okrytymi ciemną gęstwiną ogrodów a tu i ówdzie świecącymi białością ścianami letnich mieszkań bogaczy, z tłoczącą się u stóp jednego ze wzgórz gromadą niskich i płaskich domów, spała, i uśpionymi zdawały się być nawet zamknięte szczelnie oberże i otaczające je mieszkania Syryjczyków. Za rzeką, z cicha szumiącą, na siedmiu swych wzgórzach dźwigając wysoko ciężkie kopuły świątyni i bazylik, ciemne sklepienia łuków i w świetle księżycy srebrzące się szlaki portyków, Rzym usypiać zdawał się pod gwiaździstym sklepieniem, cichym, bo bezpiecznym snem olbrzyma. Kiedy niekiedy tylko za rzeką i mostem, kędyś na ulicach i placach Awentynu, rozlegał się śród ciszy do stłumionego grzmotu podobny miarowy i szybki tętent wielu stóp ludzkich. Były to wojskowe straże nocne, w różnych kierunkach przebiegające uśpioną stolicę.

Tu i ówdzie jeszcze na tarasach żydowskiej dzielnicy szarzały siedzące w milczeniu gromadki ludzi albo niewyraźnie

rysowała się pojedyncza postać nad ogrodzeniem tarasu stojąca i w cichej kontemplacji czy namiętnej modlitwie twarz i ręce wznosząca ku niebu.

W głęboką ciszę tę, w powietrze ciepłe i z lekka rozwinięte światłem półksiężyca, mieszał się głos męski za zamkniętymi drzwiami świątyni, samotnie długo brzmiący w jej wnętrzu. Murowane ściany i grube odrzwia pochłaniały słowa mówiącego, lecz dźwięki głosu jego głucho wybijając się na zewnątrz wydawały się pieśnią złożoną ze wszystkich tonów, na jakie zdobyć się może pierś ludzka. Wydawały się one nieskończonym jakby recitativem, które chwilami płynęło spokojnie i cicho, to znów szumiało jak zrywająca się burza, to śpieszne, zdyszane, podobnym stawało się do kaskady lecącej po spadzistości skały; to jeszcze grzmiało bojowymi trąbami, krzyczało jękami umierających od miecza, głodu i pożogi albo rozpływało się w żal bezdennej, w kwilenie bezsilnego dziecka lub wściekły płacz zmiażdżonej piersi rycerza. Kiedy niekiedy słowo jakieś lub imię wybijało się na zewnątrz świątyni. Słysząc było wyrazy: wojsko, twierdze, mury obronne, wojna domowa, oblężenie, głód, wycieczki nocne, świątynia, pożar, gruzy, rzezie, ucieczki. Słysząc też było imiona krajów, narodów i pojedynczych ludzi: Rzym, Pont, Syria, Idumea, Arabia, Egipt, Wespazjan, Tytus, Józef Flawiusz, Jan z Giszali. Znać było, że wiele naraz ludów w sposób różny przyjmowało udział w opowiadanej dramacie, że wiele krajów i miast było świadkami rozgrywających się tu scen jego, że wielu mężów na cały świat sławnych w różnych kierunkach popychać go usiłowało ku ostatecznemu rozwiązaniu. Kiedy po raz pierwszy imię Jana z Giszali wyszło z ust opowiadającego, odpowiedziało mu olbrzymie, kilka tysięcy piersi wzdymające westchnienie. Na dźwięk imienia największego z wodzów, najzagorzalszego z gorliwców, najwytrwalszego z obrońców Syjonu wszystkie serca uderzyły głośno i piersi głęboko,

długo westchnęły. Potem znieruchomiały znowu, zasłuchane, nieme w kamiennej ciszy.

Godziny upływały; nagle głos opowiadającego jak ziarno piasku w nadlatującym tumanie kurzawy znikł w ogromnym okrzyku tłumu, który tym razem nie umilkł zaraz, owszem, zmienił się w długi, bezładny, namiętny gwar mnóstwa głosów. W tłumie ściśniętym murowanymi ścianami coś zakipiało i wrzało potem coraz goręcej i głośniej.

Na mównicy stojąc Jonatan kończył opowiadanie nie tylko wojny stoczonej i zakończonej klęską oblężenia stolicy, ale i własnej także ucieczki z rąk wrogów, i długiej, kilkoletniej tułaczki po niegościnnych miastach Syrii, morzach i wyspach Grecji, po skwarnych i bezludnych pustyniach Afryki. Kończąc podniósł twarz, wysoko wznosił ramię i w dłoni kurczowo ściśniętej ukazał krótki, zakrzywiony miecz Jana z Giszali. Wszyscy powstali. W upalnym powietrzu ogromnej sali, w mglistym, choć obfitym świetle lamp, u których posługacze świątyni ucinali knoty, lecz gęstych nici dymu rozegnać nie mogli, nawał głów i ramion ludzkich cisnął się ku mównicy. Wszystkie usta były otwarte, wszystkie oczy wzniesione w górę, tam, gdzie nad tym ludzkim oddechem górując Jonatan, dziwnie uciszony, z kapłańską jakby dostojnością w postawie, ku oczom i ustom zbliżających się pochylał lśniąca, ostrą, obsieczną pamiątkę wielkiego męża. Nie mówił teraz nic; oni w zamian mówiąc, jęcząc, płacząc oglądali oręż, dotykali go, przyciskali do niego swe usta. Zapominając o najważniejszych obrzędowych przepisach niewiasty zmieszały się z mężczyznami i cisnęły się także ku narodowej relikwii. Były tam matki, żony i siostry tych, którzy zginęli walcząc u boku Jana z Giszali. Jedna z nich uczyniła ruch taki, jakby objąć i w ramionach swych oręż ten niby dziecię kołysać chciała. Na zimnej i lśniącej powierzchni stali kładły się usta młodzieńców i dziewczyc i zlewał ją deszcz łez kapiących z oczu przygasłych, zbołałych. Byli tacy, na których twarzą wybijała się walka. Odrzaza uczuwana

do mordów i krwi, zasada jakaś wysoka, w jednym z licznych i rozmaitych strumieni tradycji narodowej zaczerpnięta pochylające się nad mieczem głowy przejmowała wstrętem.

Goriasz, wyznawca łagodnej nauki Hillela, po razy kilka schylał się nad orężem bohatera i po razy kilka odwracał od niego twarz zapłonioną, cierpiącą; aż na koniec jedno z walczących w nim uczuć zwyciężyło i usta jego długim, miłosnym pocałunkiem spoczęły na zimnej stali. Jednak zaraz wyprostował się, ku ołtarzowi wyciągnął ramiona i z wybuchem boleści krzyknął:

— O Przedwieczny! patrz, co z narodem Twoim uczynili jego wrogowie! Oto całuje on narzędzie śmierci i cześć oddaje ostrzu przelewającemu krew!

— Najsroźszą z krzywd zadanych nam przez zwycięzców jest, o Goriaszu, w duszę ludu zwyciężonego wlany jad nienawiści!

Słowa te szeptem zdławionym wymówił Justus, którego oczy chciwie jednak utkwiły w mieczu Jana z Giszali.

W tejże chwili rozległ się grzmot kolan padających na klęczki i ciał, które runęły na ziemię. Odmęt twarzy starych i młodych, męskich i niewieścich zniknął, bo wszystkie czoła dotknęły marmurów posadzki albo nisko schylone ukryły się w dłoniach, a w upalnym powietrzu i dymnym świetle sali wybuchnął olbrzymi śpiew:

— „Wilcy i niedźwiedzie spustoszyli mi ziemię, ziemię będącą radością moją, i mnie zawiedli w niewolę, a nikt nie bronił mię i nikt sprawy mej nie sądził. I oto jestem jako kruk czarna, ja, któram białą była jako gołębica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

— „O, jakżeś, Najwyższy, poniżył swe dzieci! Chwała Twoja opuściła świątynię naszą, i obcy rycerze igrali z Arką Przymierza. I oto jestem jako kruk czarna, ja, któram białą była jako gołębica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

Jonatan wyprostowany i milczący stał na mównicy, powoli

i głęboko oddychając, jak ktoś, co spoczywa po dokonanym dziele. Pogoda z dokonanego dzieła płynąca okrywała mu twarz rozognioną i ciemną. Uczynił to, co w mniemaniu jego było zadaniem świętym; słowami swymi rozplómił ducha ludu dla sprawy, której orężem bronić już nie mógł. Z dumą, powoli wodził wzrokiem dokoła świątyni, aż zatrzymał spojrzenie na niewieściej postaci, która sama jedna wśród pochyłonych i kołyszących się głów stała za połyskującą złoceniami balustradą, prosta, nieruchoma, wpatrzona w niego oczami, w których przerażenie mieszało się z uwielbieniem. Tłum, który przed chwilą cisnął się był ku mównicy, nie porwał jej za sobą. Obu ramionami uczepiła się poręczy balustrady i nie dała się porwać fali gwałtownie spadającej z marmurowych wschodów. Grozą nieprzewycięzoną, mrozącą przejęły ją rozszczepione przez Jonatana obrazy strasznych mordów i klęsk. Za nic, za nic w świecie nie zdołałaby zbliżyć się do człowieka tego ani choćby końcem palca dotknąć lśniącej tej stali, która tysiące razy nurzała się kiedyś w krwi ludzkiej. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, krwawa mgła zaćmiewała oczy, i tylko drobne dłonie kurczowo, z siłą niespodzianą ścisnęły metalową poręcz, będącą w tej chwili podporą jej i obroną. Jednakże oczu pełnych przerażenia zmieszanego z czcią oderwać nie mogła od człowieka tego, który tak długo walczył i cierpiał. Aż nagle powiodła spojrzeniem po falującym morzu schylonych ku ziemi ciał i głów ludzkich. Niezmierna litość, dojmujące współczucie rysami jej wstrząsnęło. Osunęła się na klęczki, czołem uderzyła o złoconą poręcz i lży gradem lały się z jej oczu, gdy w upalnym powietrzu i mętym świetle świątyni huczały ostatnie strofy pieśni:

— „Dokądże, Panie, dokądże gołąbkę Twoją więzić będą sieci ptasznika? Tyle już wiosen i tyle zim minęło, odkąd drży ona pod ostrzem miecza, w lwich zębach i w jarzmie wroga. I oto czarną stałam się jako kruk, ja, którym białą była jako gołąbica, bo dom mój spustoszony i ziemia bezludna!“

VII

O Polu Marsowym istniała w Rzymie stara legenda, wcale niepodobna do tej, która urokiem poetycznych wspomnień uświęcała gaj Egerii. Tam liście drzew i fale strumienia opowiadały o dobroczynnym królu-prawodawcy i dobrej wieszczce jego. Tu zbrojne hufce zgromadzające się do wojennych ćwiczeń i przeglądów szczękiem oręża i gwarem udawanych bitew przez długie wieki przypominały krwawe walki ludu wyzwalającego się spod okrutnej dłoni Tarkwiniusza Pysznego. Wymowny dziejopis rzymski opowiada tę legendę następujnymi słowami: „Sprawa Tarkwiniuszowej własności wytoczyła się przed rozpoznanie senatu. Zapalczywy gniew wziął nad innymi względami górę... Łan Tarkwiniuszowy, pomiędzy Tybrem a miastem, poświęcono Marsowi, a właśnie pod ową porę okrywało go bujne, pod sierp dościgłe zboże. Naśnany tłum wszystko do pnia wykosił, a kłosa z ziarnem do szczętu w Tybr wrzucił. Nurty żniwo to na mieliznę zniosły, tam je napływ mułu stężył, aż zwolna powstała wyspa, która dziś świątynie i krużganki dźwiga“.

Ze następcą dobrego i mądrego Numy może być srogi i pyszny Tarkwiniusz, była to dla rzymskiego ludu nauka, z której korzystał on przez długie wieki. Wszystko minęło. Brzęki mściwych sierpów ścinających Tarkwiniuszowe żniwo, aby je na znak ohydy pogrążyć w nurty rzeki, czas zmienił w echo coraz słabiej brzmiące w uszach i sercach odległych pokoleń. Lecz żyła jeszcze szczupła garść ludzi, w których pole

noszące imię boga wojny i wśród rzeki wznosząca się wyspa utrwały pamięć o rzadkim dziejowym zdarzeniu, jakim była zwycięska walka słuszności z przemocą.

Cesarski Rzym wrzawą wezbranego życia i blaskiem ogromnych bogactw napełniał dziś dawny Ian Tarkwiniuszowy. Z jednej jego strony, za żółtym pasem rzeki spiętej drogocennymi kłamrami mostów a migotliwym niby klejnotem połyskującej wyspą „dźwigającą świątynie i krużganki“, szerokim bazaltowym szlakiem sunęła droga, Tryumfalną zwana, a ponad nią Watykańskie wzgórze rysowało na błękitach nieba fałiste skłony i spuszczało ku rzece ciemne gęstwiny ogrodów usiane srebrzącymi się w słońcu ścianami lekkich gmachów.

Naprzeciw rzeki z mostami i wyspą, drogi Tryumfalnej i okrywających Watykan ogrodów, ze stoków Kwirynału i Kapitolu, ulice szerokie, stężała lawą wysłane nieprzejrzany szeregami pałaców i arkad staczały się aż ku brzegom rozległej przestrzeni okrytej wiosenną zawsze zielenią murawy, owianej świeżością mnóstwa wodotrysków, których perliste szmery łączyły się z szeptami wawrzynów i mirtów, a brylantowe deszcze spadały do stóp śnieżnych, brązowych, złożonych posągów wydających się zaklętym tu w nieruchomość, dramatycznym i miłosnym tłumem bogów, bohaterów, mocarzy i wieszczów. Słupy, snopy i tęcze wód były z olbrzymich muszli, które w brązowych dłoniach dźwigały trytony o potężnych ciałach, półwęzowych, półludzkich, z rozwartych paszcz delfinów, z czar, które w smukłych ramionach wznosiły dziewice nereidy.

Pośród wiosennej murawy, w ramach bukszpanów i fiołków, okrążając mirtowe i wawrzynowe gaje, mnóstwo ścieżek nierozwikłanym z pozoru chaosem wiło się i przybiegało do stóp największego z portyków Rzymu, dwupiętrowej galerii, tak szerokiej, że w dole czterokonne wozy wymijały się w niej z łatwością, a w górze mieścić się i przechadzać mógł tłum wielotysięczny. Wielki portyk wybiegał nad samym brzegiem

rzeki spod sklepień wyniosłej bramy koronkowym szlakiem kolumn swych i rzeźb przerzynał wszecz całą rozległość dawnego łąnu Tarkwiniuszowego i znikał aż pod stokami Kapitolńskiego wzgórze za potężnymi, owalnymi ścianami Flamińskiego cyrku uwieńczonego jakby girlandą z płomieni nagłówkami kolumn z miedzi korynckiej jaskrawo palącej się w światłach słonecznych. Tu pod ścianą Kapitolu dokoła Flamińskiego cyrku tłumnie cisnęły się budowy rozmiarów i przeznaczeń różnych. Świątynie Herkulesa i Minerwy, wojennej Bellony i egipskiej Izydy, Panteon z wielką, wydętą kopułą, ogromne łaźnie Nerona, półokrągłe krypty trzech teatrów, rzędy arkad napełnionych drogocennymi towarami, pałace możnych, długie kolumnady osłaniające dolne piętra pałaców, wszystkie te w różnych czasach i dla celów różnych wznoszone dzieła lub arcydzieła architektonicznej sztuki tworzyły nieprzejrzaną gęstwinę marmurów, brązów, kości słoniowej i drogocennych metali, ociekających malowidłami i rzeźbą. Rzeźba ta girlandy kamiennych kwiatów i liści wiła po przezroczystych ażurach kolumnad; mnóstwem kamiennych obliczy ludzkich, dziecięcych, zwierzęcych wspinała się na potężne ściany; z dachów, fryzów, gzymsów, spod progów i ścian wabiła lub groziła postaciami wesołych faunów, figlarnych amatorów, sfinksów zadumanych, potężnych lwów, delfinów, orłów, sępów, węży, bajecznych i w naturze nienapotykanych splotów zwierzęcych i ludzkich ciał.

Dachy portyków i pałacowych krużganków dźwigały tam jakby napowietrzne kwitnące ogrody, okna świątyń i górnych pięter pałaców jaśniały kryształowymi szybami i powiewały różnobarwnymi zasłonami; słupy arkad wystawiały na widok publiczny nieobliczone bogactwa i olśniewającą migotliwość kobierców i tkanin wschodnich, greckich naczyń, złotych, srebrnych, wyrzeźbionych, malowanych, aleksandryjskich szkiele i kryształów zabarwionych przeróżnie i w przeróżne wlewanych kształty; cenne gatunki drzew, mozaiki, drogie ka-

mienie, perły, bursztyny, onyksy, agaty, szyldkret, kość słoniową, ujęte w kunsztowne dzieła stolarskiej, snycerskiej i złotniczej sztuki.

Taki dziś miała pozór część owego Tarkwiniuszowego ładu, który niegdyś złocił się i szemrał zasiewanym na rzecz królewską zbożem. Lecz inną część jego zwycięski lud, który ściał do szczytu i w nurty rzeki rzucił królewskie zboże, przeznaczyl był na dopełnianie najważniejszych czynności publicznego życia swego: na wojskowe przeglądy lub ćwiczenia i sejmy obierające konsulów, dyktatorów, cenzorów, trybunów, pretorów, edylów, wszystkich słowem tych, którzy z woli i wyboru ludu sprawować mieli rządy państwa i kierować jego losami. Część tę pola poświęconego Marsowi z jednej strony obrzeżał Tybr, z drugiej do lasu dziś podobne Pompejańskie i Lukullusowe ogrody, z trzeciej — ulica Szeroka (via Lata) obiegająca stopy Kwirynalskiego wzgórza. Miejsce to nosiło nazwę Septów, a było otwartym i rozległym placem, który od brzegu do brzegu napełniały niegdyś orężne brzęki rycerstwa albo burzliwe, skłócone gwary wolnego ludu czyniącego tu użytek z najważniejszej ze swobód swoich. Pierwszy Oktawian-August miejsca tego użył na widowiska publiczne zabawiające i jednające dla niego tłumy burzliwe i wrażeń namiętnie żadne. Odtąd ćwiczenia i przeglądy wojskowe odbywały się tu jak dawniej, ale lud nie obierał nikogo na dostojenstwa żadne. Wszystkie one skupiły się teraz na jednej, najwyższej głowie. Imperatorem czyli głównym dowódcą wojsk, dyktatorem, konsulem, trybunem, cenzorem — był cesarz. Imiona innych, pomniejszych, wiatry lecące z Palatium przynosiły do uszu ludu i posłusznie powtarzały je na Septach usta jego. W zamian często bardzo Septa kipiały radością tłumów rozbawionych igrzyskami a pasionych chlebem, z szaloną niekiedy hojnością sypiących się na nie z dłoni cesarza...

Przez Augusta zbudowana wielka droga Flamińska szeroka

kim pasem sunęła pod lesistą zielenią Pompejańskich ogrodów, u skraju Septów wiązała się z ulicą Szeroką, przez którą w łono stolicy wpływała. U brzegu jej niby olbrzym wyprostowany i strojny nad zielenią ogrodów i pod błękity nieba wzbijał się śnieżny grobowiec Augusta z nieruchomo gorejącą pod błękitami ogromną kulą złotą.

Jak akord muzyczny zgodnie odpowiadający akordowi innemu, w znacznej od grobowca odległości odpowiadał mu, lecz wyżej od niego wzbijał się obelisk słońca, na którego strzelistym szczycie, w postaci potężnego młodziana z długimi włosy i siedmiopromienną na nich koroną, z lirą w ręku a kijem pasterskim u stóp, stał bóg światła, obfitości, młodości i twórczych natchnień — Febus Apollo. U stóp tego to obelisku całą rozległość dawnego miejsca sejmowych obrad kolisto otaczając wzniosły się w amfiteatr zbudowane wielopiętrowe wschody, a u dołu stanęły obszerne, purpurą i złoceniami zdobne trybuny i loże.

Najpodeszlejsi w wieku starcy przypominali sobie, że za czasów dzieciństwa ich w tym samym miejscu Oktawian-August radował lud widokiem igrzysk trojańskich. Teraz znowu na rozległej arenie zasłanej miękkim i obficie zroszonym kościanym murawy ujrzeć miano igrzyska te, w których brali udział nie najemni kuglarze i skoczkowie, nie grubiańscy cyrkowi woźnice, nie w niewoli urodzeni gladiatorowie, nie ulubieni nawet muzycy i deklamatorzy, ale liczna świetna młodzież dwóch najwyższych w państwie stanów: synowie senatorskich i rycerskich rodzin. Na czele zaś jej, księciem młodzieży w igrzyskach tych mianowany, znajdować się miał syn cesarski, niedawny zwycięzca Judei, pięknnością, męstwem i talentami wsławiony Tytus — przyszły cesarz.

Pierwsza godzina dnia upływała. Słońce za Kwirynalskim wzgórzem wschodzące bladożółtym światłem napełniło wnętrze głębokiej kotliny, której ściany od szczytu do dołu wysłane już były postaciami, ubiorami i twarzami ludzi. Przez

noc całą Pole Marsowe szumiało morzem ludności oczekującej tu nadejścia dnia i której część znaczna przy pierwszych już brzaskach świtu z radosnym hałasem stłoczyła się na kolistych ławach. Czternaście ław dla rycerskiego stanu przeznaczonych napełniło się już po brzegi, lecz dostojność postaw i gestów właściwa ludziom wyższych warstw społecznych, jako też gorliwa nad nimi pieczołowitość „designatorów“, urzędników wskazujących miejsca i doglądających porządku, nie dopuszczały tu tłoku tego i hałasu, który kipiał na piętrach wyższych zaludnionych tłuszcą kupców, fabrykantów, rzemieślników, wyrobników, czeladzi fabrycznych i dworskich, nade wszystko zaś żołnierzy. Nie podobna już było w tłumie tym odróżnić rodowitych Rzymian i dawnych lub świeżych przybyszów z Grecji, Syrii, Azji Mniejszej, z Afryki, Hiszpanii, a nawet z niedawno podbitej Galii i Brytanii i na pół podbitych, sprzymierzonych prowincji germańskich. Pośród potomków starożytnych Kwirytów, śniadolicych, o wąskich czołach i postawach dumnych jeszcze nawet w łachmanach, pośród Greków, zgrabnych, zwinnych, strojnych, gadatliwych, i Syryjczyków z chytrym wzrokiem i cynicznymi twarzami mieszały się barczyści i ociężały Kapadoci, czarni Numidzi, biali, płowi i silni Germanie, żwawi, weseli, dziwnie szybko cywilizację rzymską wchłaniający w siebie Gallowie, półdżicy, ponurzy Bryci, Hiszpanie o gorejących źrenicach, sprężyści i szczupli Partowie, żółtoskórzy, mądrzy, o przebiegłych oczach i sarkastycznych uśmiechach Egipcjanie, z których niejeden zapewne spoglądając na otaczające go przepychy i obrządki z dumą potomka wielkiego rodu pierwszy początek ich wywodził ze swej ojczyzny. Wschodnie podanie o wieży Babel sprawdzać się zdawało w tym zbiorowisku najrozmaitszych plemion i języków, które podbój, żądza użycia, przeróżne interesa i nieprzewyciężona siła pociągu przez cywilizację wyższą na niższą wywierana zgromadziły w stolicy świata.

W chaosie tym czuć było spajającą go w karną całość siłę miecza. Czuć ją było w ogromnej ilości żołnierstwa różnej broni i różnych też plemion, które dziś z ludem zmieszane i wraz z nim igrzysk oczekujące panowało nad nim wyraźnie butą, dumą, śmiałością słów i poruszeń, gotową, zda się, zdeptać wszystko, co by jej nie podobać się mogło, wiedząc o tym, że uczynić to jej wolno bezkarnie.

Zaprawdę! najwyższym wodzem ich i sędzią był cesarz. A któż, jeśli nie oni, cezarem go uczynili? Kto, jeśli nie oni, utworzyli dla Pallatium żelazny fundament, na którym stało ono bezpiecznie? Czy tylko oni? A! i ta tłuszcza jeszcze, która w tej chwili na widok wchodzącego do jednej z łóż cesarskiego syna szaleje okrzykami na cześć jego wydawanymi — i te tam gromady bogatych wykwintnisiów, próżniaków i hulaków obu płci, które teraz dopiero zaczynają napełniać łoże i trybuny olśniewającym bogactwem swych strojów i gwarem pustych i błahych rozmów, ale nie te, o! najpewniej nie te trybuny i łoże, które powoli i jakby niechętnie napełniać zaczynają mężowie i niewiasty, dziś nawet, w dniu igrzysk, w dniu Apollina, nie rozebrani z powagi, z surowości, z zamyślenia, w którego głębi kipią wieczne i nieprzejednane bunty. Tych mieczem i wygnaniem dziesiątkowały już podejrzliwe i mściwe dłonie dziewięciu poprzednich cesarów, a jednak — żyją jeszcze, tu są także, a na chmurnych ich czołach widać się zdaje dalej i dalej w przyszłość promień ten, który przed wiekami połyskiwał w sierpach ścinających królewskie zboże na Tarkwiniuszowym łanie...

Trybuny i łoże były już prawie napełnione. W jednej z nich Cestiusz, wódz wojsk zwyciężonych w Judei i zażarty wróg judejskiego plemienia, w śnieżną i złotem szytą laticławę owinięty, wspierał się o bogato haftowane poduszki, ponury i rozjątrzony pomimo licznego otoczenia z osób obu płci złożonego. Młodziutkiej i pięknej żony jego, która uwierzyła w judejskiego Boga, u boku jego nie było. Nieustannie

za to głośno po łacinie i grecku szczebiotała tam Kaja Marcja tuląca w objęciu nieodstępną swą psinę; u odkrytego łona innych niewiast tuliły się karzelki, małpki, papugi i nawet uczone gołębie i szpaki; leniwy Stella powiewał szerokimi rękawami swej przezroczystej, niewieściej szaty; wytworny Karus rozsiewał mocne zapachy perfum; poeta Marcjalis układał naprędce złośliwe epigramata, które hucznym śmiechem napełniały obszerną i licznie zaludnioną lożę.

Niedaleko stamtąd oczy wielu ludzi zwracała na siebie wyniosła i w skromną stollę ubrana Fania, żona pretora. Kilka tylko wielkich rubinów krwisto błyszcząco w kruczych jej włosach, z których spływająca srebrzysta zasłona lekkim obłokiem owijała jej kibić. Otaczało ją ludzi wielu: niewiast dojrzałych, dziewic młodych, mężów w brunatnych płaszczach i z długimi brodami, w których poznawano filozofów. W loży tej postawy i gesta spokojne, powściągliwe wiernie przedstawiały istotny, surowy typ rzymskiego plemienia. Rozmowy toczyły się tam przyciszone, niemniej żywe i pełne uśmiechów ust młodych i ognistych błysków źrenic. Fania uprzejma i na każde słowo otoczenia swego uważna niespokojną jednak wydawała się i bledszą niż zwykle. Helwidiusza przy niej nie było. Jako pretor musiał on z wierzchołka wysokiej bramy dać znak rozpoczęcia igrzysk. Bez znaku przez niego danego rozpocząć się one nie mogły. Cezar Wespazjan nie przybył jeszcze. Czy popędliwy i litery prawa ściśle przestrzegający Helwidiusz pozwoli rozpocząć igrzyska w nieobecności cezara? Postawa i twarz Fanii były spokojne, ale serce jej pod miękkimi zwojami śnieżnej materii uderzało gwałtownie. Do młodzieńca tuż za nią stojącego zwracając się rzekła z cicha:

— Czy mógłbyś, Artemidorze, dotrzeć do wyjścia i Helwidiuszowi zanieść ode mnie poselstwo, które ci powierzę?

— Spróbuję, domina — szybko odparł malarz. — Co mężczyźni twemu powiedziec od ciebie mam?

— Powiedz mu, że proszę go... aby pamiętał o małym Helwidzie naszym...

Artemidor z uszanowaniem i nisko skłoniwszy głowę opuszczał łożę pretora ścigany wzrokiem jednej z młodych dziewcząt otaczających Fanię i ognistymi spojrzeniami bogatej Fulwii, którą po krótkim, lecz głośnym w Rzymie związku miłosnym opuścił był przed rokiem. Piękna ta i wysoko urodzona żona bogatego i starego wyzwoleńca przepych stroju swego i powaby nie ukrywanej wcale zalotności roztaczała w tej samej trybunie, w której Eliusz Lamia wesołością huczną i o nic, zda się, nie dbającą zwracał na siebie uwagę publiczną. Odkąd jeden z synów cezara uwiódł i porwał mu żonę, stał się on przedmiotem mnóstwa rozmów, ciekawości, ubolewań i szyderstw. Wiedział o tym. Z niedbałymi ruchami wielkiego pana nie troszczącego się o gwary gawiedzi, w stroju i z postawą człowieka, który zbyt młodym i możliwym czuł się, aby cios doznany o rozpacz go mógł przyprawić, ukazał się on w trybunie z otoczeniem licznym i wesołym, promieniejący, swobodny, świetny.

Głośne i z lekka tylko ironią zaprawne żarty jego słyszeli nawet ludzie z dala siedzący; z zapałem deklamował miłosny wiersz jakiś świeżo przez współczesnego poetę utworzony, pochylał się nad Fulwią i w słowach zalotnych wyrażał podziw swój nad pięknością jej i z kolei nad okrywającymi ją klejnotami. I raz tylko, raz jeden, w chwili, gdy syn cezara, Domician, wysmukły, blady i łysiejący młodzieniec, otoczony mnóstwem dostojników, pomiędzy którymi przeważali ludzie w wojskowych ubiorach, ukazał się wśród purpury, złocień i rzeźb cesarskiej łoży, niedbała i wesołością upojona twarz Lamii wyglądała tak, jakby na mgnienie oka zsunęła się z niej maska. W tym mgnieniu oka, szybkim jak błyskawica, ukazała się ona zmiętą i rozplamioną rozpaczą i gniewem. Z rozgorzałych nagle oczu znieważonego na niezdrową i złośliwą twarz uwodziciela strzeliło spojrzenie pełne nienawiści

ponurej i wścieklej; wnet przecież, bardzo szybko, wesoła maska okryła znowu twarz Lamii i tylko wzrok jego ostygł powoli, bo spotkało go wiele spojrzeń przyjaznych, dających mu zrozumiałe dla niego znaki porozumienia i jednomyślności.

Jedna już tylko trybuna pustą była. Obszerna i niemniej bogato od cesarskiej przystrojona zwracała ona wciąż na siebie uwagę powszechną. Dlaczego dotąd nie nappełniło jej grono ludzi oczekiwanych przez publiczność z ciekawością najwyższą? Wiedziano powszechnie, kto w niej ma zasiąść. Dlaczego nie przybywała ta, której imię było dziś na wszystkich ustach? Czy zatrzymywało ją dotąd w łóżu lenistwo wschodnie? albo w marzeniach o cesarskim kochanku zapomniała o dzisiejszej uroczystości obcego jej ludu? Może od zwierciadła oderwać się nie mogła pragnąc pięknoscią swą wywołać dziś z ust oblubieńca słowo, na które oczekiwała od dawna, i zdobyć przyjaźń narodu, którego panią zostać pragnęła? Z wewnątrz nie widać było orszaków do amfiteatru przybywających. Wchodziły one do łóż i trybun przez liczne kurytarze ułatwiające napływ i odpływ ludności. Jednak naraz wiele tysięcy wyteżonych w tę stronę oczu za lekkim ażurem zawartej bramy ujrzało przebiegający szereg ludzi biało ubranych i podnoszących w rękach topory owinięte pękami różeg. Byli to liktorowie, którzy sznurem jeden za drugim biegnąc poprzedzali kilkanaście wspaniałych i błyszczących lektyk otoczonych konnym oddziałem Germanów zbrojnych w łuki, okrytych zwierzęcymi skórami i na wiatr puszczałających grzywy płowych włosów. Tak zjawiał się zawsze na ulicach Rzymu orszak Żyda Agryppy, króla darowanego mu przez rzymskich władców malutkiego państewka, Chalcydy. Fantazyjnym niemal królowaniem tym dzielił się on z siostrą swoją i wraz z nią — może przez nią — używał najwyższych tu honorów i insygnii: liktorów, szat senatorskich i wojennych straży. Orszak ten przemknął za lekkim ażurem zawartej bramy. Natomiast u szczytu kilku marmurowych wschodów spuszczałających się ku pustej dotąd try-

bunie ukazała się olśniewająca postać kobieca i kto wie, jakim uczuciem zdjeta, nieruchomo przez chwilę stała.

Czy w dniu, który stanowczo rozstrzygnąć miał jej losy, widok obcego ludu zbudził w sercu jej lub sumieniu śpiącą zazwyczaj trwogę lub zgryzotę, albo też raczej chciała ludowi temu ukazać się w całym przepychu piękności i bogactwa i pozwolić, aby przez chwilę mógł on od stóp do głowy objąć wzrokiem postać swej przyszłej pani? Nie była już młodziutką, i ten to właśnie wiek dojrzały, w jakim się znajdowała, nadając kształtom jej siłę i pełność rozkwitu przyoblekał je w przepych istotnie królewski. Siła i duma były od jej postaci, z rysów jej i ubioru wiał Wschód. Kto wie, jaką myślą, czy jakim uczuciem powodowana, w Rzymie i z Rzymianami żyjąc nie opuszczała ona nigdy żydowskiego stroju. Zapewne, z przebiegłością kobiety, która czarować umie i pragnie, odgadła, że on to najlepiej wdziękom jej przystawał; w nim przecież po raz pierwszy ujrzał ją Tytus.

Z silnych i cudownie utoczonych ramion płaszcz olśniewający wschodnim splątaniem wzorów i barw spływał aż do skraju sukni przewiązanej bogatym pasem. Na śnieżnej pierś, której nie osłaniała wzorzysta tkanina płaszcza, w kilku zakrętach wił się aż do pasa gruby łańcuch złoty z uczepionym u ogniw rojem drobnych księżyców, gwiazd, węzów i gądzin. Ramiona jej owijały złote węże, w których wnętrzu, jak wszyscy o tym wiedzieli, kryły się w kształcie tajemniczych napisów przyciągające szczęście talizmany wschodnie. Spod złotej opaski usianej rosą drogich kamieni olbrzymie warkocze, tak czarne i lśniące, że krucze włosy Rzymianek wobec nich pogasły, migocąc wplecionymi w nie złotymi gwiazdami i węzami opadały na plecy jej, pierś, ramiona aż do skraju płaszcza, mieszając się i płącząc z diamentowymi długimi aż do ramion kolcami, z błyszczącymi splotami i fręzlami pasa, u którego zwieszały się diamentami sadzone a wonnościami

napełnione flakony i pełne złotych monet, przezrocyste, mi-
sternie z pereł plecione sakiewki.

Żadna z niewiast rzymskich nie nosiła takich płaszczów,
pasów, łańcuchów i puszczonech na wolę warkoczy; żadna
z nich, najbardziej rozkochana w zbytku, nie okrywała się ta-
kim mnóstwem barw, wzorów, drogich kamieni i metali.
Żadna też, najzalatniejsza, nie miała w twarzy tego wyrazu
półsennej, rozmarzonej, kornej namiętności, który przema-
wiał, wabił, pieścił ze śniadego czoła, uczernionych powiek,
długiej, falistej rzęsy i półotwartych, zmysłowych oczu Bere-
niki. W przepychach blasków i barw rozkochany, półsenny, lu-
bieżny Wschód Dariuszów, Sardanapalów i Salomonów zda-
wał się spływać w łono rzymskiego plemienia pod postacią
kobiety tej, na której widok przez chwilę Amfiteatr zale-
gała cisza grobowa, aż w górze, na piętrach najwyższych, wy-
buchnęły grzmoty oklasków i krzyków. W górze, na piętrach
najwyższych, zmysły czarująca piękność jej i przepych jej
stroju dokonały dla niej podboju zmysłowej i bogaectwo wiel-
biącej tłuszczy.

— Witaj, Bereniko! Zdrowia i szczęścia Berenice! Sophos!
(brawo) sophos! sophos!

Tak huczał w górze lud różnoplemienny, wrażeń chciwy,
synowi cezara przypodobać się żądny; dłonie tam klaskały,
głowy falowały, ramiona miotały się powiewając w powietrzu
różnobarwnymi chustkami. Ławki środkowe napełnione ry-
cerstwem z rzadka tylko wtórowały temu zapałowi tłumów;
na dole, w trybunach i łóżach patrycjuszów, męskie i niewie-
ście postacie pograżyły się w nieruchome milczenie. Zaledwie
tu i ówdzie dworak jakiś powitał wchodzącą powstaniem
z miejsca i uprzejmym gestem ręki; prawie na plecach skrzy-
wionego Cestiusza wspinając się Kaja Marcja wydawała do-
nośne okrzyki ciekawości i podziwienia; czoła filozofów i se-
natorów schmurzyły się, poważne niewiasty spuściły powieki,
po ustach wykwintnisiów nawet i zalotnic mknęły wzgardliwe,

szyerskie uśmiechy. Oklaski i krzyki w górze trwały jeszcze, gdy Berenika w miękkiej, półleżącej postawie zasiadła pośród szkarłatnych, złotem i perłami haftowanych poduszek, w otoczeniu licznego grona kobiet w migotliwy i bogaty strój wschodni przybranych.

Z innej strony trybuny zasiedli jednocześnie z nią przybyli mężczyźni. Tu panowały wyłącznie ubiory rzymskie. Agryppa w senatorskiej latiklawie, błądy, zimny, milczący, pozór miał epikurejczyka nie pozwalającego żadnym sprawom świata wstrząsać wykwintnym jego spokojem. Obok niego, lecz całkiem do niego niepodobny, ukazał się Józef, Żyd, który na znak hołdu dla panującej w Rzymie rodziny Flawiuszów, przybrał nazwisko Flawiusza — ex-rządca Galilei, o zdradę kraju obwiniony przez dowódców judejskiego powstania, pisarz sławny już z dzieł swych pisanych po grecku, a w których na przemian schlebiał zwycięzcom i wysławiał zwyciężony swój naród złorzecząc i oczerniając tych spomiędzy rodaków swoich, którzy śmieli podnieść rękę przeciw potędze Rzymu budzącej w nim cześć szczerą i czołobitną. Dwoistość uczuć i charakteru malowała się wyraźnie w żywej postaci i ruchliwych rysach Józefa.

Przyjaciół Agryppy, cieszący się łaskami królewskiej rodziny, zasiadł on w jednym rzędzie z królem Chalcydy; za dwoma tymi ludźmi, najwybitniejszymi pośród przebywającej w Rzymie arystokracji żydowskiej, zasiadło i stanęło liczne grono bogatych i wpływowych Żydów, których najwybitniejszym typem był opasły i doskonałym zadowoleniem z siebie jaśniejący, w rzymską togę ubrany, złotem i klejnotami u piersi i rąk błyszczący bankier Monobaz. On i kilkunastu podobnych mu ludzi przedstawiali w Rzymie tę część żydowskiego narodu, która w ojczyźnie swej nosiła nazwę Saduceuszów. Posiadacze znacznych majątków, potomkowie starożytnych rodzin, przyswoili oni sobie do pewnego stopnia greckorzymską oświatę, w obyczajach naśladowali zwycięzców po-

łowy świata, korzyli się przed potęgą rozdającą wszelkie zaszczyty i dobra, filozofowali trochę, ze szkoły Epikura czerpali wyłącznie naukę spokojnego używania rozkoszy ziemskich, w białych i klejnotami zdobnych rękach żwawo i biegle obracali ogromne bogactwa. Każdy z nich przywiódł tu z sobą synów swych, krewnych, skrybów, pomocników i pierwsze sługi swego domu.

Ogromny orszak, niemniejszy od tych, które dokoła patrycjuszów składali klienci i ich słudzy, zaległ głęboką i obszerną trybunę Agryppy, a spomiędzy niego prostotą postawy i stroju, jako też cichym smutkiem oblicza wyróżniał się Justus. Najmilszy mu znać czy najważniejsze czynności u boku jego pełniący, zajął on miejsce najbliżej Agryppy i zza festonów szkarłatnych opon zamyślonym okiem wodził dokoła. Nagle uczucie zdziwienia i trwogi wstrząsnęło spokojnymi jego rysami, a z ust wyrwał się szybko stłumiony wykrzyk. Spojrzenie jego zwolna rozglądające pstrą mieszaninę ubiorów i twarzy spotkało się z postacią dobrze sobie znaną, którą dlatego może spostrzegł, że była mu ona drogą i że przyoblekały ją cechy wyróżniające ją z otaczającego tłumu. Cechami tymi były: niezmierna chudość ciała, ubiór podarty i w wielu miejscach odsłaniający skórę szerniałą i opaloną, twarz ciemna, chuda, czerwonymi bliznami przerznięta, czarnym, splątanym zarostem zjeżona. Na jednej z najniższych gminowi wyznaczonych ław wysoki i chudy człowiek ten w podartej sukni nie siedział, ale stał i tak pochylał się naprzód, jakby wnet ruchem rozjuszonego tygrysa rzucić się miał na zieleniejącą w głębokim dole arenę. Oczy jego, zapadłe, ciemnymi kołami otoczone, spod powiek szerniałych i brwi zsuniętych wpatrywały się w lożę Agryppy i Bereniki z wyrazem to bezdennego żalu, to na przemian wścieklej nienawiści.

Z ust Justusa wyrwał się krótki i szybko stłumiony wykrzyk:

— Jonatan!

Czego on przyszedł tu? Jakim sposobem, dlaczego, w jakim celu wdarł się pomiędzy tłum ten, wśród którego tysiąc oczu poznać i tysiąc ust wydać go może? Jaka myśl, jaki szalony zamiar zrodzić się mogły w zgorączkowanej głowie człowieka tego, który tyle już widział krwi i mąk, tyle przeniósł rozpacz i nędzy, że na wszystko ważyć się był zdolny?

Z pobladłą twarzą Justus myślał przez chwilę; potem z uszanowaniem pochylił się nad Agryppą i szepnął do niego słów kilka. Milczący Agryppa z obojętną łaskawością skłonił głowę na znak przyzwolenia; Justus wraz z kilku sługami opuścił trybunę, a po chwili na jednej z ław przeznaczonych dla gminu dał się widzieć ruch taki, jak gdyby świeżo nadpływająca fala roztrzącała tam pstre morze ludności czyniąc pośród niej miejsce dla siebie. Słysząc tam było donośne głosy designatorów usiłujących torować drogę komuś, kto jako sekretarz króla Chalcydy miał prawo wraz z towarzyszami swymi zająć pośród pospólstwa miejsce poczesne.

Lecz nikt, ani gmin sam, nie spostrzegął tego, co się działo na gminnych ławach. Trzecia godzina dnia upływać zaczęła; cesarz nie przybywał jeszcze. Stary, chory, w żołnierskim życiu stwardniały, pieniężnymi sprawami nade wszystko zajęty, Wespazjan pomp i obchodów publicznych nie lubił. Czyż przeto tysiączne tłumy w upalnym ścisku oczekiwać na niego mają? Czy przeto stać się nie ma zadość obyczajowi, który zabawy publiczne rozpoczynać nakazywał wnet po wschodzie słońca, i ważniejszym nad ów obyczaj przepisom zalecającym dzień poświęcony bogom od samego jego początku? Na górnych piętrach czuć było stłumione niby warczenie zniecierpliwionych tłumów; niżej twarze chmurzyły się niezadowoleniem i usta zamieniały się sarkastycznymi uśmiechami. W szeregach szlachty, senatorów, dworaków, filozofów, artystów, wykwintnisiów i hulaków przeróżne ambicje, niechęci, urazy, wspomnienia i próżności stanowiły materiał palny, w którym drobna iskra wzniecić mogła ciche, lecz niebezpieczne pożar-

ry. Sam patron dnia, Febus Apollo, na podniebnym szczycie obelisku swego gniewać się zdawał na ludzi za ociąganie się z oddawaniem czci jego świętu i z siedmiopromiennej korony swej kąpiącej się w słońcu ciskał im w oczy groźne błyskawice.

Nagle na ławach szlacheckich i w wielu senatorskich łóżkach wybuchnęły huczne, przeciągłe oklaski; w zamian zaś gmin warczący przedtem, umilkł i skamienieli dworacy. Na szczycie wyniosłej bramy ukazał się pretor. Białą togą złotymi palmami usianą wspaniale opłynięty, z berłem w ręce jednej a białą chustką w drugiej, silny i śmiały Helwidiusz Priscus ukazał się na szczycie bramy powitany oklaskami jednych, a przerażonym milczeniem innych.

— Sophos, pretorze! Witaj, odważny! Zdrowia ci, dostojny! — z dołu ku górze wzbijał się snop głosów zapalem brzmiających.

Błady i łysiejący Domicjan wściekle wejrzenia rzucał ku szczytowi bramy; tu i ówdzie z ust ludzi błyszczących wojskowym ubraniem wybiegały grube przekleństwa; tłuszcza ocknęła się i zaszemrała.

— Cezar nie przybył jeszcze... Cezara nie ma... Cezara nie ma... W nieobecności cezara! Możeż to być? możeż to być? możeż to być?!...

Mogło to być. Pretor rękę jedną oparł na srebrnym orle berła swego, drugą wyciągnął. Biała chustka jak wielki motyl na zieloną arenę spadła. W tej samej chwili nieopisanym szyderstwem nabrzmiały głos Lamii wzbił się nad wszystkie gwary wołając:

— Długiego życia ci, Helwidiuszu! długiego ci życia! długiego ci życia!

Fania szybkim ruchem srebrzystą zasłonę na twarz zarzucała; schylony nad nią Artemidor szeptał:

— Małżonek twój odpowiedzieć ci kazał, domina, że nie

godzien mieć syna ten, kto nie śmie uczynić zadość słuszności i prawu.

Słuszności i prawu stało się zadość. Na szczycie bramy wojennie, tryumfalnie, przeciągle zagrały trąby, ażurowe jej odrzwia rozwarły się na oścież, wielotysięczny tłum z zapartym w piersiach oddechem znieruchomiał.

Przez rozwartą bramę na rozległą, zieloną arenę powoli wjeżdżać zaczęły konne i zbrojne hufce czterokonnymi, tuż za sobą postępującymi rzędami; wszystkie inne wyprzedzał hufiec najmłodszy, w którym na trackich, małych, jak śnieg białych koniach jechali młodzieńcy zaledwie z pacholęcego wieku wyrosli, w śnieżnych tunikach ozdobionych purpurą, w zielonych wieńcach na odkrytych głowach, z pełnymi strzał kołczanami na plecach i lekkimi, krótkimi dzirydami w dłoniach. Zaledwie dorosli, smukli, wiotcy, półrycerze ci a półdzieci, silnie jednak i zręcznie dzierżyli na srebrzystych wodzach konie swe, które z zalotnym wdziękiem stąpając zdawały się nie dotykać prawie trawnika areny.

Za białym i lekkim tym hufcem ukazał się drugi, starszy już i cięższy, połyskujący złocistą maścią koni, zjeżony długimi, ostrymi dzidami, niby rzeką stali płynący małymi tarczami i płaskimi misiurkami jeźdźców. Trzeci na wzór Germanów nie osłaniał niczym głów ani piersi. Ramiona i piersi okrywały mu skóry wilcze; grubą skórą okryte były nogi; w rękach jeżyły się napięte łuki i ciężkie, długie, żelazne dzi-dy. Był tam jeszcze poczet na hiszpańskich, zwinnych, o drgającej skórze koniach jadący, z małymi tarczami i hełmami z kunsztownie wyciskanej skóry, z krótkimi, zakrzywionymi mieczami u boku, a stalowymi lancami w rękach; i inny jeszcze, ostatni, którego afrykańskie, czarne jak noc rumaki stały poważnie, a silni, wysocy jeźdźcy potężnie wyglądali w pełnym szczerorzymskim rynsztunku: w pancerzach okrytych wzorzystym rzniętym brązem, w hełmach wysokich z orlimi skrzydłami, w sandałach okrywających nogi sznurowaniem

ze skórzanych tasiem, z ogromnymi, wklęsłymi, od ramion do kolan sięgającymi tarczami i długimi, obosiecznymi mieczami w złożonych i wyrzeźbianych pochwach. Każdy z pocztów tych miał dowódcę swego, który pojedynczo na czele każdego z nich jechał. Lecz zaledwie ten, który ostatniemu przewodził, ukażał się w rozwartej bramie, amfiteatr zahuczał, zagrzemiał, zawył huraganem oklasków i krzyków.

Na czarnym koniu, w złocistym pancerzu, z twarzą pół-okrytą hełmem, z którego ulatywać zdawał się złoty orzeł z rozpiętymi skrzydły, ogromną tarczę z wyrzeźbioną na niej chimerą o lwiej głowie i ogonie żmii jak lekkie piórko na dłoni trzymając, prosty, kształtny, wyniosły, jak błyskawica pomknął wzdłuż hufców, które na arenie wyciągały się długim sznurem i na czele wszystkich ich stanąwszy złotą, długą lancę swą wznosił wysoko. Był to Tytus.

Umiarkowane na dole, namiętniejsze w środku, na górnych piętrach oklaski i krzyki szalały jeszcze i jeszcze od grzmotu ich trzeszczały rusztowania budowy i kipieć zdawało się czyste, a coraz gorętsze powietrze, gdy olbrzymi wieniec koni i jeźdźców objął dokoła zieloną arenę. Złota lanca Tytusa znowu mignęła w powietrzu, wieniec rozerwał się, hufce uszykowały się w czterokonne sznury i powolnym zrazu, potem coraz szybszym, lecz zawsze poważnym i rytmicznym krokiem płynąć i wić się po arenie zaczęły.

Bez okrzyku ni słowa, bez brzęku broni i prawie bez tętentu kopyt wyciągnięte w sznury hufce konne i zbrojne płynęły wzajem ku sobie, rozmijały się, skręcały w różne strony zwijały się w koła i girlandy, krzyżowały wstęgi młodych głów w zielonych wieńcach z brązowymi potokami hełmów, lasy dziryków i dzid z gęstwiną napiętych łuków. Lekkie i zalotne, to silne i groźne, wiły się one po arenie i dokoła siebie, ze zwinnością ptaków, z giętkością węzów, z wdziękiem, harmonią i ciszą taką, jakby ruchy ich posłusznymi były czarodziejskiej, długiej, kędyś za światem śpiewanej pieśni.

Oklaski i krzyki zmiłły, zastąpił je szmer podobny do szumu morza, lecz i ten przycichał stopniowo, aż roztopił się w ciszę mąconą tylko gorącymi oddechami tysięcy piersi ludzkich. Ciekawość, poszanowanie dla starożytnego igrzyska i tych, którzy w nim udział przyjmowali, pozamykały usta wszystkie, a szeroko pootwierały rozplamione oczy. Ze szlacheckich i senatorskich siedzeń mnóstwo mężczyzn i kobiet pochylało się nad arenę z pobladyli od wzruszenia twarzami szukając i ścigając wzrokiem w rycerskim tłumie najbliższych i najdroższych. Na zewnątrz amfiteatru panowała też cisza nieskazitelna. Dachy portyków okryte były tłumami, które do wnętrza amfiteatru docisnąć się nie mogąc wrzały przedtem i huczały, lecz na odgłos trąb dających znać o rozpoczęciu się widowiska zapadły w uroczyste milczenie i stały teraz na tle szafirów nieba podobne do ścian pstro malowanych ku miejscu igrzysk schylonych. Z szafirów nieba, pogodnych, ochłodzonych żeglującymi po nich stadami białych obłoków, cisza, ciepło i rześiste światło lały się na murawy, posągi i kwiaty Marsowego Pola. Słysać było poważny szum Tybru i perliste szmery wodotrysków; dokoła Flamińskiego cyrku miedziane nagłówki kolumn płonęły ognistym wieńcem. U strzelistego zaś szczytu obelisku potężne kształty boskiego młodziana rysowały się wyraźnie; lira jego w słonecznych iskrach cała ożywała, drgała, migotała i zda się, że w ciszy tej, namiętnej i uroczystej, słuch tylko wytężyć trzeba, aby wnet, wnet usłyszeć, jak Febus Apollo na złotych strunach przygrywa pod niebem rycerskim tańcom rozwijającym się ku czci jego na zielonym dnie ogromnej kotliny.

Kilka głosów przerwało uroczystą ciszę wołając:

— Eneida! Eneida! boski Wirgiliusz!

Na dźwięk imienia uwielbianego, dawno zmarłego wie-szcza mnóstwo ludzi na znak czci powstało z miejsca siedzeń. To, na co patrzyli, było wiernym odwzorowaniem starożytnej zabawy, którą największy z wieszczów ich w latyńskiej epopei

opiewał. Strofa to epopei rozwijała się przed nimi. Powstali na chwilę z grobów najodleglejsi ich przodkowie. W strofie tej i w tym obrazie pograżyły się i utonęły postronne namiętności i drobne próżności wszelkie. Zgromadzenie całe jak jedna istota pochyliło się nad areną, wyciągnęło ramiona i ze wzdętej piersi wyrzuciło zgodny, olbrzymi, krótki, bo namiętny krzyk:

— Sophos!

I wnet umilkło znowu, lecz w zamian dno kotliny zakipiało ruchem, zagrzmiało tętentem, zadzwoniło brzękiem oręża i tarcz. Spokojny i uroczysty rytm przemieniał się tam w pośpieszny, wojenny, burzliwy. Zamiast w ciszy i z wdziękiem splatać się i rozmijać z sobą rycerskie hufce zjeżyły się ostrzami dzid, na ramionach wsparły wyteżone łuki, tarcze ku piersiom lub głowom podniosły, spięły rumaki i pędziły ku sobie upojone, zda się, oddechem boga wojny. Już, już jak płomienne wichry zetrzeć się z sobą mają, lecz jeden z nich czyni odwrót szybki i wybawienia szuka w ucieczce. Inne ścigając go rozpraszają się także. Arenę usiały roje rycerzy pojedynczo, z osobna dokonywających z chyżością błyskawic tysiąca zwrotów. Trackie koniki białe, niosące biało ubranych jeźdźców wydają się rozsypanym nad murawą i nie dotykającym jej stadem łabędzi. Inni podobni są do lwów płowych w pogoni za zdobyczą na wiatr puszczejących grzywy; tamci na czarnych potężnych rumakach roznoszą pożary brązowych pancerzy i hełmów, nad którymi najwyżej rozpiętymi skrzydły unosi się złoty orzeł Tytusa, i z gęstwiny dzid żelaznych, stalowych złota lanca jego strzela nad wszystkie głowy, które w pośpiechu nawet i szale ucieczek i gonitw napowietrznych poruszeń jej z oczu nie tracą. I teraz także na znak dany przez to błyszczące ostrze hufce wracają z rozsypki, z szybkością myśli zbiegają się, szykują, koniom swym wsteczne dają obroty i pośród areny tworzą czworobok ogromny, zbity, mur niby w mgnieniu oka wystawiony z łbów koni i opancerzonych piersi ludzkich. Nad mu-

rem tym wyrósł i nieprzebitą zjeżył się gęstwiną wysoki, ostry, ciemnymi błyskami migocącymi las żelaznych i stalowych dzid. Złoty orzeł z rozpiętymi skrzydły obleciał dokoła czworobok i złota lanca zakołysała się znowu w powietrzu; mur czworoboku rozłamał się, rozproszył się las połyskujących ostrzy; tarcze skórzane, stalowe, brązowe w rękach rycerzy wzniosły się nad ich głowy, ku którym napięte łuki sypnęły deszczem strzał i pocisków.

Jak deszcz rzęśisty spadający na metalowe posłania strzały i dziuryty dzwoniły po tarczach; od gęstej chmury ich ściemniała na chwilę arena, aż rozwidniła się i dokoła niej ukazał się znowu wieniec koni i jeźdźców, nieruchomy, lecz jak tęczę igrający mieczem. Tak w greckim, pyryjskim tańcu, od którego może trojańskie te harce początek wzięły, dziewice igrały z lutnią, którą sobie wzajem z rąk do rąk rzucały.

Mężowie i rycerze lutnię zastąpili mieczem. Szeroki miecz Tytusa, rzucany, chwytny, podawany dalej, powietrzem niby leciał, z rękojeści w diamenty zdobnej siejąc deszcz krwawych, zielonych, błękitnych błysków. Przeleciał olbrzymie koło i ani razu ziemi nie dotknął, ani żadnej nie zakrwawił dłoni... aż w górę, do wysokości orła na hełmie, wznosił go syn cesarski, a na znak ten wieniec rycerski pękł, zadzwonił w tarcze i znowu trackie konie, jak śnieżne łabędzie nad murawą, zda się, unosząc biało ubranych jeźdźców szły na spotkanie czarnych biegunów z orlimi skrzydłami; hiszpańskie rumaki, delikatne i wrażliwe, z drżącą skórą i parszającymi nozdrzami, płomienie ciskając z oczu, krzyżowały się z kosmatym zastępem skór wilczych i gniadym poczem opukleczonym stałą... I znowu cicho, bez okrzyków i bez brzęku broni, prawie bez tętentu kopyt hufce rozmijały się, skręcały w strony różne, wiły się po arenie i dokoła siebie, z wdziękiem, harmonią i powagą taką, jakby ruchy ich posłusznymi były czarodziejskiej jakiejś, za światem śpiewanej pieśni...

Tak trwało długo. Czwarta i piąta godzina dnia upływa-

ła, a rycerze i rumaki bez spoczynku i bez znużenia z siły swej i zręczności składali hołd bogu światła i piękna, dumie własnej i zabawie ludu.

Lud bawił się. Rozpoznawano w rycerskich zastępach znajome lub drogie twarze, wywoływano znane lub sławne imiona; oklaski krótkie i namiętne wybuchały, milkły, wybuchały znowu, urywały się jak przecięte nożem ciekawości: co będzie dalej? Nie zagrzmiały one, jak zwykle bywało, przy wejściu cezara. Wespazjan przybył bardzo późno; lud przybycia jego prawie nie spostrzegł i wtedy dopiero krótko, z roz-targnieniem powitał go, gdy Tytus na widok ojca skinieniem lancy do szyku przywrócił swe hufce i wraz z hufcami oddał cesarowi pokłon wojskowy. Wiedziano, że syn ten i ojciec kochają się i wspierają wzajem. Niemało ludzi spostrzegło w zamian jadowite spojrzenia, jakimi drugi syn cezara ścigał starszego brata.

Wiedziano też powszechnie, że Domicjan nienawdził Tytusa, tego ulubieńca natury i losu, który od natury i losu otrzymał wszystko, co człowiek osiąść może: piękność czarującą, siłę, odwagę, talenta, najwyższą dostojność i bałwochwalczą miłość żołnierzy. Czego mu jeszcze niedostawać mogło?

Niedostawało mu może tego, co mieć ma prawo każdy śmiertelnik prosty: nazwy prawej małżonki dla ukochanej kobiety i dośmiertnego z nią związku?

Trąby na szczycie bramy grały znowu wojennie, tryumfującą, rozgłośnie dając znać o kończącym się widowisku. Brzegiem areny w długi znowu sznur rozwinięte hufce ciągnęły poważne, dumne, a tak świeże i nie zmęczone, że tu i ówdzie zaledwie krople potu spływały spod zielonych wieńców na młodziutkie czoła, tu i ówdzie biała piana plamiła czarną lub płową sierść koni, a niejedna głowa wznosiła się w górę wzrokiem szukając znanych lub ukochanych twarzy i niejedne usta spod brązowego hełmu przesyłały uśmiechy ku pochyło-

nym nad areną, wzruszonym i rozkoszą drgającym ustom niewieścim.

Tytus przodem jechał. Zdjął hełm ze złotym orłem i wraz z tarczą trzymał go u boku, drugą dłonią dotykając zaledwie luźno puszczonej wodzy. Teraz lud dowoli napatrzeć się mógł twarzy jego, której piękność od krańca do krańca znanego świata stutrabna sława głosiła. Po długich, rycerskich harcach nie było na niej wyrazu tryumfu lub wesołości. Zadumę i niepokój baczne oko wyczytać by na niej mogło. Zrosnięty jakby z czarnym swym biegunem, z postawą prostą, spokojną i silną, Tytus pochylał jednak śniade czoło, pod ciężarem jakby palącej troski. On, wódz po wielokroć zwycięski, czy odniesie dziś zwycięstwo, którego od dawna pragnęło serce jego i inne jeszcze? Zwycięstwo nad czym? Nad wolą ojca, pobłażliwą dla niego zawsze, lecz tym razem surową; nad dumą patrycjuszów, niechęcią filozofów i licznych ich uczniów, nad kaprysami gminu, któremu panować miał, lecz który zarazem panował nad nim. Dokąd wiedzie on hufce swoje? Złożył już wraz z nimi pokłon przed lożą cezara i drugi, odwiecznym zwyczajem nakazany, przed szeregiem śnieżnych tog senatorskich.

Trąby grają wciąż pieśni odwrotu; szeroka brama stoi otworem, lecz hufce rycerskie z dowódcą swym na przedzie ciągną jeszcze brzegiem areny. Wielotysięczny tłum wie dobrze, gdzie konia swego zatrzyma dowódca. Przez kilka dni ktoś po stolicy rozsiewał wieść tę, która jednych poiła gniewem, w innych zapalała gorączkę ciekawości i współczujące sympatie. Na koniec czarny rumak stanął jak wryty. Tytus osadził go przed trybuną Bereniki; za nim, także jak wryte, stanęły hufce jego.

Wśród purpurowych festonów, z poduszek haftowanych perłami i złotem, zwolna, rozkosznym i kornym ruchem, w całej wyniosłości rosłej swej kibici, opłynięta całym bogactwem stroju swego, podniosła się i stanęła czarodziejka

Wschodu. Któż kiedy zliczyć potrafił trawiące marzenia, niepokoje i żądze, z jakimi chwili tej oczekiwała? Kto kiedy zgadnie, czy teraz miłość albo duma wrzały w jej żyłach palących warem? Pod skrętami złotego łańcucha po cudownej jej piersi przebiegały namiętne drżenia; warkocze jak czarne węże owijały jej kibić, na śniadą twarz i szkarłatne usta spadł wyraz upajającej półzmysłowej, półekstatycznej rozkoszy. Głowę diamentami usianą pochyliła nisko, pokornie, podniosła ciemne powieki i spod firanki falistych, drżących rzęs spojrzenie czarnych jak noc, pieszczących, pokornych oczu zatoпиła w podniesionych ku niej źrenicach kochanka.

Patrzeni na siebie chwilę. Berenika powoli, w sennym jakby upojeniu, pochyliła się nad rzeźbioną poręczą trybuny, a w dłoniach nieśmiałym ruchem rozkochanej niewolnicy podnosiła laurowy wieniec.

Końca tej sceny, końca sceny, którym być miało według krążących wieści ogłoszenie małżeństwa cesarskiego syna z królową Chalcydy, wielotysięczne zgromadzenie oczekiwało z oddechem w piersiach zapartym, z uczuciami rozmaitymi. Tu i ówdzie tylko, w górze i na dole, biegły stłumione, choć namiętne szepty podobne do wąskich strumieni przerywających morze ciszy...

Wtem jak huk gromu spadającego na ziemię, kędyś, z górnych pięter budowy, rozległ się krzyk:

— Przekłęta bądź, Bereniko, hańbo narodu swego! zdrajczy ni sprawy słusznej! trucicielko dusz cór judejskich!...

Tu głos chrypliwy, wykrzywiający latyńskie dźwięki, lecz potężny siłą tą, którą daje bezpamiętna, zajażdża namiętność, urwał się na chwilę, jakby usta krzyczącego ręka jakaś zamknąć próbowała. Wnet jednak bardziej jeszcze rozdrażniony, więc potężniejszy niż przedtem, wybuchnął znowu:

— Przeklętym bądź i ty także, niszczycielu krajów cudzych, potworze, któryś spalił świątynię...

Teraz słyhać było w górze szamotanie się ciał jakichś bio-

rących się za bary, urywane krzyki i zbrojne kroki. Ale szaleniec, kędyś tam, w pstrym i ściśniętym tłumie, konwulsją namiętności zjęty, głosem ochrypłym i przerywanym toczoną walką wołał jeszcze:

— Przekłęci bądźcie oboje przez silnego i straszego Boga! Przekłęci bądźcie przez niebo i ziemię! Przekłęci bądźcie przez wszystkich służących sprawiedliwości! Przekłęci bądźcie przez każdą siłę wyższą na niebie i ziemi! Przekłęci... przekłęci... przekłęci!...

Ochrypli, przerywany, wściekły głos oddalał się wciąż, oddalał się i słabł, jakby tego, z czyjej piersi wybuchał, wprowadzano coraz dalej i dalej. W trybunach, łóżach i na wielu szlacheckich ławach panowało milczenie stokroć wymowniejsze, niżby były huczne oklaski. Milczenie to było pełne złośliwej radości przemocą niemal wydzierającej się na twarze. Wszystko, co z jakichkolwiek przyczyn dla obecnego porządku w Rzymie lub dzisiejszych przedstawicieli jego kroplę choćby jadu chowało w sercu, wszystko, co ze wzdardą spoglądając na obce narody gardziło klejnotami okrytą przedstawicielkę tego spomiędzy nich, którym gardzono najbardziej; wszystko, co było w Rzymie czystym, zbuntowanym, dumnym, zawistnym lub urażonym, z obojętnością wymowniejszą nad oklask przyjęło obelgę przez nieznaną jakieś usta rzuconą na głowę cesarskiego syna i jego kochanki.

Wraz z otoczeniem swym milczał i tryumfujące spojrzenia ciskał Cestiusz nienawidzący Judejczyków, których zwyciężyć nie mógł i którzy mu odebrali żonę; milcząc, lecz ironicznie uśmiechano się w loży Eliusa Lamii, którego twarz pod wesołą maską miłości cesarskiego syna rzeźbiły rozpaczą i gniewem; ponuro i głośno niemal śmieli się krewni i przyjaciele Marcji Furmilli, opuszczonej małżonki Tytusa. Lecz ponurą i groźną także stała się dobroduszną zazwyczaj, gruba, żołnierska twarz Wespazjana; Domicjan popędliwym gestem wyciągał ramię wołając:

— Cezarze! rozkaż, aby jutro ścięto publicznie śmiałka tego!

Ale gdy gest i usta jego groziły, oczy śmiały się zjadliwą radością ciosem, który brata jego dotknął, budzoną. Ciosem były dla Tytusa nie tyle krzyki i przekleństwa nieznanego zuchwalca, ile ten niemy poklask, którym przyjęła je znaczna część tych właśnie, których dziś ująć, zadziwić, dla celów swoich podbić zamierzał. Nie ugiął on przecież głowy; przeciwnie, oczy jego, które przed chwilą z upojeniem tonęły w źrenicach kochanki, cisnęły płomień srogiego gniewu. Łagodny Tytus, którego ci i owi zwać już poczynali „słodyczą ludzkiego rodu“, w gniewie, w żalu uczuł się ulubionym synem pana świata i spojrzeniem piorunującego pół-boga wodził dokoła. Berenika zniknęła pośród orszaku Agryppy, który otoczył ją i szybko przed oczami ludzi zasłonił.

Wszystko jednak, co działo się na dole, cichą sielanką było wobec tej burzy, którą huczały górne piętra gmachu. Tam żołnierze kochali Tytusa jako wodza, który po wielokroć wiódł ich ku zwycięstwu, a lud olśniony pięknością jego, siłą i dostojenstwem, gotów był stawiać dlań ołtarze i umieścić go w rzędzie nieśmiertelnych bogów. Tam także najgłębsze wzgardy i najsrozsze urazy wrzały ku judejskiemu plemieniu. A nie byłże Judejczykiem zuchwalec ten, który wściekłymi słowy swymi obraził pół-boga i nade wszystko przerwał zabawę wesołą, a palącej ciekawości tłumów zaspokoić się nie pozwolił? Wprawdzie i Berenika także Żydówką była. Ale nad śmiertelniczki wszystkie wyniosła ją miłość cesarskiego syna, zmysłowa piękność jej upajała oczy ludzkie, a biła od niej ponętna groza bogactw. Ten zaś obdartus, nędzarnik przypatrujący się widowisku na ławie gminnej, w sposób właściwy judejskiemu pospólstwu przekręcający łacińskie słowa — kim on jest?

— Jest to Żyd! Żyd! Żyd! — donośnie wołał Sylwiusz, właściciel haftarskiej fabryki na Awentynie. — Niech mi bo-

ski Apollo lirę swą z obelisku wnet na głowę rzuci, jeżeli nie poznałem w nim jednego z haftarzy mieszkających za Tybrem!...

— Nie, wcale nie; mylisz się, Sylwiuszu — przekrzyczęć przyjaciela usiłował perfumiarz Wentury. — Żydem jest on najpewniej, ale nie haftarzem. Przysięgam, że jest to jeden z tych, którzy na Transtiberim wyrabiają perfumy!...

Przez tłum ściśnięty, deptąc po ludzkich nogach i potężnymi pięściami roztrącając ludzkie ramiona i plecy, przebił się setnik olbrzymiego wzrostu, rozgniewany i zaciekawiony, z ust wyrzucający grube przekleństwa.

— Gdzie on jest? — krzyczał. — Gdzie on podział się? Czy schwytano go i uwięziono? Spostrzegłem go z daleka... Kim on jest? Widziałem go już kiedyś! Widziałem go już kiedyś! Gdzie ja go widziałem?...

Mnóstwo głosów naraz mówiło:

— Nie pochwycono go i nie uwięziono!

— Człowiek jakiś stał za nim i usta zamykać mu usiłował...

— Żyd jakiś także, ubrany w togę...

— Przywiódł ze sobą ludzi wielu...

— Wparli się pomiędzy nas jak byki pomiędzy owce... i rozsiedli się dokoła niego...

— Gdy roztworzywszy pysk wrzeszczał swoje głupie przekleństwa, ciągnęli go wstecz, ale opierał się im... Chudy jak przepiórka, która trzy dni nie jadła, a silny jak ty, Pedanusie...

— Otoczyli go tak, że nie mogliśmy pięściami naszymi do boków jego dotrzeć ani z ramion naszych uczynić mu łańcuchów...

— Ciągnęli go... obronili... uprowadzili...

— Gdzie ja widziałem, na Herkulesa! gdzie ja wściekły pysk ten kiedyś już widziałem? — olbrzymią pięścią uderzając się po spoconym czole powtarzał setnik.

Wtem zwinnie, jakby kości nie posiadał, wywinął się z tłumu i przed setnikiem stanął do pasa mu zaledwie wzrostem sięgający człowieczek, w brudnoczerwonej bluzie, półrzyży a półłysy, ze śladami sandałów na bosych prawie nogach. Żółte, małe oczy z kocią przebiegłością ku grubej i wielkiej twarzy olbrzyma podnosząc zawołał:

— Gdzie i kiedy wściekły pysk ten widziałeś, Pedanusie, powie ci o tym Silas, lektykarz z tamtej strony Tybru. Widziałeś go na czele judejskiego wojska zbuntowanego przeciw cesarzowi... Wrogiem on jest cesarza i bogów... Żydem zaciekłym, który chciałby usmażyć cię, Pedanusie, i zjeść na sabatową wieczerzę... Zbiegiem on jest, którego dawno już ścigają władze rzymskie...

— Pamiętam! — krzyknął Pedanus — na Herkulesa! przypomniałeś mi wszystko, lektykarzu podobny do glisty! Widziałem go na czele przeklętych buntowników, u boku Jana z Giszali... Zawsze on tam był, zawsze był u boku tego azjatyckiego lamparta... sam jak lampart!...

— Przekleństwo mu! — zawył tłum — przekleństwo zbuntowanemu plemieniu jego!

— Gdzie on mieszka? Łysa głowo! gdzie on ukrywa się, glisto! Gadaj, oberwańcze! roztwórz brudny pysk swój, Syryjczyku! Prowadź nas... niech go w pokutnej ofierze zarzniemy na ołtarzu Apollina... Prowadź nas!... niech go skrępowanego oddamy mściwej dłoni Tytusa...

Odpowiedzi nie było. Mały, skurczony, jak wąż zwinny Silas zmieszał się z pstrym, wrzeszczącym, miotającym się tłumem i — zniknął.

VIII

O ile w dniu Apollina ulice i rynki Rzymu opustoszożonymi były z ludności, gromadzącej się dokoła Septów i Flamińskiego cyrku, o tyle nazajutrz mrowiły się one i huczały milionowym tłumem uczującym i bawiącym się pod odkrytym niebem. Na licznych rynkach noszących nazwy: rybiego, wieprzowego, wołowego, drzewnego itp. ogromne stoły gięły się pod stosami grubego pieczywa i gotowanych lub pieczonych mięsów. Z metalowych kraterów, czyli zbiorników win, mnóstwo łyżek odpowiedniego kształtu lało w kubki i czary mocny trunek rozcieńczony płynnym miodem i napelniający powietrze ostrym zapachem korzennych przypraw.

Do stołów tych zastawionych przez cezara, którego skąpstwo i chciwość znikwały wobec potrzeby bawienia i karmienia ludu, przystępowali ludzie różnych stanów. Moźni i wykwintni tylko obchodzili dzień ten hucznym ucztowaniem w ścianach domów swych i pałaców. Rynki i ulice roiły się ludnością złożoną z licznych klientów wielkich domów noszących zbiorową nazwę pasożytów, ze świeżych wyzwolenców, którzy jeszcze nie mieli czasu otrząść się z fizycznych i moralnych nędż niewolnictwa, z wolnych najemników używanych do różnych robót w fabrykach, sklepach, na ulicach, w porcie, z niewolników, którym łaskawość panów ich nie wzbraniała rzadkiej zabawy, z mnóstwa żołnierzy i setników z prostactwa swego znanych.

Tłum ten zwiększały jeszcze liczne, nazwę kolegów noszące zgromadzenia rzemieślników różnych zajęć: haft-

rzy, perfumiarzy, piekarzy, szewców, krawców itp., a miesza-
li się do niego także kupcy, którym posiadany dostatek nie
przeszkadzał do pożądania ulicznych uczt i rozrywek, po-
śledni adwokaci szukający tu sposobności popisywania się
z wymową i zdobywania przez nią klienteli, ciekawość i ła-
twowierność tłumów wyzyskujący wróżbiarze, gwiazdździarze,
kuglarze. Jakkolwiek w trzech naraz teatrach odegrywano dnia
tego śliczne pantominy i ucieszne atelany, czyli sceniczne
farsy, jakkolwiek tysiące ludzi przypatrywały się na Marso-
wym Polu wystawionym tam na widok publiczny osobliwym
zwierzętom: wężom ogromnym, nosorożcom, tańczącym sło-
niom itd., na Septach podziwiali siłaczy, linoskoków, szyb-
kobieców, przeróżnych kuglarzy i skoczków, to jednak nie
było w Rzymie ulicy żadnej, którą by nie ciągnęły gromady
mężczyzn i kobiet nasyconych jadłem, upojonych, a co naj-
mniej rozweselonych trunkiem, z głowami ustrojonymi w zie-
lone wieńce, z flectkami na czele, z ulicznymi deklamato-
rami, mówcami i trefniami, którzy wspinając się na wy-
niesione nad poziom miejsce przykuwali do siebie uwagę gro-
mad tych albo budzili w nich śmiechy do grzmotów podobne.
Wszystko to grało, śpiewało, śmiało się i huczało w powietrzu
upalnym, dusznym, wstrząsanym tylko od czasu do czasu dła-
wiącymi powiewami wiatru wiejącego z południa i wiodącego
za sobą chmury i burzę. Szmaty chmur szarych, ciężkich su-
nęły pod niebem przysłaniając od chwili do chwili słońce,
lecz nie ochładzając żaru, którego piekące tchnienia roznosił
ze spieczonych pustyń lecący *Africus*.

Forum Romanum gorzało. Roziskrzzone niebo lało blaski
swe na świątynie, pałace i kurie rynku tego noszącego właściwie
nazwę Forum Civile, rynek obywatelski; w słonecznej spiecu,
która go napełniała, olśniewająco płonęły niezliczone i nie-
ocenione przedmioty bogactwa, z których tam na kunsztow-
nie zbudowanych rusztowaniach uczyniono wystawę publicz-
ną. Był to wystawiony na widok publiczny skarbiec państwo-

wy: zbiór łupów zdobytych przez wojny zwycięskie i kosztowności zgromadzonych przez chciwość, marnotrawstwo lub artystyczne zamiłowanie poprzednich cesarów. W górze, nad rusztowaniami tymi, tak jak i dokoła Forum, u ścian, wrót i portyków, sztandary wojenne wysoko wznosiły w powietrze zdobiące je orły, gwiazdy, sploty węzów i grozić zdające się olbrzymie ręce. W dole pstry, na wiele oddzielnych gromad rozbity tłum z podniesionymi głowami rozglądał się w tym nagromadzeniu bogactw, które poiło go uczuciem bezbrzeżnej dumy. Setki rozognionych oczu przesuwwały się z kolei po stołach okrytych naczyniami złotymi i usianymi obfitą rosą drogich kamieni; po łożach urabianych w kształty lwów, łabędzi lub pawi, a wysadzanych kością słoniową, szyldkretem, srebrem i diamentami; po szachownicy utworzonej z dwóch diamentowych tablic, a której pionki zawierały w sobie pudy kunsztownie rzeźbionego złota; po ulanych ze srebra i złota posągach bogów, cesarów i sławnych wodzów; po kilkudziesięciu koronach uplecionych z pereł; po wielkiej grocie niby obfitą rosą osypanej perłami; po wzgórzu nade wszystko będącym istotnym wzgórzem ze złota ulanym, a na którego spadziściach wiły się gałęzie winne, wyrastały jabłonie, pokryte liściem i owocem, biec zdawały się jakby żywe myśliwskie orszaki złożone z lwów, jeleni i ścigających je psów.

Te i inne tym podobne osobliwości i drogocенności od czasów Pompejusza już i Cezara, więc od stu przeszło lat, stopniowo zgromadzały się w skarbcu rzymskim i wywierały na duszę rzymskiego ludu właściwe sobie czary. Ale dziś na Forum wznosiło się pośród innych rusztowanie jedno, które najliczniejsze ku sobie przyciągało gromady, bo wystawione na nim były przedmioty najmniej jeszcze znane, przed kilku zaledwie laty po ostatnim słynnym zwycięstwie wojennym do Rzymu przywiezione. Ostatnim słynnym zwycięstwem wojennym było bezwarunkowe i ostateczne podbicie od dawna już, lecz warunkowo podległej Rzymowi Judei. Rusztowanie naj-

większą ciekawość budzące okrytym było łupami, które zwycięski Tytus przed kilku laty przywiózł w darze Rzymowi z obalonej w gruzy Jerozolimy.

Wyosobnione nieco spomiędzy innych, wznosiło się ono w pobliżu wielkiego nagromadzenia marmurowych łomów, z których w tej porze właśnie budowano tryumfalny łuk Tytusa.

Łuk skończonym jeszcze nie był, ale o tryumfie kochanka Bereniki wymownie opowiadały ludowi przedmioty, którym przypatrywał się on z ciekawością najżywszą. Były to przedmioty, którymi naród daleko, daleko stąd osiadły przez długie wieki istnienia swego, przez długi szereg pokoleń z miłością, z czcią, z milionami trudów i nadziei zdobył i wzbogacał to, co mu najdroższym i najświętszym było: świątynię Boga swego, ognisko, ku któremu zbiegały się wszystkie strumienie narodowego życia. Były tam kobierce ogromne, stubarwne, puszyste, nieobliczonej ceny; opony haftowane misternie, spinane mnóstwem klamr drogocennych; bogate futra malowane szkarłatną farbą; był tam ogromny zbiornik wody z metalowych zwierciadeł urobiony; wielki stół kościelny z drogocennego drzewa z ciężką balustradą złotą; świecznik siedmioramienny z bajeczną obfitością osypany złotymi liliami i owocami... Nad tym wszystkim, u szczytu rusztowania, stał w blasku słonecznym jaskrawo malowany olbrzymich rozmiarów obraz przedstawiający tryumfalny wjazd Tytusa do Rzymu po odniesionym zwycięstwie. Za wozem tryumfatora cisnęły się radosne tłumy, szły zwycięskie wojska i ciągnął poczet wojennych jeńców, zgębnionych, wybladłych, półnagich, z łańcuchami u nóg i pętłami na szyjach. Nad obrazem, u samego szczytu, paliły się złote litery składające napis: „Judea zwyciężona, Judea podbita“.

Smutnej wystawie tej przypatrujący się ludzie wesołymi byli. Grube palce wyciągały się w górę wskazując to i owo, języki uderzały w podniebienia wydając dźwięki podobne do

smakowania wybornych potraw; ruchliwe wyrostki rozpościerały u nosa dziesięć palców rąk dając przez to drwiące oznaki wzgardy swej dla podbitego ludu; Sylwiusz, haftarz z Awentynu, ramieniem obejmował szyję niższego od niego perfumiarza Wenturego i obaj promienieli radością i dęli się dumą. Popchnął ich i roztrącił przeciskający się przez tłum setnik Pedanus.

— Czego ciśniesz się, balu, i ludzi po drodze rozbijasz? — krzyknął obrażony Sylwiusz.

— Taranie do tłuczenia kamieni! o mało ramienia mego plecami swymi nie zgmiotłeś! — cienkim i zaperzonym głosem zawtórował przyjacielowi ufryzowany i woniejący perfumiarz.

Dwu wykrzykom tym zawtórowało wiele innych. Za Pedanusem inni jeszcze setnicy i prości szeregowcy niechętnie deptali ludzkie nogi ciężkimi stopami swymi ubranymi w szamerowane sandały, a silnymi ramionami roztrzásali zuchwale ludzkie karki i plecy. Wyrostek jakiś, który właśnie przed chwilą w weselu serca przesyłał drwiące gesta ku przedstawionej na obrazie gromadzie wojennych jeńców, obu rękoma pochwycił się za ucho i z głośnym płaczem przypadł ku ziemi. Nie usuwającego się prędko z drogi jeden z żołnierzy poczęstował żartem, od którego z ucha nieszczęśliwego malca pociekł cienki strumień krwi. Łajania i przekleństwa ozwały się w tłumie. Kobieta jakaś tuląc w objęciach zranionego chłopca przeraźliwie wyrzekać zaczęła na zuchwalstwo i nieobyczajność żołnierzy, którzy niedawno męża jej, ogrodnika, zrabowali z wiezionych do Rzymu jarzyn i owoców, a dziś zranili jej dziecko...

— Czy na zuchwalców tych obywatel rzymski sądu i kary już znaleźć nie może?

— Mnie śmiał potrącić, mnie, Sylwiusza, którego roboty zdobiją pałac samego cezara!

— Plecy moje długo pamiętać będą pięść twoją, Peda-

nusie, ale, na Herkulesa! jutro szambelanowi, którego wier-
nym klientem jestem, zaniosę flakon cynamonowej perfumy
i błagać go będę, aby skargę moją na ciebie wniósł przed obli-
cze boskiego cezara!

— Jeżeli uczynisz to, Wentury, dowiedziesz tylko, że
głowa twoja daleko mniej waży od łuta cynamonu. Powinie-
neś wiedzieć, że od dawna już na szali sądów rzymskich set-
nik posiada wagę stu pudów, a spokojny obywatel — jednej
setnej łuta...

Głos jakiś poważny, smutny i ironią nabrzmiały przeno-
sząc wszystkie inne zawołał:

— Niewdzięczne dusze!

Obejrzano się. Człowiek, który dwa te wyrazy wymówił,
wysmukły był i zgrabny, lecz rysom jego przypatrzeć się było
trudno, bo ocieniał je głęboki kapiszon płaszcza. Nic w tym
dziwnego nie było. Mnóstwo ludzi kryło głowy przed słonecz-
nym skwarem pod kapiszonami lub kapeluszami o szerokich
brzegach.

— Co ten skrzeczy? Mów dalej! Czy cię matka dwa tylko
wyrazy wymawiać nauczyła? — śmiejąc się wołano dokoła.

Człowiek w kapiszonie powtórzył znowu:

— Niewdzięczne dusze!

Pedanus podjął się wytłumaczyć zagadkowe słowa niezna-
jomego. Zwrócił się twarzą ku zgromadzeniu i wskoczył na
łom marmuru. Z dala wydawać się mogło, że olbrzymia po-
stać jego w sznurowanych sandałach, metalowym pancerzu
i z krótkim mieczem u boku stała na głowach ludzkich. Po-
tężną pięść nad głowy te wyciągając krzyknął:

— Obywatel rzekł prawdę. Przez psie mordy wasze szcze-
ka dusza niewdzięczna. Łajecie i oskarżać chcecie uczciwego
żołnierza, gdy wyjmie on z waszego garnka garść gotowanego
bobu albo przechodząc przyciśnie wam koniec delikatnego
paluszka! Czyż żaden geniusz opiekujący się rozumami ludz-

kimi nie powiedział wam nigdy, że gdyby nie ten uczciwy żołnierz, nie posiadalibyście tego, co posiadacie?

W tłumie ozwały się śmiechy i wołania:

— Niech mię Jowisz bóstwom podziemnym odda, jeżeli wiem, co posiadam!

— Nie posiadam nawet jednego srebrnego naczynia!

— Co ja posiadam, setniku? co ja posiadam?

— Pokaż mi własność moją, setniku, a synowski pocałunek złożę na twojej pięści!

— Całuj, ślepe szczenię! — odkrzyknął Pedanus. — Alboż te góry złota, pereł i diamentów, na które patrzycie tutaj, nie są własnością waszą? Do Rzymu należą one, a wy jesteście obywatelami Rzymu, ergo, waszym to wszystko jest!

— Dobrze! — zaśmiał się ktoś — gdy głodnym będę, wykaszę szmaragd z tego oto stołu i najem się nim do syta, a gdy moja Klelia o nową suknię dokuczać mi będzie, ubiorę ją w tę perłową grootę...

— Nikczemna duszo! — zawołał inny setnik na niższym złomie marmuru u boku Pedanusa stojący — czy nie możesz najeść się i przyodziać dumą Rzymianina, któremu wszystkie narody świata dań tę złożyły?

— Prawdę rzekł! Pudens rzekł prawdę! Wszystkie narody świata nam dań tę złożyły. Jest ona własnością naszą! — zawołało mnóstwo głosów.

— I naszą nieśmiertelną chwałą!

— I słodyczą oczu waszych, które w dniu święte widokiem bogactw tych poić się mogą do syta!...

— Powiedziałeś, Pedanusie! powiedziałeś, Pudensie! Zdrowia i wiecznego życia cesarowi, który nam na nie patrzeć pozwala!

Pedanus parsknął śmiechem, od którego, zdawało się, że drgnęło potężne rusztowanie.

— Czemuż, trzodo barania, i nam także zdrowia i wiecznego życia nie życzysz! Naszymże to potem i naszą krwią

chluby te i pociechy wasze kupione. Któż je zdobył, jeżeli nie nasze męstwo? Kto azjatyckich barbarzyńców do stóp waszych rzucił, jeżeli nie nasze pięście i miecze?

Pełne zapału krzyki rozległy się w gromadzie. Wszystkie głowy przytwierdzająco kiwały, wszystkie oczy rozgniewane przed chwilą z poszanowaniem i miłością zwracały się ku potężnym postaciom setników. Sylwiusz przepchnął się ku Pedanusowi i wyprężając ramię, przyjacielsko i delikatnie pociągał go za brzeg konchy usznej.

Wentury z flakona wyjętego z za sukni wylał trochę perfumy na włosy jednego z żołnierzy; kobieta, która przed kilku minutami płakała nad skrwawionym uchem syna, podnosiła rozpromienione oczy i uśmiechała się rzędem śnieżnych zębów.

— Nie gniewam się już na was, żeście wóz męża mego zrabowali z jarzyn i owoców... — mówiła. — Gdy przechadzać się za miastem będziecie, wstąpcie do domu ogrodnika Tacjusza. Żona jego, Balbia, uczęstuje was wybornym mlecywem i winogronami z własnej winnicy...

— I przez wdzięczność za zabijanie synów wszystkich narodów świata z rozkoszą pozwoli wam zakrwawić drugie ucho swego syna! — donośnie odezwał się znowu wysmukły i zgrabny człowiek ubrany w płaszcz z kapiszonem.

Nikt jednak tym razem na odezwanie się jego uwagi nie zwrócił. W tłumie sykano:

— Milczeć! milczeć! setnik mówi!

Pedanus mówił istotnie. Szeroko rozmachując potężnymi ramiony wskazywał on wciąż na rusztowanie okryte łupami przyniesionymi z Judei, zapytywał o coś, coś opowiadać zaczynał. W przycichającym gwarze niby urywane ryki słychać było słowa jego:

— Jeżeli mniemacie, że to były sobie wesołe tańce, jesteście stadem osłów. Powiadam wam, że bronili się jak lwy wściekłe... Tarany i bale, którymi rozbijaliśmy ich mury,

psuli i palili. Z trzystu machin wyrzucali na nas kamienie i groty... osypywali nas deszczem strzał owiniętych w płonące pakuły... oblewali nas kipiącą wodą i oliwą... Wszystko to czynili i więcej jeszcze... wypadali na nas we dnie i w nocy... nie dawali nam jednej minuty bezpiecznego snu i odpoczynku... Aha! gdybyście ich wtedy widzieli!... wykulibyście tyle posągów, ilu było rzymskich żołnierzy w tej walce z rozjuszonymi bykami i lampartami... Jan z Giszali nie był człowiekiem. Powiadam wam, że nie był on człowiekiem takim, jak wy, i nawet jak my, to jest na przykład ja albo Pudens... Na własne oczy widziałem, jak z głowy jego wylatywały płomienie i siadały na głowach jego żołnierzy... Powiadam wam, że był to czarownik... Kiedy raz z góry Oliwnej stoczyli się na nas jak piana lernejskiej hydry, Fulminata nawet, czy słyszycie? najwytrawniejsza z czterech legii Tytusa, Fulminata, w której setnikami są Pedanus i Pudens, nie ustała... w szyku i odpornie, ale cofnęła się i gdyby nie Tytus, którego boski głos usłyszawszy przestawaliśmy zawsze słyszeć samych siebie... możebyście teraz nie wytrzeszczali oczu na łupy judejskie i nie rozdziawiali gęb słuchając słów Pedanusa... Przeklęte plemię! Ile razy wspominam o dniu tym feralnym, który na moment przyćmił sławę Fulminaty, tyle razy czuję straszny apetyt pożarcia choć jednego z tych wrogów cezara i Rzymu.

Tak mówił Pedanus, a gniew i srogość, coraz bardziej pokrywające dobroduszny z natury wyraz grubej, wielkiej jego twarzy, szybko, jakby magnetycznie, udzielały się słuchającej go gromadzie.

— Przeklęte plemię! — zawołał ten sam głos, który wprzód z żartobliwą ironią mówił o wykąszeniu w chwili głodu szmaragdu z judejskiego stołu i ubraniu żony, Klelii, w grotę perłową. — Przeklęte plemię! Chciałbym zemścić się za Fulminatę i w zębach moich schrupać jeden jego ułamek!

Widocznie najskeptyczeńszych nawet zrazu ogarniał za-

pał. Ci, którzy bliżej Pedanusa stali, śmieli się. Z twarzy setnika widać było, że opowiadać zaczął coś zabawnego. Wszyscy słuch wyteżyli. Gdyby ktokolwiek tam mniej był zajęty opowiadaniem setnika, spostrzegłby, że czoło wysmukłego człowieka ubranego w płaszcz z kapiszonem okryte było krwistym rumieńcem, a w ciemnych oczach jego świeciły łzy.

— Powiadam wam — prawil Pedanus — że bogowie sami na widok ten ze śmiechu braliby się za boki!... Było to tak: Tytus przemówił do nas... święte dreszcze zjęły nam ciała i dusze... Fulminata leci na ich spotkanie... Wichher nigdy szybszym od niej nie był... Konnica przeciw konnicy, wpadamy na nich, ścieramy się twarz z twarzą, pierś z pierśią, miecz z mieczem... Łoskot, huk, krzyki, jęki, walenie się na ziemię cielsk końskich i ludzkich — nie słyszymy nic... Ogłusza nas wstyd wczorajszy, wściekłość szkarłatem okrywa przed nami wszystko... Konie i twarze wrogów, miecze ich, stojące za nimi mury obleżonego miasta, niebo, ziemia... wszystko... czerwone... Powiadam wam, że w tej godzinie bogowie dla nas cały świat krwią umalowali... Nie wiem, ile łbów ściałem, ile piersi przebiłem, ile tułowi odrąbałem... Wtem czuję, że ze mną samym źle... Jeden z nich naciera na mnie z zajadłością i zręcznością piekielną. Sto razy miecz mój dotykał jego piersi i sto razy odbił on go i swój ku mnie obrócił. Patrzę: mrówka czy pantera? Mały, cienki, mizerny... (z głodu wychudły, bo głód straszliwy panował już tam w ich murach), do ramienia mi wzrostem nie sięga, istna mrówka!... a silny pomimo to, a rozjuszony, sprężysty i obkakujący mię do koła — jak pantera! Eheu! myślę sobie, czy ja się dam zjeść owadowi temu? Bogowie mię natchnęli! Miecz przerzuciłem w lewą rękę, a prawą schwyciłem go za udo, i nie mielibyście czasu wymówić: Salve! — a już z konia go ściągnąłem. Lekkiż był! Ręka moja czuła, że wnętrzości jego były puste. Tu już i cofać się oni przed Fulminatą naszą zaczęli, a ja judejskiego rycerza mego za nogę trzymając ku Tytusowi go

pełnym pędem konia mego niosłem. Pędziłem, a jeńcem moim niby skryb trzcinką wciąż go za nogę trzymając w powietrzu wywijałem. Ktokolwiek spojrzeł, wybuchał śmiechem, ale za to z siły i pięści Pedanusa nikt odtąd nie zaśmieje się nigdy...

Słuchacze śmieli się nie z siły i pięści Pedanusa, aż nadto widocznej, ale z przedstawionego przezeń obrazu judejskiego rycerza, którym setnik rzymski za udo go trzymając niby skryb trzcinką w powietrzu kręcił...

— Zuchwalstwo ich granic nie znało — równie grubym, jak u Pedanusa, głosem zawołał niżej nieco stojący Pudens. — Niechaj Pedanus potwierdzi prawdę tego, co wam opowiem. Staliśmy naprzeciw ich wojska czekając hasła do boju. Poruszyć się nie można... Niechaj Pedanus potwierdzi, jaka to męka nie móc poruszyć się bez rozkazu i bezczynnie słuchać zuchwałych wyzywań ich i żartów... Wyzywali i żartowali... żartowali z nas, że tak już długo oblegamy ich miasto i nic dokazać nie możemy... Wtem jeden z nich, ten, którego widzieliśmy zawsze u boku dowódcy ich, Jana z Giszali, wypada na przód. Wysoki, chudy, czarny, z trzęsącej się gęby ciska na wojska nasze grad obelżywych wyrazów i wyzywa... wyzywa: „Niech który z rycerzy waszych stoczy ze mną pojedynczą walkę... Pójdź, pójdź, Rzymianie! uderz się pierśią w pierś z Judejczykiem... Niech ramionami mymi choćby jednego z was do serca przycisnę!“ Niech Pedanus potwierdzi, że tak wyzywał. Słucham, wściekam się, ale stoję jak wryty. Karność! nikomu bez rozkazu poruszyć się nie wolno! Mniej wytrzymałem i karnym był Priscus, młodzieńcy syn siostry mojej, Serwili... Rok jeszcze nie upłynął, odkąd włożono na niego togę dojrzałości... wnet potem został żołnierzem... dziecko! Niech Pedanus potwierdzi! Wypadł z szeregów... nie wytrzymał... zerwał się... na Judejczyka leci... spotkali się, starli, walczyli krótko... Priscus mój padł skrwawiony, przeszyty na wylot mieczem Judejczyka... Niech Pedanus potwierdzi,

jak białym i pięknym, jak odważnym i dobrym był syn mojej Serwili!... dziecko! Jam niezonaty... Służąc Rzymowi nie miałem czasu usłać sobie gniazda... Priscusa chciałem za syna sobie przybrać... Siostrę miałem jedną... tę... Serwilię... uczciwą i słodką kobietę, która, gdy w Rzymie przebywał, karmiła mnie doskonałym bobem, naprawiała mi odzież i wraz ze mną wspominała rodziców naszych... Z żalu po synie prędko poszła w krainę cieniów!... Niech Pedanus potwierdzi...

Pedanus nie potwierdzał. Pięścią olbrzyma ocierał on łzami zwilgocone oczy. Głos Pudensa, który stawał się coraz żałośniejszym, i rysy jego wykrzywające się do płaczu rozrzewniały wrażliwą gromadę słuchaczy.

— Gdybym była na miejscu Serwili — cisnąc do piersi wyrostka ze skrwawionym uchem i ukazując białe zęby krzyknęła Balbia — dopóty pomiędzy Judejczykami szukałabym owego, dopóki bym go nie znalazła, oczu mu nie wykłula, języka nie urznęła i pazurami serca nie wydrapała!...

— A gdybyś, Balbio, matką była Judejczyka tego, którego Pedanus kręcąc za udo w powietrzu niósł Tytusowi, co byś uczyniła? — donośnym głosem zapytał człowiek w płaszczu z kapiszonem.

Nikt go nie słuchał. Gromada słuchająca opowiadań setników wrzała.

— Jak to! — najgłośniej krzyczał haftarz Sylwiusz — i żaden z was nie pomścił biednego Priscusa? Zuchwalstwo Judejczyka uszło mu bezkarnie?...

— Pomściła go strzała Pudensa — zawołał Pedanus. — W towarzysza Jana z Giszali cisnął on strzałę... którą ugodzony padł na ziemię...

— Zabity! — z uczuciem jakby niewysłowionej ulgi westchnął tłum.

Pudens ścisnął pięście i rozpaczliwym ruchem wyciągnął ramiona.

— Niech Pedanus potwierdzi, że jest to plemię czarowni-

ków! Zabójca mego Priscusa padł ugodzony strzałą moją... a jednak widziałem go wczoraj!...

— Gdzie? kiedy? mów!

— Wczoraj, na Septach... Ten sam, który z bluźnierczej gęby swej cisnął obelgę na boskiego Tytusa i wspaniałą Berenikę... Był to on, ten sam... Niech potwierdzi Pedanus...

— Powiadam wam, że był to ten sam... — potwierdził Pedanus. — Zabitym go mniemaliśmy, wczoraj ożył... dziś znowu może Harpie pociągnęły go do podziemnego państwa...

— Żyje! — piskliwym, przeszywającym głosem krzyknął ktoś w tłumie.

Człowiek ubrany w płaszcz z kapiszonem zadrżał. Nikt na niego nie patrzył. Uwaga powszechna zwróciła się na człowieka w brudnoczerwonej bluzie, z głową półryżą, półłysą. Pedanus patrząc na niego z wysokości swojej zawołał:

— Witam cię, glisto! Wczoraj już rozmawiałem z tobą. Żyje, powiadasz?...

— Żyje! — podnosząc wzrok ku olbrzymowi i żółtymi powiekami mrugając odpowiedział Silas.

— Gdzie jest? kędy ukrywa się zabójca mego Priscusa? Prowadź nas tam, oberwańcze, a sprawimy ci taką nową tunikę, jakiej nie widziały od urodzenia żółte twoje ślepie! — wołał Pudens.

Ale Silas skrył się już za szerokimi plecami Babasa i zwinnym ciałem uwieszanej u ramion siłacza ciemnonicej, rozczochranej, w srebrne obręcze strojnej Egipcjanki Chromii.

Przypomnienie wczorajszego wydarzenia na Septach było strzałą owiniętą w płonąca materię i w tłum rzuconą. Wszyscy naraz przypomnieli sobie urazę swą, wszyscy naraz zagadali, wszyscy uderzyli w oburzenie nad zniewagą wyrządzoną synowi cezara i obrazą wspaniałej Bereniki, w gniew na zachwalstwo nędznego cudzoziemca, który znieważył majestat rzymskiego ludu.

Z grupy utworzonej przez Syryjczyków, nad którą wzro-

stem swym wynosił się Babas, a którą ożywia! zjadliwy chichot Chromii, piskliwy głos donośnie zawołał znowu:

— Nazywa się on Jonatan!

Była to druga strzała w płonąca materię owinięta i w tłum rzucona. Mnóstwu ludzi imię to przypomniało mnóstwo rzeczy. Niejedne uszy słyssały o nim po wielekroć, niejedne oczy szukały go i ściagały po świetle. Był to jeden z wodzów judejskiego powstania, jeden z najcięższych przestępców przeciw władzy nad światem cezara i Rzymu. Ten to był, który po wielekroć raniony z ran swych wyleczał się zawsze i znowu obok Jana z Giszali przeciw wojskom rzymskim stawał. Ten to był, który tułaczem już nędznym i ściiganym będąc zdołał jeszcze w Egipcie zebrać kilkotysięczną zbrojną gromadę Judejczyków i wzniecić tam przeciw władzom cesarskim bunt, mizerny wprawdzie i szybko utopiony we krwi buntowników, lecz świadczący o zażartej nienawiści i niepokromionym zuchwalstwie potwora tego. I ten potwór, ten czarownik, którego doścignąć nie mogły ani strzały, ani zbiorowe mordy, ani czujne, sturęczne władze wielkiego państwa, znajduje się w Rzymie i śmie... śmie... śmie publicznie urągać majestatowi rzymskiego ludu, złorzeczyć ukochanemu przez lud i wojsko synowi cezara i oblubienicy jego... Setnicy zeskoczyli z marmurowych łomów i zbici pośród Forum w gromadkę złożoną z połyskujących olbrzymów toczyli pomiędzy sobą namiętą rozprawę. Na łomie marmuru stanął Sylwiusz i powiewając malowniczymi fałdami swej togi, poruszając w powietrzu białą ręką, na której błyszczał pierścień z ametystem, przemawiał długo w zgiełku i wrzawie, aż ściągnał na siebie uwagę powszechną i sprowadził względną ciszę. Z gestem pretora i miną polityka roztrząsającego sprawy ważne przemawiał:

— Rozważcie to, obywatele, w światłych umysłach waszych! oni jedni opierali się tak długo potędze naszej. Egips, Syria, Azja Mniejsza, Galia, Hiszpania dziękują już fortunie za to, że połączyła je z Rzymem, inni warczą, lecz korzą się

przed potęgą i oświatą naszą... rozważcie to, obywatele, przed potęgą i oświatą naszą, zatem moją, Wenturego i twoją także, Tacjuszu, i twoją, Nigerze, i twoją, Balbio, i twego małego syna, Balbio! Ci tylko mizerni tak długo stawiali nam czoło i teraz jeszcze, zwyciężeni, bluźnią bogom naszym, cesarowi i nam... Ale czy oni są naprawdę zwyciężonymi? Rozważcie to, obywatele, w światłych umysłach waszych, czy zwyciężonymi są ci, którzy zachodzą nam drogę wszędzie: w porcie, na rynkach, w portykach, i uczciwym obywatelom rzymskim odbierają zysk z ciężkiej ich pracy i możliwość wyżywienia swych rodzin...

Tu niby spod skrzydła, spod ramienia Sylwiusza wysunęła się ufryzowana główka Wenturego, który rozpościerając ramiona zawołał:

— Sylwiusz rzekł prawdę! Odkąd rozmnożyli się oni za Tybrem, nie sprzedają połowy tej ilości perfum, jaką sprzedawałem dawniej... Sylwiusz rzekł prawdę!

— Prawdę rzekłeś, Sylwiuszu, prawdę rzekłeś! — odpowiedziało mnóstwo głosów, których większość należała do robotników pracujących w fabrykach Sylwiusza i Wenturego. Naśladując klientów wielkich panów i swych patronów, rzęsiłymi nawet oklaskami osypali oni mowy swych pracodawców.

Oprócz nich zresztą znajdowało się w słuchających grupach wielu innych najemników, którzy istotnie ubogi lub nawet nędzny mieli pozór. Ci w każdej okoliczności przypomnieć radzi to, co obchodziło ich najwięcej, wołać zaczęli, że dwanaście asów dziennego zarobku nie starczy im na wyżywienie się i utrzymanie rodzin i że patronowie powinniby płacić im więcej.

— Jakże uczynić to możemy — z gestem mówcy wyrażającego rozpacz odpowiedział Sylwiusz — skoro sami ze stron wszystkich doświadczamy najsroższych ucisków? Nie dość, że patrycjusze prowadzą na własną rękę mnóstwo fabryk i wy-

roby swe dokonywane przez niewolników taniej od nas sprzedawać mogą, trzebaż jeszcze, abyśmy we własnej stolicy naszej udręczani byli przez cudzoziemców!... Rozważcie to, obywatele...

Potem słodkim jak miód, czułością nabrzmiałym głosem zawołał:

— Czy przystaniecie na to, obywatele, aby uczciwi Rzymianie obsiedli most żebraków, a cudzoziemcy rozpierali się z bogactwami swymi w grodzie przodków naszych?... Rozważcie to w świątłych...

— Most żebraków! most żebraków! — spod ramienia mówcy jękliwie przerwała ufryzowana głowa perfumiarza — rozważcie to w świątłych głowach waszych!

— Na Kastora! — zawołał wysoki i chudy mercenarius — gdy patronowie obsiądą most żebraków, my dzieci nasze chyba w Tybr powrzucamy!...

— Jeżeli wprzód na sabbatowych wieczerniach nie pozjadają ich Judejczycy!

Słowa ostatnie wymówił człowiek, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się wszystkim mowom i rozmowom. Stał on u stóp rostry, publicznej mównicy, plecami oparty o jeden z okrętowych przodów, z których składał się wysoki jej piedestał. Bogatą suknią okryty, na ciemnej twarzy miał on wyraz przebiegłości, zuchwalstwa i złośliwości, właściwy niewolnikom wielkich rodów pełniącym u boku panów swych czynności rządców domu, pochlebców, tajemnych agentów w ciemnych i często niebezpiecznych sprawach. Poznano w nim ulubionego niewolnika, rządcę domu, pochlebcę i tajemnego pełnomocnika Cestiusza, byłego dowódcy wojsk rzymskich w Judei i męża pięknej Flawii.

W mgnieniu oka ciekawość publiczna opuściła Sylwiusza, a zwróciła się ku najstarszemu słudze wielkiego pana. Otaczało go kilku innych jeszcze ludzi, którzy naraz albo z kolei przemawiali także, wtórowali słowom swego zwierzchnika

albo je uzupełniali. Wszyscy oni byli z panem swym w Judei, znali dobrze kraj ten i zamieszkujące go plemię. Opowiadali też rzeczy, od których słuchacze bledli z przerażenia albo drżeli z gniewu. Jak to? Pieką ciała cudzoziemców i zjadają ich wnętrzności?! Cześć oddają ośleju głowie, kozłowi i takiemu bożkowi, którego wnętrze napełnione jest ogniem! W ogień ten rzucają oni na ofiarę dzieci! Bożek ten nazywa się Moloch. Modlą się też do cielęcia ulanego ze złota. Posiadają czary i zaklęcia, którymi cudzoziemców nawracają na swoją wiarę. Mnóstwo jest w Rzymie ludzi, którzy wiarę ich przyjęli. Czy lud rzymski spokojnie patrzeć będzie na opuszczone bóstwa swoje?... Poprzedni cesarowie nieraz już przeciw Azjatym tym świętości Rzymu bronili. Klaudiusz wypędził ich z Rzymu. Cezar Wespazjan łagodny jest i zatrudniony wiele innymi sprawami, ale nienawidzi ich i po tym, co wczoraj zaszło na Septach, opuści pewno na nich karzącą prawię...

Na Forum rozległy się syczące szmery:

— Cezar ich nienawidzi! Czy słyszycie? Cezar ich nienawidzi! Sługa Cestiusza wie, co mówi! Mówi on, że cesar ich nienawidzi!

Wysmukły, zgrabny człowiek w płaszczu z kapiszonem szybko teraz opuścił błyszczący niezmiernymi bogactwy i huczący wrzawą roznamiętnionych tłumów rynek obywatelski. Z trudnością niejaką przecisnąwszy się przez gęsto zaludnione i pysznymi gmachami otoczone ulice tuskulańskie minął rynek drzewny okryty pijącą i hulającą tłuszcą, okrążył wielki cyrk, nad którym akrobata podobny do jaskrawo opierzonego ptaka wieszał się po wysoko rozciągniętej linie, i wąskimi, ciuchymi przejściami wstąpił na Awentyn, gdzie ażurem kolumnady swej i barwami fryzu przez Artemidora malowanego jaśniał portyk Cestiusza.

Tu ciszej znacznie było niż gdzie indziej. Na krzyżujących się dokoła portyku ulicach nie zastawiono stołów z ucztami

i nie hałasował uczujący lud; w portyku zaś przechadzało się kilku ludzi, z których jeden, najwyższy i najbarczystszy, brodę miał siwiejącą, płaszcz ciemny, twarz spokojną, choć gęsto zbrudzoną. Przechodzień idący z Forum przystanął i słuch wyteżył w stronę przechadzających się ludzi. Zatrzymali się też oni wkrótce w pobliżu niego. Młody i świeży głos zapytywał:

— A teraz, Muzoniuszu, powiedz nam, czym jest odwaga?

Plecami wsparty o kolumnę, z ramionami skrzyżowanymi u piersi stoik odpowiedział:

— Odwaga, Epiktecie, jest cnotą uzbrojoną w obronie sprawiedliwości. Nie jest ona potworem, który rzuca się w porywie chciwości i barbarzyństwa dla nasycenia chuci i pychy, lecz wiedzą o prawach ludzkich nauczającą odróżniać to, co znosić wypada, od tego, co cierpianym być nie powinno. Serce Sparcjaty gorzało tylko dla zwycięstw. Tak samo dzieje się z pysznym. Chce on być pierwszym, chce on być jedynym, a wznieść się tak nad innych nie może bez zranienia sprawiedliwości i zdeptania dobra. Z takim walcząc odważnym szermierzem sprawiedliwości będziesz...

Chwilę panowało milczenie. Po czym ktoś znowu zapytał:

— A czymże, mistrzu, w samej istocie swej jest dobro?

— Składają się na nie cztery pierwiastki: miłość ludzi, miłość prawdy, miłość wolności i miłość harmonii.

Wysmukły przechodzień, który z jedną stopą postawioną na podstawie kolumny, łokieć na kolanie, a czoło na dłoni opierał, podniósł głowę i zawołał:

— Słowa twoje, mistrzu, jak muzyka niebieska grają w ciszy tego portyku i jak balsam kojący cieką w zgiełku, który napełnia dziś to miasto. Ale Muzoniuszu, gdy ty szlachetnych młodzieńców tych nauczasz tu miłości dla ludzi i prawdy, tam, na Forum, wilki i żmije leją w duszę rzymskiego ludu jad pychy i nienawiści!

Muzoniusz i otaczający go młodzieńcy obejrzelisię, ale

przechodzień, który wyborną łaciną z lekka tylko zaprawną cudzoziemskim akcentem słowa te wymówił, śpiesznie już skręcał na jedną z ulic ku Tybrowi wiodących. Po chwili milczenia w grupie stojącej w cieniu portyku ozwał się głos młodzieńczy, lecz ironią i popędliwą goryczą brzmiały:

— Ktokolwiek był przechodzień ten, który przemówił do nas, prawdę powiedział. Obejrź się, Muzoniuszu. Gdy my w chłodnej tej ciszy pijemy wraz z tobą niebieski napój filozofii, dokoła nas wrą szały zwierzęce, lud obżera się, opija, hula i wydaje okrzyki na cześć tych, którzy przemieniają go w trzodę wieprzy i wilków. Gorycz i oburzenie wzięły wodze myśli moich i pytam cię, mistrzu: dlaczego tak wąską i nie zaludnioną jest droga ta, po której za tobą idziemy?

Muzoniusz łagodnym wejrzeniem objął głowę wąpiącego młodzieńca i głosem, w którym czuć było spokojnie uśmiechającą się duszę, odpowiedział:

— Jest ona, Juwenalu, wysoką i nieśmiertelną. Zjęty gniewem na zbrodnie i głupoty ludzkie, wiedz o tym, że ród ludzki nie kończy się na nas i że pochodzący jego wiek ten nie zamknie. Spod niebieskiej jasności i ciszy filozofia sieje prawdy swe w dusze rzadkie, wybrane, które z wolna i z trudem roznoszą je po przestrzeni i czasie. Myśmy kapłani jej i szerzyciele. Do nas to stosować należy wiersz Enniusza: „Niechaj nikt łzami grobów naszych nie skrapia, bo żyjemy wiecznie z duszy do duszy latając“. Gdy namiętności kipią, przemoc uciska, głupota szaleje, nie cofajmy się z szeregu szermierzy za prawdę i dobro, lecz jak na skale wysokiej i nieśmiertelnej wsparci, w przyszłość świata zapatrzeni, czoła nasze na gromy i fale wystawiając przy zasadach stójmy!...

Wśród oddalonych szumów, które z rynków i ulic taranami niby były w upalne powietrze, słowa Muzoniusza niebieską muzyką grały istotnie w cichym i chłodnym portyku, balsamem gojącym łać się zdawały na ziemskie wrzawy i szal. Młodzieńcy Juwenal do ust, z których zniknął sarkastyczny

i gorzki uśmiech, poniósł skraj płaszcza ukochanego mistrza; głębokie i cierpiące oczy Epikteta napełniły się blaskiem natchnienia; Tacjusz z zamyślonym czołem i energicznymi rysy zawołał:

— Pójdźmy, mistrzu, na Forum, aby na własne oczy zobaczyć to, o czym mówił nam ów przechodzień!

Lecz do grupy rozmawiających zbliżał się śpiesznie młody, wysmukły mężczyzna w białej tunice i srebrnej opasce na kruczych włosach. Był to Artemidor. Z głębokim uszanowaniem skłonił się przed Muzoniuszem, rówieśników zaś przyjaznym orzucił spojrzeniem.

— Helwidiusz i Fania proszą cię, mistrzu — rzekł — abyś co najprędzej przybył do domu ich, w którym, zanim upływie godzina, przyjmować będą odwiedziny Domicjana, syna cezara.

Oczy stoika zaświeciły jak u rycerza wzywano go do boju; wkrótce jednak na wysokim czole jego drgnęły i pogłębiły się zmarszczki. Wzniósł nieco ręce, spojrzeniem utonął wysoko.

— Domicjan w progach córki Trazea... twarzą w twarz z Helwidiuszem...

Tu dając się porwać płomiennemu charakterowi swemu, który filozofia na wodzy trzymała ostudzić go nie mogąc, zawołał:

— Jestże dzień choćby jeden, który byśmy w spokoju i bezpieczeństwie wielkim myślom i rozważaniom poświęcić mogli? Bądźmy gotowi, o ukochani! bądźmy gotowi na to, że każda godzina dla niejednego z nas feralną stać się może.

Odeszli.

Przechodzień, który przed chwilą do Muzoniusza przemawiał, był już także daleko. Ulicą, która z bramy Ostyjskiej ku Tybrowi wiodła, spuścił się on z Awentynu, przeszedł pod cienistym i rzeźbami ociekającym sklepieniem łuku Germanicusa, przebył most i znalazł się w żydowsko-syryjskiej dzielnicy Zatybrza. Tu cisza panowała głęboka. Syryjska ludność

wyciągnęła na miasto ku ulicznym zabawom i ucztom, Żydzi zawiesili znać zwykle swe zajęcia. Można by myśleć, że uczuwszy powiew burzy czy niebezpieczeństwa przypadli oni ku ziemi, oddechy nawet zapierając w piersiach. Dzielnica miała pozór taki, jakby zamieszkująca ją ludność nagle wymarła. Ciasne rynki i ulice, bezludne dziś, kałuże swe i kupy śmiecia kąpały w blasku jaskrawego, burzę zapowiadającego słońca; zgęszczone, cuchnące powietrze mętną parą owijało szare domy, okna przyémione szybami z pęcherza, tarasy otoczone niskimi ogrodzeniami, na których tu i ówdzie z trójkątnych przybudówek głucho wydobywały się gwary zapalczywych rozpraw. W ciasnych izdebkach mieszczących się na tych małych piętarkach ludność żydowska zwykła była skupiać się i naradzać w ważniejszych wypadkach burzliwego życia swego. Tam bowiem nikt widzieć ich, najść niespodzianie ani z ulicy podsłuchać nie mógł.

Izdebka zbudowana nad dachem Menochima pełną była ludzi, którzy gorączkowymi stopy deptali podłogę jej ubitą z gliny, wapna i popiołu i turbanami dotykali prawie belek sufitu. Niewielu ich było, a jednak ścisk był taki, że popychali się i nadeptywali wzajem. Przez szybę z pęcherza wdzierało się tam niewiele światła, powietrza brak był także, strugi potu ciekły spod turbanów na twarze zorane, zapalczywe, przerażone.

Przechodzień przybywający z Forum szybko po wąskich wschodach wbiegł na taras i wszedł do izdebki. Wszedłszy, natychmiast płaszcz swój z kapiszonem na ziemię z ramion zrzucił; spod niego ukazał się wykwintny strój rzymski, od którego ponury Symeon i kilku innych ze wstrętem odwrócili oczy. Ale Menochim rzucił się ku przybyłemu i chciał rękę jego całować.

— Justusie! zbawco Jonatana mego...

Nie dał mu dokończyć. Ani na wdzięczności pełne uściski Menochima, ani na podejrziwe spojrzenia innych nie zważając

sekretarz Agryppy prędko, prędko opowiadać zaczął o wszystkim, co widział i słyszał na mieście, i o tym także, o czym dowiedział się w domu zwierzchnika swego. Sroga burza wisiała nad tułaczą gminą. Cezar i synowie jego, arystokracja żydowska i część patrycjatu rzymskiego, żołnierze, kupcy, lud, wszystko to zawrzało przeciw przybyszom gniewem i nienawiścią, które nigdy istnieć nie przestawały, ale teraz rozżarzone i ośmielone wybuchnąć mogły.

Jak strasznym mógł być wybuch taki, świadczyły o tym edykta poprzednich cesarów skazujące żydowską ludność na ryczałtowe wygnanie z Rzymu i świeże, okropne sceny mordów i pożog, które już po upadku Jerozolimy napełniały nieraz Antiochię, Aleksandrię, Cezareę. Nade wszystko życie Jonatana srodze jest zagrożonym. Wiedzą dziś już wszyscy, że żyje on i gdzie przebywa. Lecz spokojność i bezpieczeństwo gminy całej wisi także na włosku, nad którego zerwaniem wiele rąk pracuje.

Dla zgromadzonych w izdebce ludzi wiadomości te zupełnie nowymi nie były. Oprócz Justusa posiadali oni w bogatych dzielnicach miasta przyjaciół swoich, którzy od rana już znosili im groźne wieści o wrzeniu uczujących dziś i pijących tłumów; o tym, że wznoszący się na Forum posąg Aleksandra Tyberiusza, rządcy Egiptu, Żyda-zaprzkańca, niemniej jednak Żyda, przed wschodem słońca już oblanym został brudnymi płynami; że gromady ludu i nawet szlachty przeciągały przed pałacem Monobaza z wściekłymi krzykami żądając od żydowskiego bankiera zwrotu pieniędzy lichwą z obywateli rzymskich wyciśniętych. Justus dodał, że Józef Flawiusz wczesnym już rankiem wezwany przed oblicze cesarza stoczył z nim długą rozmowę, po której wrócił do pałacu Agryppy płacząc i wyrzekając na nieuleczalne szaleństwo żydowskiego pospółstwa, a w pałacu Agryppy od wczesnego też ranka przebywał Tytus, sam na sam z Bereniką, rozgniewaną, zrozpa-

czoną i mniej zapewne niż kiedy skłonną sprawę ludu swego w obronę swą przyjąć.

Obecni pobladłe i drgające twarze jednomyślnie zwrócili ku Jonatanowi stojącemu dotąd nieruchomo w pobliżu okna. Stał ramieniem o ścianę wsparty, a profil chudej twarzy jego gęsto obrosłej ostro i posępnie rysował się na złotawej od słońca szybie z pęcherza. Menochim przysiadł w kącie izdebki i skurczony, twarz ukrył w dłoniach. Inni zapytywali:

— Po co Jonatan uczynił to, co gminę całą na niebezpieczeństwo narażało? Po co obudził drzemiące stada jastrzębi i lwów? Dlaczego od wczoraj milczy, tak jak gdyby usta jego zamknęła pieczęć Pańska? Dlaczego wciąż w ziemię patrzy, jak gdyby wstyd go obarczał, on, który przedtem śmiałym okiem rycerza w oblicze ludu swego spoglądał?

Justus stojąc tuż przy nim łagodnie namawiał go, aby postęp swój usprawiedliwił przed tymi, którzy za niego ponieść mogą srogą odpowiedzialność i karę.

Jonatan milczał jak grób. Na twarzy jego zwykłą mu wprzódty hardość i popędliwość zastąpił wyraz głębokiego upokorzenia. Najmniej przenikliwe oko wyczytać by na niej mogło dojmujące i tłoczące uczucie wstydu. Ci, którzy z tłumnymi zapytaniami zwracali się ku niemu, nie śmieli przecież dotknąć go żadnym obelżywym słowem lub gestem. Nie byłże on jednym z najzaciętszych obrońców ojczyzny i ich świątyni, przyjacielem Jana z Giszali, męczennikiem sprawy świętej? Lecz bojaźnią zjęte, rozjątrzone piersi ich wrzały gniewem. Ponury Symeon rzucając ręką w stronę Justusa i ukazując rzymski strój jego krzyknął:

— Zdrajcą jest ten! Jeżeli chcemy, aby zlitował się nad nami Pan, przepędźmy spośród siebie tych, co przyodzili się w edomską skórę. Precz ze zgromadzenia wiernych!

Justus zbladł naprzód, a potem oblał się szkarłatem. Nie miał czasu odpowiedzieć, bo pomiędzy niego a Symeona rzu-

cił się Goriasz. Biała twarz hillelisty gorzała rumieńcem oburzenia.

— Za jaką winę — krzyknął — lżysz młodzieńca tego, który już nieraz służył nam radą swą i pomocą, a wczoraj osłonił przed wrogiem rycerza Syjonu?

— Na uszy własne słyszałem — wołał Symeon — jako mówił, że w greckich i rzymskich naukach mieści się wiele prawd wielkich i że źle czynimy oddalając się od nich...

— Mówił może prawdę... — nieśmiało wtrącił w tłumie ktoś z młodszych.

Kłótnia zawrzała. W ogniu jej, wrzawie zarysowały się wyraźnie dwa prądy ciekące w tym morzu nieszczęścia. Jeden z nich płynął nienawiścią bez granic, drugi smutkiem wielkim, lecz nie gaszącym pochodni rozumu.

— Szamaistą jestem i szczycę się tym! — wołał Symeon. — Szamaistą jestem, który wściekł się przeciw narodom cudzym i dla którego wszystko greckie i rzymskie jest jako pies ścierwo zarażające winnicę Pańską. Mędrców naszych wielbię, tych, którzy w Jabue głoszą: „Z każdej litery wyciągnąć korzec przepisów, a z tych przepisów utworzyć płot, który by Izraela od innych oddzielił narodów“.

Goriaszowi w zapale sprzeczki turban osunął się na tył głowy, a spod niego rudawe kędziory opadały na spoczone czoło. Śmiał się z szyderstwem źle przystającym do łagodnej twarzy i jasnych oczu jego.

— Dzięki mędrcom naszym — mówił — którzy dniami i nocami przemyślwiąją nad tym, co nam uczynić czystym, a co nieczystym, szydzące z nas narody obce słuszność mają twierdząc, że wkrótce słońce samo czyścić zechcemy, aby bez grzechu móc na nie spoglądać!...

— Zdrada! przენiewierstwo! odszczepieństwo! Zdrada! Zdrada! — wołało głosów kilka.

— Biada ci, ludu mój! — wszystkie inne przenosząc za-brzmiał u okna głos młody i donośny — rozjątrzony i podej-

rzliwy będziesz ty odtąd strasznym imieniem zdrajcy piętnować każdego z synów swoich, który ci kroplę świeżego napoju poda w naczyniu nowym albo przestrogą prostować sprobuje drogi twoje!

Był to głos Justusa. Wnet zdyszane piersi okrążyły go murem ciasnym, a kilkanaście ramion groźnie wyciągnęło się ku niemu.

Zgiełk nieopisany powstał. Zapominając o bezpośrednio grożących im niebezpieczeństwach ludzie ci płonęli wieczną gorączką nieszczęśliwych.

— Precz z grona wiernych, służalcze Agryppy! Miotło edomitów! Trądzie na ciele Izraela! Zuchwały plwacz na świętości nasze! precz stąd! precz!

Teraz kilka rąk drżących, lecz silnych chwyciło go za ramiona i darło na nim cienką materię rzymskiej tuniki; jedna ciemna ręka, z kurczowo drgającymi palcami, ręka Symeona, którego czarne oczy paliły się dzikim ogniem fanatyzmu, zbliżała się ku jego obnażonemu gardłu. Sekunda jeszcze, a szaleństwo powstałe z nieszczęścia urodziłoby zbrodnię. Lecz w tejże chwili Jonatan obudził się jakby ze snu. Było to obudzenie się lwa. Do lwa podobny rzucił się ku zagrożonemu i zasłonił go przed napastnikami pierśią swą i rozpostartymi ramionami. Na zgnębioną i zawstydzoną przedtem twarz jego wróciła cała śmiałość i duma. Oczy ciskały błyskawice, zbieła usta drgały.

— Z dala! z dala od niego... — zawołał głosem, w którym ozwały się echa wojennych rozkazów — jam człowiek czynu, nie słów... W boju i bólu zapomniałem, co czyste jest, a co nieczyste... i o mędracach waszych w Jabue nie mówiły mi nie wichry pustyń i bałwany mórz przebywanych... To tylko wiem, że Kocham Judeę, a bolące rany moje mówią mi, że człowiek ten kocha ją także... On brat mój... dobry!

I dziwnie miękko ramiona swe zaokrąglił dokoła piersi Justusa, a rozpalone oczy jego w twarz przyjaciela patrzące

omgliły się taką czułością, z jaką może niegdyś, niegdyś, w niewinnych dniach pacholęstwa, patrzyły w szafir nieba lub w purpurowy kielich róży, którą z ogrodów Cezara przynosił Mirtali.

— Dobry... — powtórzył ciszej. — Ja nie wiem, kto z tych ludzi prawy jest, a kto nieprawy... mnie do ich sporów — nie! Wiem tylko, żeś przyjacielem moim od dni dziecinnych i że skrzywdzić cię nie dam...

— Nie dam! — powtórzył jeszcze, ale już na Symeona i stronników jego patrząc, a głos jego rozległ się znowu w ciasných ścianach izby wojennym niby rozkazem.

Obecni osłupieli zrazu, potem cofnęli się. Znieważać rycerza i męczennika tego nie śmiał i nie chciał nikt. Niektórzy z zawstyżeniem pochyliłi głowy; inni żuli jeszcze gniew swój w warczących ustach. Goriasz twarzą ku ścianie zwrócony płakał; Menochim skurczony w kącie zmordowanym i pełnym trwogi okiem patrzył na dwóch przyjaciół, których postacie w cień usunięte zlewały się w jedną. Wśród czarnego jak noc zarostu białe zęby Jonatana groźnie jeszcze błyskały.

Wtem pośród chwilowej ciszy z jednego z kątów izby ozwał się głos bardzo stary, łagodny i proszący:

— Pozwólcie, bracia, aby najuboższy i najpokorniejszy z was, ale latami najstarszy przemówił do was.

Słowa te wyrzekł Aron, bardzo stary dziad bladej i smutnej Eli, najmilszej przyjaciółki Mirtali. Niedawno jeszcze roznosił on po mieście wonności wyrabiane w fabryce Goriasza i wraz z Mirtalą stawał z towarem swym w portyku Cestiusza. Teraz jednak wielka słabość woskową żółtością oblała mu twarz zdrobniałą, cierpiącą, otoczoną białym jak śnieg zarostem. Turbana na głowie udźwignąć już nie mógł; śnieżne włosy spływały mu spod okrągłej mycki na chudą szyję i pomarszczone czoło. U kolan jego leżał sękaty kij, na którym złożywszy małe, trzęsące się ręce, nad ziemią pochyłony,

z szyją wyciągniętą, łzawymi oczami po zgromadzeniu wodząc mówić zaczął:

— Kiedy sprzeczki waszej słuchałem, Przedwieczny podszepnął uchu memu przypowieść zapisaną w jednej ze świętych ksiąg naszych...

Wszyscy umilkli i słuchali. Na żółtych, wąskich ustach Arona zaigrał uśmiech przebiegły. Wzniósł nieco ręce i czytając nimi zwolna ruch liczenia na palcach mówił dalej:

— Cztery rzeczy na ziemi są małuczkie, a mędrsze od najmędrszych. Mrówki, lud słaby, które we żniwa przygotowują żywność sobie; zajączki, gmin nie silny, który jednak w skałach łożyska sobie czyni; szarańcza króla nie mająca, lecz chodząca hufcami; pająk, lichy owad, a jednak mieszkający w pałacach królewskich.

Umilkł i zagadkowo, przebiegle uśmiechając się spod czerwonych powiek pojętne źrenice po obecnych wodził. Ci z wyrazem zapytania w oczach na niego patrzyli. Po chwili wolniej jeszcze niż wprzód, z głębokim namysłem w głosie i ruchach głowy dokończył:

— Klótnie, tak jak i rozkosze, potężnych rzecz. Lud słaby ma, jako mrówki, pilnie zgromadzać żywność sobie, aby mu sił do życia nie zabrakło; niech jak zajęce wytrwałym pukaniem twarde skały przekuwa on dla siebie w bezpieczne łożyska. Gdy jak szarańcza bez zieni jest i króla, niech spójnym hufcem chodzi. Niech tak jak pająk brzydki i gardzony przedzę swą wszędzie rozsnuwa, aby miał o co zaczepić się w tym królewskim pałacu, który Przedwieczny zbudował dla wszystkich narodów — silnych i słabych.

— Niech się tak stanie! — uroczystym chórem odpowiedzi obecni i cicha uroczystość spłynęła na wszystkie twarze te zmordowane i płonące, lecz które słowa starca postawiły przed obliczem długiej, trudnej, krwawej przyszłości.

Ale Aron miał jeszcze coś do opowiedzenia. Starym był bardzo i pamiętał wiele, pamiętał dzień nieszczęsny, w któ-

rym z rozkazu cezara Klaudiusza wygnano z Rzymu wszystkich zamieszkujących w nim Żydów. Opowiadał o wszystkich nędzach i rozpaczach strasznej owej pory. Któż zgadnie rozpacz mrówek, gdy ciężkie koło przebiegającego wozu mrowisko ich rozgniecie i drobny ludek rozpędzi we wszystkie strony świata? Nikt nie zważy brzemion tych i smutków, które unosi z sobą rój człowieczy z siedliska swego w szeroki świat pognany...

Być może, iż pod ciężkimi turbanami włosy obecnych na głowach ich powstawały. Przy opowiadaniu Arona ruchy ich stawały się bezładnymi, kolana i ręce drżały, słowa plątały się na pobladyłych ustach. Bojaźń zaczynała już wnikać w krew tych, w których serca nieszczęście i krzywda lały nienawiść i podejrzliwość mózg ich zaprawiając dymem mistycznych rojeń.

— Zwołać wszystkich starszych gminy! narodzić się! Do kogo udać się po obronę i ratunek? Jak zażegnać gniew cezara i Rzymian? Co czynić?

Z wołaniami i zapytaniami tymi opuszczali izdebkę, tak jak gdyby w tej chwili już goniła ich kosa śmierci; śpiesząc się nadeptywali sobie wzajem na pięty. Menochim powlókł się za nimi; Aron wspierając się na sękatym kiju wyszedł ostatni.

Justus i Jonatan pozostali sam na sam. Sekretarz Agryppy pochwyił ręce przyjaciela i zarzucił go pytaniami:

— Obce ludy, Jonatanie, miewają wielkich mężów roniących wielkie słowa. Jeden z nich rzekł: „Miłość ojczyzny jest tak ogromną, że ją nie trwaniem naszego życia, lecz troskliwością o jej życie mierzymy“. Ona to cię upoiła! Nią uniesiony nie mierzyłeś jej trwaniem życia swego i swoich.

Jonatan słuchał z odwróconą twarzą, aż z porywczym gestem zawołał:

— Przestań, Justusie! nie powiększaj wstydu mego! pierwszy to raz sprzeniewierzyłem się sprawie świętej! prze-

bacz mi, Judeo! pierwszy raz oddałem pokłon cielcowi namiętności własnych!

Czoło przyciskał do ściany, blade usta przygryzał do krwi, cicho i ponuro z przytłaczającą pokorą szeptał:

— Ułomnym jest człowiek z niewiasty zrodzony...

Potem nie zmieniając postawy pędko mówić zaczął:

— Jakoż mówić im miałem, że uczyniłem to przez nienawiść wroga, kiedy usta me otworzyła miłość dla kobiety? Miałem łąać podle albo przed nimi otwierać skrytości upadku mego?... Kiedy tu przybywałem, w późnej wieczornej godzinie widziałem dziewczeczkę idącą u boku Rzymianina i toczącą z nim cichą rozmowę... W domu ojca naszego ujrzałem ją i jak w niebieskich podwojach utonęły w niej oczy moje, lecz uczułem zaraz, Justusie, wiejącą od niej woń Edomu. Gołębie oczy swe odwracała ode mnie i myślała... o tamtym. Kiedym trzymał jej rękę, wyrywała się i myślała o tamtym!... W Moade-El nie przybliżyła się ku mnie jak inni, lecz stała z daleka, blada od zgrozy... Brzydzi się ona, Justusie, trądem nieszczęść naszych i myśl swą kąpie w przeklętych rozkoszach Rzymu. Opuściwszy Moade-El przez noc całą okiem niezmrudzonym patrzałem w niebo pytając Przedwiecznego o zagadkę mąk moich... Z oberż syryjskich cichym powietrzem leciało wciąż ku mnie imię Bereniki... O truciicielko!... przed świtem byłem już za Tybrem. Nie szedłem sam. Niósł mię duch jakiś! Nie wiedziałem, co uczynię. W głowie mojej nie było nic prócz szumu grzmiącego wciąż: Biada! Nie myślałem o Judei, nie myślałem o zniszczonej chwale Przedwiecznego... myślałem o tej mojej... wdzięcznej... nie mojej!... Kiedy tamta... jak żmija złotą łuską okryta podniosła się na spotkanie edomskiego kochanka, nie widziałem jej... nie widziałem jej... przed oczami stała mi moja... i do Rzymianina swego wyciągała ramiona... Wtedy krzyknąłem... pierś miałem pełną jęków i klątw... Justusie... początek czynu mego nie w miłości ojczyzny był, lecz — kobiety!

Łkał głośno, spłonioną twarz krył w dłoniach, spod których ciekły gęste łzy, aż ugięły się pod nim kolana i czołem ziemi prawie dotykając prędko, prędko szeptać zaczął:

— Ułomnym jest człowiek z niewiasty zrodzony... przebacz, Judeo! nie gaś, Przedwieczny, ognistego słupa, za którym szedłem dotąd krwawą moją drogą!

Smutnie i pobłażliwie słuchał Justus wyznań przyjaciela, aż w oku błysnęła iskra uwielbienia. Dusza Jonatana otwierała się przed nim na oścież, widział w niej rozpacz i wstyd wzniecone tym, że przez chwilę jedną działał pod wpływem osobistych uczuć i żądz. Łagodną dłoń położył na nisko schylonej głowie i z cicha mówić zaczął. Mówił, że noc całą spędził na przygotowaniach do ucieczki tego, kto dziś już zaraz pojmanym zostać może; że w przystani stoi łódź gotowa wypłynąć ku Ostii, gdzie przyjaciele uprzedzeni o wszystkim przyjmą go i wnet umieszczą na pierwszym statku, który port morski opuszczać będzie...

— Na morze! na morze! — zawołał na koniec — na nową tułaczkę i nędzę... ale innego wybawienia nie ma!

Jonatan powstał i wyprostował się.

— Nie! — odpowiedział stanowczo — nie odejdę z domu tego sam.

— Jak to? w okolicznościach tak groźnych chcesz wprowadzić z sobą dziewczeczkę?

— Chcę ją stąd zabrać jako małżonkę moją.

Daremny były długie namowy Justusa.

— Zginiesz — mówił.

— Wraz z nią! — ponuro i z cicha odrzekł Jonatan.

— Pójdź do łodzi!

— A ona?

— Nie podobna!

— Więc... Justusie, doradzasz mi, abym ją pozostawił objęciom Rzymianina?

Zaśmiał się długo, gorzko.

Justus załamał ręce, szybko zbiegł ze wschodów i w izbie dolnej kilka razy zawołał:

— Mirtalo! Mirtalo!

Chciał zapewne mówić z nią; chciał ją błagać, aby odrobiną spokoju uleczyła szal nieszczęsnego, aby prośby swe do jego namów przyłączyła. Otwierając wąskie drzwi wiodące na ulicę powtarzał jeszcze:

— Mirtalo! Mirtalo!

Nadaremnie. Ta, którą wołał, była daleko.

IX

Była ona u szczytu Awentyńskiego wzgórza, na którym w pobliżu świątyni Junony błyszczący kryształowymi oknami górnego piętra i otoczony śnieżną kolumnadą stał dom pretora.

Nie bez trudności przebywała swą drogę, bo ciągnące ulicami, wesole, wpółpijane gromady wstrzymywały ją i zaczepiały grubijańskimi gestami i słowy. Milczącej jednak i śpiesznie usuwającej się z drogi nikt nie uczynił nic złego. Młodzieńcza zresztą głowa jej i zgrabna kibić okryte były przed skwarem i tłumem Inianą białą oponą, jakiej niekiedy używały judejskie kobiety. Trwogi zresztą nie czuła żadnej. Myśl jej czym innym zajęta była niż niebezpieczeństwem, jakie by ją skądkolwiek spotkać mogło. W głowie jej nieustannie szumiały wyrazy, które od wczesnego rana obijały się o jej uszy: „Dokąd udać się po obronę i ratunek? Co czynić?“ Nikt nie wiedział, lecz ona wiedziała. Po obronę i ratunek szła do tych możliwych, dobrych, mądrych... Alboż oni sami nie cierpią także? Ileż razy widziała bladość bólu i gniewu, oblewającą twarz pretora? Ileż razy z oczu Fanii na czoło małego syna, w jej obecności, padały łzy! Muzoniusz tak jakoś nieokreślenie, lecz tak dziwnie do Menochima podobny! A on? On także jest tam pewnie... Wstawi się za nią i za ludem... Zobacz go! Jak to? ona zobaczy go? dziś! zaraz! O słońce szczęścia dobywające się z ponurej nocy! Nie widziała go tak już dawno! Może znowu, jak dawniej, cudny głos jego zaśpiewa w jej uchu. Może, jak dawniej, weźmie on ją za rękę

i poprowadzi w zielone głębie ogrodu lub od obrazu do obrazu, od posągu do posągu iść z nią będzie jak dobry anioł w promiennym państwie sztuki. Piekło opuszczała, raj był przed nią. Drżała pod białą zasłoną, na której iskrzył się haft srebrny... Leciała, a za nią leciał na skrzydle białej zasłony rój srebrnych iskier.

Przed drzwiami domu pretora stała. Niespodziewanie dla niej panowały tam ciżba i zgiełk. Kilkudziesięciu Numidów, potężnych, czarnoskórych, przybranych w złote ozdoby, stało tam w posągowej i ponurej nieruchomości na ramionach dźwigając lektyki podobne do małych domów wyłoconych, w kość słoniową i szkarłaty zdobnych. Dokoła lektyk mnóstwo służby różnych stopni i przeznaczeń w białych sukniach wyszywanych złotem skracało sobie czas próżniaczego oczekiwania gwarą rozmową i dorywczymi zabawami. Niektórzy z nich na chodniku usiadłszy grali w rzucanie monet, które na jednej stronie przedstawiały głowę panującego cezara, na drugiej przód okrętu. „Głowa czy okręt?“ rozlegały się wołania i monety z metalicznym dźwiękiem padały na bazaltowe płyty chodnika. Inni pośrodku ulicy bawili się w odgadywanie zagadek i w ściganie zalotnymi żartami przechodzących kobiet. Przed drzwi pobliskiej wytwornie zbudowanej oberży wybiegła młoda i ładna Greczynka w żółtej sukni czerwonym pasem wysoko przewiązanej i pomiędzy jońskimi kolumnami stanawszy, odrzucając w tył gęstwinę orzechowych włosów, wabiła ku sobie cesarską służbę posągową pozą swą, rozkosznym uśmiechem i błyszczącą amforą, którą na dłoni do wysokości głowy swej wznosiła.

Wszystkim wiadomo było, że białe, złotem wyszywane tuniki stanowiły barwę cesarskiego dworu, której prócz cezara i synów jego nikomu w Rzymie używać nie było wolno. Niedawno jeszcze rozpowiadano sobie o srogiej obrazie, jaką zapłonął był Domicejan, gdy Salwidienus, jeden z najmoźniejszych wykwintnisiów czasu, a siostrzeniec jednego z poprzed-

nich cesarów, ośmielił się służbę swą przyodziać w strój podobny. Domicjan to właśnie nawiedzał teraz dom Helwidiusza. Jego to słynni z siły swej Numidzi jak czarne kolumny podpierali lektyki bogactwem kapiące; jego to służba złotymi haftami strojów swych zalewała ulicę; jego liczna i strojna świta napełniała część wchodowego podwórza domu i połowę atrium, czyli pierwszej od wejścia sali, której drzwi szerokie i ozdobne były w tej chwili na oścież rozwarte.

W tej chwili atrium przedstawiało obraz wspaniały i tłumny; przez kilka rzędów lekkich kolumnad, nad którymi w ciężkie festony podniesiono kwieciste kobierce, wzrok nurzać się mógł stamtąd w szeregu komnat dalszych, w których światła i cienie krzyżowały się po kunsztownych sprzętach, mozaikowych posadzkach, malowaniami okrytych ścianach, długich szeregach posągowych wyobrażeń bohaterów i bogów. U końca perspektywy tej długą, odkrytą galerią biegł pełen kwiatów perystyl zamknięty rzędem żółtych kolumn, które jak słupy ogniste gorzały w słońcu na tle gęstej zieleni ogrodu. Czworokątnym tylko otworem w dachu oświetloną, rozległą salę noszącą nazwę atrium napełniało półświatło. Pośrodku zbiornik wody stalową szybą błyszczał w wieńcu zieleni i igrać zdających się pośród niej brązowych amorów. Za nim, w głębi sali, na marmurowym ołtarzu płonęła zwolna wiązka wonnego drzewa, a dokoła płomyków tych, chwiejących się i wydzielających pachnące dymy, stały różnej wielkości posągi wyobrażające bóstwa domowe, patronów i patronki różnych spraw i uczuć rodzinnych. Dokoła domowego ołtarza tego, u stóp domowych bóstw zasiadała w tej chwili rodzina i skupili się przyjaciele pretora. Było to grono dość liczne, pośród którego naprzód rzucąca się w oczy posępna postać starej Arii w czarnych zasłonach na wysokim krześle nieruchomo siedzącej. Naprzeciw niej Fania roztargnionym gestem pieściła krucze włosy siedzącego u kolan jej małego syna. W pobliżu dwu tych kobiet, na tle brunatnych tog klientów

domu, otoczony uczniami swymi stał Muzoniusz; Artemidor ramieniem obejmował szyję sarkastycznie uśmiechającego się Juwenala; młodziutki Tacytus z posępnie ściągniętymi brwiami wpatrywał się w tłum napełniający przeciwległą połowę sali, na który też głębokimi oczami swymi smutnie spoglądał błądy i cichy, tylko co z pęt niewolnictwa wyzwolony Epiktet.

Przeciwległą połowę sali napełniał dwór Domicjana: dostojnicy wojskowi w błyszczących strojach, szambelani w dworskiej barwie, senatorscy i szlacheccy synowie z wypieszczonymi twarzami i utrefionymi włosy, woniejący, różnobarwni, do niewiast zalotnych podobni. Był tam ponury zawsze i wojenne porażki swe względami młodego cezara osłonić usiłujący Cestiusz; był także w wieńcu ze świeżych róż na głowie ładny Stella przy sposobności każdej cytujący wiersze słynnych poetów; był jeszcze butny hulaka ów i wykwinć, siostrzeniec cezara Ottona, Salwidienus, i ulubieniec Domicjana, Metius Karus, i wielu innych jeszcze ludzi, którzy napełniali Rzym rozgłosem uczt swych i orgii, zuchwałstwem zbytków i dziwactwem zniewieściałych strojów.

Stali tam oni w postawach rozmaitych: miękko chyląc zwieńczone głowy na jedwabiami okryte ramiona przyjaciół, leniwie wspierając się o kolumny, zamieniając się z sobą krótkimi szepty i uśmiechy. Stella ukazywał Cestiuszowi białe swe palce skarżąc się, że je okrył pierścieniami zbyt ciężkimi na dzień tak upalny; Salwidienus zmysłowe wargi przykładając do ucha młodego prefekta pretorianów z cynicznym błyskiem oczu wskazywał na stojącego za panem swym ślicznego Greczynka Heliasa; lecz prefekt pretorianów nie mógł oderwać oczu od czarnej postaci Arii budzącej w nim widocznie przesadną trwogę i jednemu z szambelanów zwierzał się po cichu, że wolałby spotkać się z gromadą dzikich Kattów niżli z widokiem tragicznej tej niewiasty; na co odpowiadając szambelan chmurnie szeptał, że złe go dręczą przecucia, gdyż wychodząc dziś z domu zawadził o próg stopą, z której

spadł mu sandał. Większość zresztą ludzi tych nieruchomo stała, uważna na każdy ruch i gest pana swego; pośród wojskowych stał czasem dźwięknęła albo przez otwór w dachu spuszcający się promień słońca zaświecił w brązach pancerzy i pozłocił różane wieńce.

Pomiędzy dwiema grupami tymi wyosobnieni nieco stali naprzeciw siebie dwaj ludzie: pretor Rzymu i syn cezara.

Wysoki i silny Helwidiusz przerastał o wiele Domicjana, którego kształtną, lecz niewielką postać malowniczo opływała purpurowa chlamida grecka. Twarz jego niezdrową bladością okryta dwoistą była. Gdy wprost na nią patrzano, posiadała rysy piękne i łagodne, z profilu zaś przywodziła na pamięć drapieżnego ptaka. Głowę miał na pół już ogołoconą z włosów, postawę skromną i na cienkich wargach uśmiech przy-milenia.

Śmiała twarz pretora zdawała się z brązu wykutą, tak nieruchomymi były energiczne jej rysy w chwili, gdy witał on gościa, którego przybycie od rana już przez dworskiego gońca oznajmionym mu było.

— Pozdrawiam cię, Domicjanie! Czym służyć sobie rozkażesz, dostojny gościu mój?

Fania podniosła się z siedzenia i ręki syna nie wypuszczając z dłoni oddała gościowi ukłon uprzejmy. Po czym wnet usiadła znowu, spokojna, i tylko po lekkim drzeniu ręki, którą złożyła na szkarłatnej tunice małego syna, odgadnąć było można wzruszenie wybornie tajone.

Z powiekami skromnie spuszczoneymi i przymilonym na ustach uśmiechem Domicjan wskazał gestem stojącego tuż za nim Metiusa Kara i łagodnym, przyciszonym głosem odpowiedział:

— Jeżeli raczysz, znakomity Helwidiuszu, udarować spojrzeniem swym tego oto przyjaciela mego, przyczynę, która mię tu sprowadziła, łatwo odgadniesz. Przybyłem, aby osobiście prosić cię o łaskawy dla niego wyrok w procesie, który

wytoczył on przeciw Poli Argentarii, wdowie po niegodnej pamięci buntownika Lukaniu. Proszę cię, dostojny, abyś nie wahał się pomiędzy najmilszym przyjacielem moim a rodziną tego, którego imię ohydą zaprawia język każdego z prawych obywateli Rzymu.

W czasie przemowy tej jedno tylko niedostrzegalne prawie drgnienie przebiegło po czole pretora. Najwyższy w państwie sędzia, którego wyroki publicznie pętać probowano, z jednostajnie wciąż nieruchomymi rysy i uprzejmym głosem odpowiedział:

— Proszę cię, panie, abyśmy mogli o Lukaniu nie mówić wcale. To, co byś o nim powiedział, miłym by mi nie było; moje o nim słowa obraziłyby ciebie. Przyjacielowi twemu, Karusowi, Helwidiusz Priscus szczęścia życzy, ale pretor nie ma pamięci dla imion i stosunków ludzkich. Wyrok w sprawie Karusa i Argentarii wydadzą przez usta moje prawa ojczyzny naszej i sprawiedliwości.

Na twarz cesarskiego syna zwolna wstępować zaczął błąd rumieniec. Za nim w świetle jego szeptało:

— Przepowiadaliśmy boskiemu Domicjanowi odmowę zuchwalca tego. Powiedział: „Twarzą w twarz stojąc ze mną śmiałość swą utraci...”

Ale Domicjan skromną wciąż zachowywał postawę, a uśmiech jego pieszczotliwym niemal się stawał.

— Jakaż jest wina moja przed tobą, dostojny i znakomity, że tak srogo postępujesz sobie ze mną i z przyjaciółmi moimi? — żałośnie zawołał.

W świetle zaszemrały cichutkie śmiechy.

— Na głowę Gorgony! Od zapytania tego skamienieć można! Syn cezara pyta o winę swą tego, któremu w snach i na jawie bzdurzy się jeszcze o przedcezarowych wiekach!

Prefekt pretorianów, waleczny żołnierz i przebiegły dworak, głośno prawie przemówił:

— Spytajmy o winę tę filozofa Muzoniusza... Jakże roz-

czulająco opowiadał on niedawno o dyktatorach dawnych, którzy w ręce ludu składali władzę swą, ilekroć miły lud ten obedrzeć ich z niej zapragnął!

Domicjan mówił dalej:

— Młody jestem i wiem, że skromność przystoi małym jeszcze zasługom moim. Skromnie więc i z synowskim uszanowaniem przychodzę do ciebie, ozdobo Rzymu, a ty próśbie mej odmawiasz!

Z jednostajnym wciąż uprzejmym spokojem Helwidiusz odpowiedział:

— Gdyby, Domicjanie, żądanie twe słusznym było, spełniłbym je z ochotą; ale wymagając pogwałcenia sprawiedliwości od tego, który stróżem jej być powinien, wymagasz rzeczy obrzydłej bogom, zarówno jak ludziom...

Domicjan podniósł nieco ramiona, które białe i nagie wydobywały się z pąsowych fałd chlamidy, i głosem rozżalonym zawołał:

— Bogowie mi świadkami, jak niesprawiedliwie krzywdzą mnie najdosłojniejsi obywatele ojczyzny mojej! Widzę, Helwidiuszu, że ani odrobiny łaski twej nie posiadam. Nie uznajesz mnie nawet godnym tytułu cezara, który, jako synowi boskiego ojca mego, nosić mi przystoi. Jak niańka małą dziecinę, nazywasz mnie imieniem moim i jak pedagog niedorostka uczysz, co obrzydłym jest bogom i ludziom. Wolałbym, znakomity, abyś mnie więcej kochał i nie odmawiał mi tego, co moje. Łagodny przecież jestem i uraz chętnie zapominający. Słusznie stosować mogę do siebie wiersz nieśmiertelnego Homera...

Tu z doskonałą retoryczną precyzją zadeklował po grecku:

— „Krew przecież nie kipi tak u mnie, by o nic wrzała, gniew mój hamuje rozumnie...”

I rozpromieniony rozkoszą, którą mu własna deklamacja sprawiała, ciszej dodał:

— Kochać cię, Helwidiuszu, nie przestanę i ojca mego skłaniać nie będę, aby boskim podpisem swym uświęcił edykt skazujący cię na wygnanie z Rzymu lub... ze świata; ale rozważ! i wyrokiem swym dobra pozostałe po obrzydłym Luka-niuszu z rąk Argentarii w ręce przyjaciela mego przenieś!

Przy ostatnich słowach ostre i sarkastyczne tony dźwięk-nęły w łagodnej jeszcze mowie jego, rumieniec jego zwięk-szał się, ale nie zmniejszała się skromność postawy. W po-kornym jakby oczekiwaniu odpowiedzi ramiona u piersi skrzyżował i głowę pochylił. Na odpowiedź nie czekał długo.

Ze zsuniętymi łukami brwi czarnych, spokojny przecież, Helwidiusz powtórzył:

— Wyrok ten, Domicjanie, wypowiedzą przez usta moje prawa ojczyzny naszej i sprawiedliwości.

Starcie się dwu tych ludzi żelaznej woli wywołać musiało zgrzyt ostry i groźny; wydał go zrazu orszak dworski, którym jak gdyby wichur zakołysał. Stał tam dźwięknęła. Podniesio-ny, leniwy głos Stelli dobitnie zadeklamował wiersz z Odysei:

— „Czekając na twój rozkaz chowamy milczenie“.

Ktoś energiczniej podchwycił:

„Gdy tak rozważa w sercu i na rozum bierze,
Niech go wał morski rzuci na skalne wybrzeże“.

Ktoś inny jeszcze zaśmiał się szydersko i cisnął jeden wyraz:

— Szaleniec!

Ale Domicjan sam wyglądał teraz wcale inaczej niż wprzó-dy. Krwisty, ciemny rumieniec nie tylko oblał mu czoło i po-liczki, lecz spuścił się na obnażoną szyję i zabarwił blade ramię dumnym gestem wyciągające się spośród fałd chlamidy spiętych klamrą z tęczowym opalem. Opal mniej iskrzył się od źrenic jego, pierś mu wznosiło wrzenie krwi gwałtownej; z szalonej pychy jego spadły obłudne zasłony. Po krótkiej

chwili milczenia głos jego wybuchnął i rozległ się w ścianach sali dumny i szyderski:

— Dziecku ssącemu pierś matki pozazdrość, Helwidiuszu, rozwagi i przezorności! Wybrałeś się, Helwidiuszu, na wojnę z bogami i szczególnej tylko pobłażliwości ojca mego zawdzięczasz, że dotąd jeszcze nie jesteś pastwą bóstw podziemnych. Tyś to długo prawił w senacie, aby przybywającemu do Rzymu Wespazjanowi jak najmniejsze składano hołdy, bo czołobitność wywołuje tyranie. Tyś to wymownie nauczał senatorów, jako powinni prawną ustawą zakreślić granice wydatkom pana świata. Tyś to na spotkanie jego wraz z innymi przez senat wysłany przemówić do niego śmiał: „Wespazjanie!“ A cóżeś to uczynił w święty dzień Apollina? Otworzyłeś arenę igrzysk w nieobecności wszechwładnego! Po stokroć winnym się stałeś obraży majestatu, tej najcięższej ze zbrodni ziemskich; a jakże dziś mnie w ścianach tych przyjąłeś? Gdzie są kwiaty i wonie, lutnistki i śpiewacy, którzy by objawili mi radość twoją i wdzięczność? Zuchwała odmowa, oto wszystko, czym obdarzyłeś mnie, który jako jagnię przed lwem korzyłem się przed tobą. Mądrymi byli zaprawdę poprzednicy ojca mego, i gotów jestem w każdej chwili składać ofiary na ołtarzach Tyberiusza, Klaudiusza i Nerona, którzy z takich, jak ty, zielsk jadowitych oczyszczali ziemię...

Helwidiusz z coraz bardziej bledniejącą twarzą i zaciśniętymi ustami przyjmował rzucane na niego obelgi. Znać postanowił milczeć. Wszak nieraz już wyrzucano mu i on sam sobie wyrzucał zbytnią porywczosć. Milczał więc, lecz milczenie to takim mu znać było udręczeniem, że pytający, proszący wzrok podniósł zwolna na twarz Muzoniusza, jakby pomocy lub rady wzywał u przedstawiciela wysokich idei ludzkości. Stoik, płaszczem owinięty, ognisty wzrok wzajemnie w twarzy jego utkwiał, i gdy Domicjan mówić przestał, po wielkiej uciszonej sali rozległ się głos Muzoniusza, równie

jak jego donośny i jakby tryumfującym uśmiechem zaprawny. Na Helwidiusza patrząc stoik mówił:

— Jeśli ci rzekną: „Okuję cię w kajdany!“, a ty szanujesz tylko cnotę swoją, odpowiedz: „Okuj mię; w kajdanach twych pozostanę jeszcze wolnym“.

Ostatnie słowa utonęły w zgiełkliwym gwarze, który wznosił się w dworskim orszaku. Oczy zapłonęły, usta wybuchły zjadliwym śmiechem, palce wyciągały się wskazując filozofa, który bez cienia niepokoju wodził po łączących go i grożących mu ludziach więcej litosnym niż pogardliwym wzrokiem. Nagle wszyscy umilkli, wszystkie oczy utkwily w jednym punkcie, w jednej raczej czarnej linii, która zarysowała się na tle złotego ogniska nad otaczającym je wieńcem bóstw domowych.

Z poręczowego krzesła swego z wolna podniosła się Aria i na podnóżku, który wysoki wzrost jej wyższym jeszcze czynił, stanąwszy w czarnych obsłonach, wyprostowana, ku Domicianowi ramię wyciągnęła. Głosem takim, że usłyszeli go najdalej nawet stojący, wymówiła:

— Umarli pozdrawiają cię, synu cezara!

Ona sama wyglądała tak, jakby przybywała z krainy cieniów. Coś na kształt przesądnej trwogi zmąciło na widok jej rozszerzone źrenice i zamknęło drgające złością usta Domiciana. Tragedia powiała od niewiasty tej, której oczy zapadłe spod siwych, zjeżonych brwi gorzały jak pogrzebowe pochodnie.

— Umarli pozdrawiają cię przeze mnie, synu cezara! — powtórzyła.—Wiesz dobrze, kim jest ta, która teraz przemawia do ciebie. Gdyś był dziecięciem, niańki straszyły cię pewnie historią rodu mego. Czy widzisz za mną hekatombę z krwi i kości najdroższych moich wzniesioną przez tych, których w domu tym wysławiać śmiałeś?

Ponure rysy jej drgnęły, lecz wnet bladymi dłońmi zgarnęła na pierś czarne swe zasłony i zawołała:

— Nie będę płakać przed tobą, młody cesarzu. Nie sprawię ci rozkoszy patrzenia na łzy dostojnej matrony rzymskiej. Ale z tronu boleści moich powiem ci, abyś opuścił dom ten, któremu obecność twoja urąga. Nie z różdżką pokoju przybyłeś tu, ale z biczem obelgi i groźby. Wyjdz!...

Zgiełk wybuchnął. Jedni z dworaków grozili, inni trwożnie szeptali, że augurów zapytać trzeba, jaką wróżbą jest dla młodego cesarza dzisiejsze spotkanie się z tą ponurą, starą kobietą.

— Złe geniusze obłąkały ją...

— Rozszczękała się jak Hekuba, gdy po utracie dzieci swych przemieniła się w sukę!

— Wygląda tak, jakby dzisiejszej nocy opuściła Hades!

Prefekt pretorianów zadzwonił mieczem.

— Na Herkulesa! czyliż wystarczy krakanie jednej baby, aby w nas strach zabobonny obudzić!

Wystarczało. W fałdach chlamidy swej Domicjan drżał. Ile w drzeniu tym było gniewu, ile trwogi? Wiedzieli o tym ci, którzy znali go z bliska. Gwałtownikiem był i tchórzem. Drżąc jednak zjadliwie śmiał się i rwącym się w piersi głosem wołał:

— Żegnaj się ze światem, pretorze, bo krótko już patrzeć na niego będziesz! Żegnaj się z Rzymem, Muzoniuszu, ty małpo Minerwy, bo jutro wygna cię z niego edykt cesarza! Żegnajcie mi na zawsze opuszczeni przez bogów!

Jak rzeka wezbrana i hucząca dwór cesarskiego syna z panem swym na czele wypływał z domu pretora, gdy u wyjścia z wchodowego podwórca drogę mu zastąpiła gromada strojnych kobiet i mężczyzn. Wiodła ją woniejąca, żwawa, w kwiatkach, haftach i klejnotach cała Kaja Marcja. Za rękę trzymała młodziutkiego chłopca z ładną, delikatną, znudzoną twarzą, ze złotą kulą na cennym łańcuchu wiszącą u szyi. Oko w oko spotkawszy się z Domicjanem wietrznica rzymska rozsyłała do stóp cesarskiego syna pęk trzymany w ręku kro-

kusów i lili i sama z wytwornym wdziękiem na kwiatach przyklękając, a piękne oczy ku niebu wznosząc zawołała:

— Dziękuję ci, o Junono, żeś w zamian złotego serca z najpiękniejszym szmaragdem moim, które w świątyni złożyłam, próśby mej wysłuchała. Od dawna, słoneczny Domicjanie, pragnęłam spojrzeć z bliska na blask oblicza twego. Ujrzałam lektyki twoje przed drzwiami pretora i bogowie natchnęli mię, abym dziś właśnie pragnienie swe ukoła. Bądź uwielbiony, o nieśmiertelny! i zrządź mi łaskę, o którą błagać cię będę. Oto jest syn mój, Hortensjusz, dziecko, któremu jeszcze złotej kuli z szyi nie zdjęto...

W orszaku ozwały się ciche chichoty.

— Któryż to z czterech jej mężów pozostawił jej na pamiątkę Ganimedka tego?

— Co ona chce, aby z malcem tym uczynił boski Domicjan?

— Ładną jest jeszcze i na Wenerę, nie zląkłbym się jej, gdyby mię spotkała w miejscu ustronnym...

Kaja nie słyszała nic. Cała dusza jej zebrała się w jej oczy i tonęła w twarzy cesarskiego syna, którą hołd otrzymany uspokoił i rozpogodził. Z ruchami wytwornego światowca podniósł on z klęczek ładną kobietę i opiekuńczym gestem oparł dłoń na ramieniu niedorosłego jej syna.

— Z Hortensjusza mego, boski cesarze, uczyni sobie sługę i niewolnika! — ze łzami zachwytu w oczach wołała Kaja — niech ci on wino do czar nalewa i zapala ogień na ołtarzu twych bóstw domowych. Poświęcam go na twym ołtarzu...

Coraz więcej promieniejący, do błogich uśmiechów dymem pochlebstwa i pięknymi oczami Kai łechtany Domicjan przestąpił próg podwórza, gestem skromnego eleganta zaproszwszy wprzód Kaję, aby szła za nim.

Odeszli. Za plecami zamykających orszak szambelanów i paziów ostiariusz zamknął drzwi domu, zza których

długo jeszcze dochodził płynący ulicą do odlatującego wichru podobny tętent i gwar.

Dom pretora zaległa cisza. Aria wsparta na ramieniu Fanii opuszczała atrium zbiegającymi ustami szepcząc zwrotkę ciemnego poematu swego:

— Zawsze to samo! Zawsze to samo!

Klienci i przyjaciele domu pomiędzy drzewami podwórza rozsypani z cicha i smutnie gwarzyli z sobą; gromadka młodych ludzi w różnobarwnych tunikach u jednej ze ścian sali zasiadłszy z przelotnymi uśmiechami na twarzach słuchała płynnej, przyciszonej mowy Juwenalisa, który z sarkastycznymi ustami i tragicznym płomykiem w oczach puszczał wodze satyrycznemu natchnieniu i w słowach, z których wiały gorycz i zgroza, wyśmiewał Domicjana, dworaków, płocze kobiety i bezmyślną tłuszcę.

Helwidiusz zbliżył się do Muzoniusza. Widać było, jak drżenia przebiegały ciało jego hartowne i silne.

— Mistrzu — rzekł — jeżeli w kajdanach wolnym jeszcze jestem, winienem to nauce stoików. Wiek cały upłynął, odkąd wśród niesłychanych nieszczęść i ucisków wy jesteście doradcami i pocieszycielami prawych i niepodległych. Według wskazań waszych żyjemy; umieramy przez was pocieszani. Dziś, Muzoniuszu, zobaczyłem z bliska czarną godzinę moją. Mam na ziemi ukochania wielkie, które wkrótce opuścić mi przyjdzie. Ojczyzna... przyjaciele, małżonka... dziecię... O mistrzu! dusza moja zakłócona! Weź ją i ukołysz duchem filozofii, aby spokój mędrca i wytrwanie obywatela zachować mogła!

Na siwej rzęsie Muzoniusza błysnęła łza, lecz postawa jego spokojną była i cichy blask okrywał zbrzydzone czoło.

— Dlatego że ludzkie uczucia w uroczystej chwili kołącą ci w piersi — odrzekł — nie trwóż się o spokój i wytrwanie swoje. Dusza silna nie ma być przeto zimną i nieczułą. Stojąc nie nakazuje ci obojętności; nakazuje ci on tylko zwy-

cięstwo cnoty nad bólem i trwogą. Łabędzie, Helwidiuszu, śpiewając umierają; nie wesołą przecież, lecz uroczystą strofą śmiertelna pieśń ich płynie ku słońcu...

Usiedli przy ognisku i pochyleni ku sobie rozpoczęli długą, cichą rozmowę.

Niedaleko ogniska stał wysmukły młodzieniec w białej tunice, ze srebrną opaską na kruczych włosach i zrazu chmurny wzrok wlepiął w ziemię. Lecz gdy tylko podniósł powieki, cała dusza jego skupiła się w oczach, które utkwiły w postaci kobiecej majaczącej w najciemniejszym kącie wielkiej sali. Jakkolwiek opływała ją całą biała zasłona, rozpoznał odsłoniętą część twarzy. Oczy ich spotkały się z sobą. Z dala uśmiechnęli się do siebie. Skinieniem głowy przywołał ją i z cicha wymówił:

— Chodź!...

W ogrodzie pretora było miejsce jedno, do którego nie dochodziły ani echa ulicznego zgiełku, ani promienie upalnego słońca. Z gęstwiny niskich bukszpanów i krzaczystych mirtów kilka palm strzelało tam wysoko zielonymi parasolami swymi rozlewając dokoła cień rzeźwiący i chłodny. Krzewy okryte kwitnącymi różami i puszysty kobierzec fiołków napępniały powietrze upajającą wonią; w pobliżu brylantową rosą osypując róże i fiołki szemrała fontanna. Samotność panowała tu zupełna, a ciszę przerywały tylko szmery fontanny i dźwięki dwu rozmawiających głosów. Męski, kryształowy, śpiewny głos mówił:

— Na koniec zobaczyłem cię, Arachne moja! Gdzieżeś tak długo była? Czemu nie przyszłaś, gdy cię wzywałem? Burzę oddecham, a ciebie jak pogody pragnę.

Na kobiercu fiołków leżąc z głową na dłoni wspartą, łagodnym gestem pieścił włosy siedzącej przy nim dziewczyny i wzrokiem pił rumieniec szczęścia, który wybijał się na twarz jej przychudłą i jak liść lilii białą i delikatną.

— Dawno, dawno, dawno nie widziałam cię, królu mój —

zaczęła ona. — Brat mój, którego w dzieciństwie za oblu-
bieńca mi dano, uwieźć mię ma z Rzymu na zawsze... Wszy-
scy moi całowali miecz obrzydły, a dziś płaczą, jęczą i lękają
się bardzo... Ale teraz wydaje mi się, że to był ciężki sen...
Przedwieczny mię obudził i oto znowu z tobą jestem i na cie-
bie patrzę... Artemidorze!

Oczy miała pełne łez. Stęskniona miłość jej naiwnie i na-
miętnie wypowiadała się spojrzeniem, uśmiechem i słowy. We
wzruszeniu przechodzącym jej siły pochyliła spłonione czoło
i tuż przy jego piersi utopiła je w chłodnej gęstwinie fioł-
ków. Lecz na delikatnych ramionach jej spoczęły dwie białe
dłonie i ruchem pełnym pieśczoły podniosły ją znad kwia-
tów. Ciemne, głębokie oczy malarza napełniały się upajającą
rozkoszą.

— Nie schylaj twarzy ku ziemi — zaczął z cicha i zwol-
na — ale patrz w górę, dokoła i na mnie... Jak pięknym jest
świat! Czy te gorące szafiry nie na to istnieją, aby przyświe-
cać ludzkiemu szczęściu? Czy pyszne te róże nie są pochod-
niami, które natura zapaliła po to, aby płonęły na ołtarzach
miłości?

Rój motyli ze skrzydłami osypanymi purpurą i złotem
unosił się nad kwiatami, w bukszpanach i mirtach śpiewały
ptaki; fontanna szemrząc sypała wciąż na trawy brylantowe
deszcze...

— Słuchaj fontanny, Mirtalo! w śpiewie jej słyszę dźwięki
czar napełnionych winem i szmery ust złączonych pocałun-
kami!...

Kawałkiem rajy spadłym na ziemię wydawało się miej-
sce to, a tocząca się w nim przyciszona rozmowa strofą idylli
wplątana w krzyki i płacze tragedii życia. Wszystkimi siłami
swymi dwie te istoty młodzieńcze i świeże wyrwały się z ob-
jęć tragedii. Nie chcieli cierpieć. Szczęście niezmierne, po-
goda bez cienia śmiały się ku nim z piękności natury i roz-
kochanego uścisku ich dłoni. On, wychowaniec stoików, da-

lekim był od brutalnych uniesień, którymi by mógł ją zranić i spłoszyć. Wytworny artysta powoli pić chciał rozkoszną godzinę i gdy na młodziutkie, niepokalane, darem twórczości obdarzone dziewczę spoglądał, w myśli mu snuły się bezświadcem niemal platońskie marzenie o czystej i wzniosłej miłości dusz. Zza szerokich wachlarzy palm promień słońca spłynął mu na krucze włosy i roziskrzył w nich srebrną opaskę. Wyciągał ramię ku kwitnącym dokoła krzewom i zrywając róże kładł je na głowie jej, piersi i sukni.

— Słuchaj, dziewczeczko! nigdy kobieta żadna nie przemówiła mi do duszy tak, jakoś ty to uczyniła. Nieraz ogarniał mię szal boga miłości, ale od spienionego kielicha prędko z niesmakiem odwracałem usta. Nie znajdowałem w nim tego, czegom pragnął; pragnąłem duszy czystej i natchnionej jak twoja, Mirtalo!

Ten sam płomień, który na jego głowie roziskrzył srebrną opaskę, w haftach opadającej zasłony jej zapalił roje iskier. Rumieniec jej z różami walczył o świetność; ogniste włosy strugi złota rozsypały po piersi jej i ramionach. Pochylił się, wieniec spleciony z róż położył na ślicznych tych włosach i zwolna pociągał ją ku sobie.

Ale ona w tej właśnie chwili nagle zbladła i pokornie chyląc zwieńczoną swą głowę oparła się pociągającym ją dłoniom.

— Pójdę już... — szepnęła — zły sen mój powraca...

On nad głową jej schylony zwolna powtarzać zaczął wiersz jednego z latyńskich wieszczów:

— „Biada ci, jeżeli myśleć będziesz o końcu, który mnie lub tobie przeznaczyli bogowie! Mądrą bądź! pij wino i długich nadziei nie żądaj od krótkiego życia. Gdy mówim z sobą, zawistny czas uchodzi. Chwytaj dzień jak najmniej ufając przyszłości...”

Pobladła więc jej jeszcze i ręce z dłoni jego wysunąć spróbowała.

— Carpe diem! (chwytaj dzień) — powtórzył on jeszcze,

ale ciszej już i smutniej niż wprzódy; ręce jej z dłoni swych wypuścił i schmurzony nagle wzrok w przestrzeni utkwiał.

Daremnie, daremnie jak dwa ptaki rozkochane w słońcu uciec pragnęli spod ciężkich i ciemnych chmur. Chmury leciały za nimi, krzyki i płacze tragedii wdzierały się w ich sielankę; nie byli znać z tych, którzy długo usypiać mogą na kwiatach rozkoszy wśród błędzących dokoła widm zagłady i nieszczęść.

— Pójdę już... — rzekła wstając Mirtala. I obie ręce ku głowie podnosząc, jakby sennym głosem mówić zaczęła:

— Niech zlituje się nade mną Przedwieczny! Kiedy tam jestem, umieram, że tu być nie mogę. Tu będąc tam lecieć pragnę. Dwa potężne anioły rozrywają mi serce... cóż uczynię?

Wyraz niewymownej męki okrył zbladłe jej rysy, ale wnet jakby na własne pytanie odpowiadając szepnęła:

— Pójdę...

— Dokąd? — zapytał Artemidor.

— Do możnego pretora przyszedłam, aby go o ratunek błagać... i... nieszczęsna zapomniałam!

Artemidor z gorzkim na ustach uśmiechem powstał także.

— Do możnego pretora po ratunek przyszłaś... alboż dla niego samego jest ratunek jaki? Kimże on jest sam, jeśli nie skazańcem, po którym wkrótce łzami żalu i wściekłości zaleją się oczy wszystkich go kochających?

W tej chwili za rozmawiającymi ozwał się głos męski, pogodny i prawie wesół:

— Kto rozmawia tu o pretorze i wszelkiej już odmawia mu mocy? Tyś to, Artemidorze? i ty także, wdzięczna dziewczeczko? Czego żądacie ode mnie? Czym będę jutro? Nie wiem... Ale dziś jeszcze pretorem Rzymu jestem. Kogo ratować mam i od czego? Czy ciebie, Artemidorze, od strzała Kupidyna? Czy ciebie, dziewczeczko, od żaru, którym płoną oczy tego ulubieńca muz?

Ścieżką wijącą się wśród bukszpanowych krzewów Helwidiusz zbliżał się ku młodej parze w sposób powyższy przemawiając do niej. Obok niego postępował Muzoniusz z pogodnym także uśmiechem na ustach. Za nimi z bliska szła Fania i mały Helwidiusz, który ujrawszy Mirtalę poskoczył, z krzykiem radości zawiesił się u jej szyi i szczebiotać zaczął o tym, że tak długo bawić się z nim nie przychodziła, że nie widziała jeszcze jaskółki jego ze stali i srebra zrobionej, a która, byle ją puścić w powietrze, latała jak żywa... jak żywa... że niedawno było mu bardzo smutno, bo ojciec jego z młodym cezarem rozmawiał tak dziwnie jakoś, tak straszno... a matka w głąb domu odszedłszy daremnie ukryć chciała łzy, które on zobaczył i z twarzy jej scałował, ale teraz znowu wesoło, wesoło mu bardzo; wszystko jak zwykle; zaraz pobiegnie po jaskółkę swoją, którą z Mirtalą puszczać będą w powietrze, aby leciała wysoko ponad bukspany i mirtoty, het, nad palmy może...

Istotnie, wszystko w tym domu było jak zwykle, a pogoda rozlana na twarzach mieszkańców jego nie pozwoliłaby odgadnąć nikomu tego, co było z nimi przed godziną i być miało jutro. Na śmiałym i energicznym obliczu pretora nie było już i śladu tego zakłócenia duszy, na które skarżył się przed swym mistrzem. Dalej nieco, w pobliżu fontanny, kwiecistymi tunikami migotała na słońcu gromadka młodych ludzi, a gwar rozmowy ich i ożywione gesta napełniały ogród życiem i ruchem. Jedna tylko Fania cicha była i blada; głowę swą, w której czarnych warkoczach rubiny drżały jak krople krwi, oparła na ramieniu męża i tak do niego cała przylgnęła, jakby lękała się, że wnet, wnet z nim rozłączoną zostanie. Patrząc na uczeplonego wciąż do sukni Mirtali i rozgłośnie szczebioczącego syna szepnęła:

— Sierota!

Pretor dosłyszał zapewne, bo kibić jej ściślej otoczył ramieniem, ale nie rzekł nic. Uważnie słuchał Artemidora, który

z cicha mówił mu coś o Mirtali, rodzinie jej i zagrożonym ludzie. Muzoniusz słuchał także i rzekł coś o scenach, które dziś rozegrywały się na Forum. Gdy skończyli, Helwidiusz zwrócił się ku obecnym.

— W altanie zastawione oczekuje nas prandium (podwieczorek). Proszę was, drodzy, abyście ze mną zasiedli do stołu. Tam wysłuchamy żądań dziewczeczki i po raz ostatni zapewne wspólnie wylejemy czarę wina do stóp Jowisza wyzwalającego...

W altanie, przed półokrągłą ławą hemicyclum zwaną a z kunsztownie rzeźbionych marmurów złożoną, na wielkim stole wspierającym się na potężnych słoniowych nogach stały w srebrnych naczyniach świeże i woniejące owoce, złociste krater y napełnione winem, ciasta rozlewające zapach attyckiego miodu, kryształowe czary z zamrożonym mlekiem, barweny (ryby) osypane zielenią oliwek. Trzej młodzi chłopcy z włosami rozpuszczonymi na barwiste suknie o palmy wsparci oczekiwali przybycia biesiadników, aby ze stóp ich pozdejmować sandały i ze smukłych amfor do czar ich nalewać różane i fiołkowe płyny.

Ale Helwidiusz milczącym gestem oddalić się im rozkazał i wraz z rodziną i gośćmi swymi na hemicyclum zasiadł. Mirtala u wejścia do altany stanęła. Tuż przy niej, u wejścia do altany także, wznosił się potężny, mistrzowską ręką wykonany posąg Jowisza; nie tego, który groźby i gromy w dłoniach swych dzierżył, lecz tego, który z ucisku i krzywd wyzwał. Nieśmiałość i wzruszenie chyliły nisko zarumienione jej czoło, nad którym płonął wieniec z róż przez Artemidora spleciony. Chwilę nieruchoma i milcząca stała; przypominała sobie, że kiedyś ukochane usta mówiły jej ustęp z poematu greckiego, w którym gość błagający klękał u gościnnego ogniska. Uklęka więc i oczy łzami zaszele wnosząc ku twarzy pretora ramionami objęła marmurowe stopy boga wolności...

X

Dzień chylił się ku końcowi. Uliczne wrzaski ludu pijanego winem i wzbudzonymi namiętnościami były ku niebu ciemniejącemu dziś wcześniej niż zwykle. Ciemniało dziś ono wcześniej niż zwykle dlatego, że gotowała się pod nim jedna z tych burz groźnych i niszczących, których zbliżanie się wypełniało tłumy trwogą, w części płynącą z przewidywań słusznych, więcej jeszcze przesadzoną, bo przesadną. Po wystawach osobliwości wszelkich, którym przez dzień cały przypatrywał się lud, niebo samo zdawało się chcieć go zadziwić wystawą rzeźb i blasków swoich. Rzeźby te i blaski potężne były i w nieporównanej świetności swej ponure. Nad brzegiem Tybru wielki rynek rybi i parę sąsiednich ulic zalegały gęste tłumy, pstre od różnobarwnej odzieży, nieruchome od przerażenia, z jakim przyglądały się prologowi zbliżającego się dramatu natury.

Za Janikulskim wzgórzem zachodziło słońce, lecz krwistą tarczę jego zasłaniać zaczęła olbrzymia chmura obejmująca widnokrąg czarnym półkolem. Na spotkanie jej ze wszystkich stron widnokregu ciągnęły ciężkie i poszarpane szmaty obłoków płowych, ckliwą bielą poplamionych lub wzdętych żarzącą się czerwonością. Piekący, suchy *africanus* dął z południa; od strony morza załatywały słone powiewy, w których czuć było nawałnicę deszczową. Przez wiatry roznoszone wonie róż łącząc się w powietrzu z zapachami ostrych korzeni i rozlanych win tworzyły w dusznej spiecenie atmosferę ciężką i odurzającą, od której schły podniebienia i gorzały głowy.

Głębią półkolistej chmury podnoszącej się znad zatybrzańskich wzgórz słońce rozpałało tysiącem kolorów i ogni budując z niej zarazem wypukłe i jaskrawo pomalowane góry, lasy, gmachy, zwierzęce i roślinne potwory. Snopy światła jaskrawych i mętnych błądziły w przestrzeni. Górująca nad stolicą kapitolńska świątynia Jowisza piorunującego stała w krwistej niby poźodze. Półokrągłe szczyty bram i łuków gorzały także. W zamian pałace Palatynu i Kwirynału mgliły się jak uciekające w dal mary, płowym i mętным światłem oblane. Nad Marsowym Polem tumany kurzu i porwanej z wodotrysków wody wichur skręcał w złotawe słupy, które z szumem przelatywały przez rzekę i niby strachem gnane potwory sunęły nad szerokimi drogami. Ciemne ogrody szumiały jak lasy; pod żółtymi falami Tybru obrębionymi białawą pianą słyhać było głuche warczenie wzdymających się wód. Deszcz przecież nie padał jeszcze; grzmotów ani błyskawic nie było. Owszem, wichry same ucichały czasem, opadały niesione przez nie słupy kurzawy, ogrody przestawały kołysać się i szumieć, a w uciszzonej przestrzeni Tybr tylko warczał i pod niebem chmury sunęły wciąż ku sobie zwolna, ciężko, jasność dzienną coraz szybciej zmieniając w mrok oświetlony przykrymi blaskami.

Nad brzegiem Tybru zgromadzone tłumy, w pół tylko trzeźwe, upajały się do reszty grozą nadprzyrodzoności, którą w rozpalone ich głowy leli obficie gminni wieszczbiarze i gwieździarze. W ciężkie i poważne, acz nieraz podarte i brudne płaszcze owinięci, uroczystym krokiem od gromady do gromady przechodzący, wskazywali oni ludowi to, czego by może nie ujrzali własne jego oczy. Słynni z odgadywania znaczeń i wróżb zawartych w zjawiskach przyrody, w poufny stosunku zostający z gwiazdami i całym obszarem nieba, przenikać umiejący gniew i łaskę bogów, nie tylko wskazywali oni rzeźby te i malowidła, jakimi chmury okrywały niebo, ale i tłumaczyli je także. Jedni z nich mieli oczy przebiegłe

i chytre; znać w dokonywaniu czynności swej widzieli własne cele i korzyści. Na twarzach innych rozlewał się wyraz mistycznej ekstazy; wierzyli sami w to, co mówili. Mówili na punktach różnych; wszędzie pożerano ich słowa. Wskazywali i tłumaczyli, podnosili twarze wysoko i wyciągali ku niebu wskazujące palce.

— Patrzcie, kwiryaci! gdy na niebie ukaże się taka struga krwi, jak ta, która za ogród Cezara ścieka, bogowie tworzą straszne dla ludzi zamiary...

— E he u! — wołał drugi — widzicie te dwa ogniste skrzyżowane miecze? Znak to niemylny, że Apollo za znieważenie święta swego wzywa Jowisza, aby gromy swe spuścił na was...

— Eskulapie! Eskulapie! — wołał gdzie indziej głos nabrzmiały trwogą — spuść znowu na oczy moje łuski te, które zdjąłeś z nich niegdyś! Niech znowu oślepną raczej, niż patrzeć mam na te czarne tarcze, z których środka sączy się krew... Gdy tarcze te uderzą o siebie i jedna drugą zetrze, biada Rzymowi! Czy widzicie tarcze te, kwiryaci? czy je widzicie?

Wszystko widzieli: strugę krwi, ogniste miecze skrzyżowane, tarcze żelazne sączące z siebie krew. Wszystko to widzieli i daleko więcej jeszcze, bo istotnie, z fantazją niedoścignioną przyroda malowała i rzeźbiła dziś niebo. W największej z chmur przez chwilę ścierały się z sobą dwa hufce rycerskie i potem szybko przelały się w dwie chimery trzęsące lwimi grzywami, a rzucające za siebie ogony płowych węzów. Zza chimery wysunął się satyr, śmiejący się i rogaty, a z innej strony płynęła ku niemu rozwiewna girlanda białawych nimf. Wtem chimery, satyr, nimfy i otaczające je mętne wianki lasów zniknęły, a cielsko chmury zbiło się w jedną olbrzymią górę, z której wyżłobionego szczytu buchnęły krwiste, z fioletem i bielą zmieszane płomienie. Podobnym to było do wybuchającego wulkanu.

— Gore! — krzyknęło kilkadziesiąt głosów, w których czuć było najsroższą ze wszystkich obaw Rzymian — obawę pożogi.

Jednocześnie rozległ się w powietrzu pojedynczy, przeciągły, metaliczny dźwięk. Skąd on pochodził? Z prostego wypadku zapewne zaszłego w jednym z pobliskich domostw albo w jednej z zatybrzańskich fabryk. Ale tysiąc ludzi z krzykiem na klęczki upadło i ramiona ku niebu wzniosło. Jeden z wieszczbiarzy głośno i dobitnie wśród powszechnego milczenia tłumaczył, że dźwięk usłyszany pochodził od tarcz podniebnych, które niewidzialne w tej chwili, bo wulkanem tym osłonięte, uderzyły o siebie.

W pobladłym tłumie rozległy się wołania:

— Wielka Junono, któraś dobrowolnie z Wejów do Rzymu przybyła i wierzchołka Awentynu strzeżesz, obroń swe miasto!

— Najświętsza Izydo egipska, słabych niewiast opiekunko, ulituj się nad nami!

— Apollinie! łaskawy patronie pasterzy, nie daj zginąć biednemu ludowi!

Rodzinne uczucia mocno i trwożnie zakołatały w pierśsiach.

— Ojcze! ojcze! gdzie jesteś? — wołał głos pacholęcy i łzawy.

— Balbio! szukam cię! Kędyżeś mi przepadła?

— O! dzieci moje! biegnę do dzieci moich, pozostałych tam... na Suburze!

— Nie pójdę z tobą, matko... nie opuszczę Klaudiusza mego, którego kocham!

Sylwiusz, haftarz z Awentynu, przytomny zupełnie, sceptycznie uśmiechał się z rozpraw wieszczbiarzy, przebiegłe wejścia rzucał dokoła i ramieniem obejmował szyję Wenturego, którego szczupłe i wypieszczone ciało drżało jak w febrze.

— O Sylwiuszu! — szeptał — kiedy lękam się tak, jak teraz, chciałbym, aby mię matka nie urodziła!

— Głupiś, jak tylko co urodzone dziecko! — sarknął haf-tarz, lecz mimo to czulej i silniej drżącego przyjaciela ramie-niem ogarnął.

Wentury wytrzeszczonymi oczami na chmury patrzył.

— Patrz, Sylwiuszu, patrz! niech mię bogowie opuszczą, jeżeli nad głowami naszymi nie widzę stada słoni!

— Głupiś jak pusta amfora! — powtórzył Sylwiusz i ko-rzystając z pomysłu przyjaciela wskazujący palec ku obłokom wyciągnął.

— Stado słoni! — krzyknął — niech mię bogowie opu-szczą, jeśli to nie jest stado słoni. Będzie nam dobrze, kwi-rycy, jak bestie te na głowy nasze hrymną! Jeżeli ślepymi nie jesteście, widzicie sami, z której strony one lecą. Ze wschodu lecą! przekłety Wschód! przekłęci przybysze ze Wschodu, którzy gniew bogów na nas ściągną!

Ścisk zwiększał spiekę i potęgował wrażenia. Tu i ówdzie opowiadano dziwne wypadki świeżo zaszłe a najwyraźniej zwiastujące zbliżanie się wielkich klęsk. Wszyscy słyszeli, a teraz opowiadali o tym, jako niedawno temu w Apulii urodziło się cielę z głową u lędźwi. W Arretium spadł deszcz ka-mieni. Straszniejszym jeszcze zjawiskiem bogowie nawiedzili Samnium. Spadł tam deszcz także, ale z poszarpanych kawałków mięsa. W Etrurii sześciomiesięczne dziecko zawołało w łonie matki: Biada! W Apulii dwie gorejące pochodnie w biały dzień przeleciały nad łanem i żniwiarzami.

Pedanus, żołnierz zasłużony i nieporównanego na wojnie męstwa, w tej chwili pobladły i ze zmaconym wzrokiem, do-nośnie zawołał:

— W rodzinnym moim Bruttium podobno babie jakiejś kłosa pszeniczne wyrosły z nosa...

Cud ten przez Pedanusa ogłoszony śmiechu nie obudził. Dziś z rana jeszcze najłatwowierniejsi nawet śmieliby się

z tego pewno; ale teraz jedni nie byli już zdolni wątpić o czymkolwiek, inni, mniej liczni, wątpliwości objawiać nie śmieli. Nikt zresztą nie wątpił o prawdziwości słów Pudensa, któremu nocy dzisiejszej ukazał się we śnie siostrzeniec jego, Priscus, i z płaczem wyrzucał niepomszczoną śmierć swoją. Pudensowi istotnie śnić się to musiało, bo rozповідаjąc o tym usta krzywił żałością, a w oczach mu pałała wściekła żądza pomsty.

Lecz straszniejszymi nad wszystkie cuda i sny były wywoływane wciąż wspomnienia wydarzeń rzeczywistych a niedawnych. Niedawno, bo u końca panowania Nerona, bogowie nawiedzili Rzym burzą przedtem nie widzianą. W okolicach Rzymu szalała trąba powietrzna niszcząc domy, zboża, winnice i lasy. Ziemia zatrzęsła się, morze wystąpiło z łożyska swego i wzburzonymi bałwanami zrywało i unosiło wszystko, co znalazło się na ich drodze. W Rzymie samym pioruny strzaskały mnóstwo posągów i zabiły mnóstwo ludzi. Tybr rozlał i rzucił na miasto ogromną ilość syczących i zjadliwych gadów...

Był to zapewne skutek wichru, który zadał znowu, ale na wszystkich głowach zjeżyły się włosy. Pomimo spieki zimny pot zraszał wiele skroni. W dali, w dali płynąc poczęły dźwięki chóralnej, przeciągłej pieśni. Co to było? W stronie, z której zazwyczaj przybywały z Ostii ładowne statki, po warczących i białą pianą poplamionych falach Tybru, pod czarną chmurą, płynęła ciężka, duża galera. Wzdęty jej żagiel na kształt skrzydlatego szkieletu sunął po szarej przestrzeni; brzegi jej we dwa rzędy obsiadali ludzie, których wiosła z rytmicznym pluskiem opadały na wodę. Wiosłarze zbliżając się do portu śpiewali, a przewlekła pieśń ich bezbrzeżną melancholią płynęła w burzliwej ciszy. Zagłuszył ją wnet i pochłonął daleki jeszcze turkot pierwszego grzmotu.

Pośrodku niebieskiego sklepienia wąski tylko pas błękitu widzialnym pozostał; zresztą, zagasłe już, czarne i rude

chmury ujmować zdawały się świat w dwie olbrzymie skorupy, które wkrótce zewrzeć się z sobą miały. Jedna z nich powitała drugą dalekim jeszcze grzmiotem. Błyskawicy nie widział nikt. Ktoś, wieszczek jakiś, krzyknął, że nie był to wcale grzmiot, ale odgłos bębnow, które na ścianach świątyni Marsa, jak to nieraz już bywało, same przez się zahuczały wróżąc tym klęskę. Tłumy zalegające wybrzeże Tybru szalały. Pobladłe usta bezprzestannie, namiętne dopytywały się o możliwą przyczynę wyraźnego gniewu bogów. Szczękające zęby i szeroko otwarte oczy rzucały na twarze ludzkie wyraz zwierzęcy. Ażeby nie zostać zmiażdżonymi, zapragnęli zmiażdżyć kogoś. Kogo?

W gromadach tych — kto i pod wpływem jakich pobudek czy uczuć? — zgadał o morderstwach. Tonem recytatywa donośnie rozlegającego się wśród chwilowej ciszy basowy głos jakiś prawił:

— W Cezarei wymordowano ich dwadzieścia tysięcy... W Antiochii Grecy i Syryjczycy wszystkie ich domy zamienili w perzynę. W Egipcie z rozkazu cesarza świątynię ich na wzór jerozolimskiej zbudowaną zniesiono ze szczętem.

Na punkcie innym ktoś zdyszany i od strachu czy wściekłości krztuszącym się głosem podjął:

— Śmieli oni odgrażać się, że w czasie igrzysk spalą amfiteatr z czterdziestu tysiącami widzów. W Aleksandrii to było. Świadków postawić mogę.

Sylwiusz zaczął:

— Gdybyśmy na wzór Cezarei i Antiochii...

A ktoś inny podchwycił:

— Chóry niepokalanych dziewic śpiewając święte hymny wodą poświęconą skrapiałyby Rzym...

— Skoro czei nie oddają ani cesarowi, ani bogom... komuż więc?

— Duchom podziemnym...

— Prysкусie mój! niechaj w tej chwili głowa Gorgony w kamień mię zamieni, jeżeli dziś śmierci twej nie pomszczę...

Wszyscy razem mówili podniecając się wzajem, modląc się i złorzecząc zarazem...

Czy to tak strasznie szumiące w tej chwili wybrzeże Tybru zalany było samymi tylko podłymi i okrutnymi duszami? Jak tkliwie jednak i mocno mężowie, bladzi sami, cисnęli tam do piersi przerażone małżonki i drżące córki, które z kolei wyciągały ramiona ku ukochanym swym, jakby pragnęły choćby zginąć, lecz z nimi. Byli tam przyjaciele obejmujący się ramionami, jakby jeden drugiego przed niebezpieczeństwem osłaniać zamierzał, i wrogowie, którzy w uroczystej chwili gestem zgody podawali sobie dłonie. Byli też tacy, którzy gorąco, szczerze wzywali pomocy swych Larów domowych ślubując im sute ofiary. Collegia rzemieślnicze wspólnością pracy złączone tłoczyły się w spójne gromady, a niewolnicy i najemnicy tulić się zdawali pod opiekuńcze skrzydła panów swych lub patronów, którzy pobłażliwie znosili ocieranie się ramion ich o swe ramiona, a kiedy niekiedy rzucali im nawet życzliwe słowa. Więć cóż? Dlaczego?...

Wtem ktoś zawołał:

— Uciszcie się! patrzcie! oto bogowie zsyłają nam wróżbę: znad Kapitolu zerwały się kruki!...

Znad Kapitolińskiej świątyni, która teraz ciemna i olbrzymia górowała nad miastem, zerwało się istotnie stado czarnych ptaków i ciężkim lotem z krakaniem głośnym i żalonym ciągnęło w mrocznym przestworzu. Wszakże lot ptaków to jedna z najświętszych dla Rzymian wróżb i wskazówek. W którą stronę zwrócą się kruki i gdzie opadną? Nad Awentynem zniżyły lot. Osiądą może na świątyni Junony i wskażą przez to, że ta to bogini ofiar i błagań od ludu żąda. Nie; to tylko burzą nabrzmiałe powietrze ociąża ich skrzydła. Wzbiły się znowu wyżej... lecą... Na wybrzeżu grobowa cisza zastąpiła uprzednie kipienie. Tysiące białych lub rozpalonych

twarzą wznosiły się w górę; usta szeptały modlitwy płaczące się z przekleństwami. Kruki krakając wciąż zawisły nad łukiem Germanicusa, lecz ciężkie skrzydła ich musnęły tylko półkolisty szczyt jego. Na wybrzeżu zahuczał krótki krzyk:

— Za Tybr polecą!

I znowu zapanowała tam cisza. Kruki leciały nad Tybrem nisko; słyhać było monotony łoskot ich skrzydeł, który jednak umilkł wkrótce. Jakby jednomyślnie, w linii pionowej, opadły one na syryjsko-żydowską dzielnicę i pośród płaskich domów jej — zniknęły.

Nad Janikulskim wzgórzem błysnęło... Wnet potem na wybrzeżu wybuchnął olbrzymi krzyk:

— Za Tybr! za Tybr! za Tybr!

Po chwili spod łuku Germanicusa wypływało morze ludzi zdyszanych, gestykulujących, potem oblanych i pokrywając most grzmiało:

— Za Tybr! za Tybr!

Jednocześnie naprzeciw mostu rozwarły się na oścież drzwi wielkiej oberży i buchnęło z nich na zewnątrz jaskrawe światło palących się w jej wnętrzu pochodni. W świetle tym banda syryjskich tragarzy, lektykarzy i łotrzyków wirowała i szumiała na kształt roju pszczół, aż także niby na spotkanie tłumu przebywającego most puściła się w pochód. Pijani i rozhukani, ogromny Babas w zielonym wieńcu i wpółnaga Chromia z rozwianymi włosy, szli przodem. On do satyra, ona do bachantki podobna, trzymali się za ręce tańcząc w takt muzyki syryjskich flecistek, które w kraciastych sukniach i z błyszczącymi tiarami na głowach wydymając policzki dmuchały we flety albo podnosząc nagie ramiona klekotały metalowymi sistrami (rodzaj kastanietów). Silas w czerwonej bluzie dokoła flecistek tańczący podobnym był z dala do rudego kozła; bezzębna Charopia z chustą opadłą na plecy a siwymi włosami na wyżółklej twarzy skakała także z czerwonej czary rozlewając wino. Za nimi cisnęło się mnóstwo

rozhlukanych postaci: ręce klaskały, głowy w zwiędłą zieleń przybrane kołysały się w pijanym szale. Taberna meritoria wyrzucała na świat napelniającą ją zwykle pianę. Tu już nie lękano się burzy ani myślano o bogach; czułych nawoływań rodzinnych ani nawet przesądnych modlitw nie było na ustach żadnych.

Tłum zbiegający z mostu i zgraja wybuchająca z oberży spotkały się i zmieszały z sobą. Wściekłe krzyki zjednoczyły się z rykami śmiechów i przesywającymi tonami fletów. Dzielnicę mrowiącą się u stóp Janikulskiego wzgórza pokryły naraz dwie ludności: jedna ruchomą i burzącą lawą opłynęła uliczki i rynki; druga z jękami kobiet, płaczem dzieci i ramionami wyciągającymi się ku niebu okryła płaskie dachy.

Co tam działo się w tej nawałnicy ludzkiej? Czy i jak bronili się napastowani? Z czyich piersi wybuchały jęki te przesywające, przekleństwa straszne, śmiechy zmieszane z łkaniem, które tam utworzyły zgiełk wielojęzyczny zagłuszający szum wichru i rzeki? Co oznaczały wpadające w zgiełk ten stuki, brzęki, trzaski? Jakie hasła roznosiły przenikliwe tony fletów, które od chwili do chwili jak strzały świszczące zgiełk przesywały? Wszystko to tajemnicą nieprzeniknioną pokrywał niezmierny, na ciasnych przestrzeniach wirujący odmęt ciał i głosów ludzkich i zmrok coraz gęstszy, zaciągany nad światem przez dwie olbrzymie, czarne skorupy chmur.

Na jednym szczególnie z rynków, tym właśnie, gdzie stały domy Sary i Goriasza, toczyły się najzaciętsze napady i walki. Sylwiusz z haftarzami i Wentury z perfumiarzami swymi czynili zadość nakipiałym w nich od dawna gniewom i zawiściom; we wnętrzach domów rozlegały się trzaski łamanych skrzyń i brzęki rozbijanych naczyń. Z jednej strony szmaty materii ciężkich od okrywających je haftów spadały na głowy i oplątywały stopy ludzi; z innej rozlane wonności napelniały powietrze zaduchem ostrym i odurzającym. Pedanus i Pudens z gromadą ludzi różnego stanu szukali tam także człowieka,

nad którym pomścić się rozkazywały im cienie zabitego na wojnie Pryskusa. Gromada Syryjczyków od bandy swej oderwana ciągnęła ku pobliskiej oberży krzyczącą i wydzierającą się im Miriam, najmłodszą córkę Sary. Za nimi przysadzista i otyła Sara, zapominając o pustoszonym domostwie swym, jak ciężki ptak z rozpostartymi skrzydłami leciała krzycząc. Kilku młodych ludzi, pośród których rzymskim ubiorem swym wyróżniał się Justus, walczyło przed domem Goriasza. Jeden z nich upadł; porwał go i w ramionach rozszalały rozpaczą unosił Goriasz, ten łagodny hillelista, który teraz z oczami świecącymi jak u wilka krzychał:

— Przebacz, Symeonie! przebaczcie mędracy w Jabue, żem wam zaprzeczał! Zemsty! zemsty!

Wtem w miejscu jednym dał się uczuć ruch taki, jakby świeżo przybyła gromada ludzi rozepchnąć tłum i drogę sobie pośród niego torować usiłowała. Przybysze ci przedzierali się wyraźnie ku domom, dokoła których najzażarciej krzyczeli i uwijali się haftarze i perfumiarze. Głosy jakieś poważne, dźwięczące mową wytworną wyróżniać się zaczęły spomiędzy grubijańskiej i wielojęzycznej wrzawy. Wyraźnym stawało się, że wszczynał się tam spór, a raczej zawiązywała się rozmowa jakaś dziwna, co chwila urywana, której początek nie wiedzieć jak i gdzie się zawiązał, w której z jednej strony czuć było wielkie wysilenie głosów rozkazujących coś, proszących o coś, twierdzących o czymś, z innej — rozlegać się poczęły grube żarty i śmiechy. Haftarze przecież i perfumiarze zaczęli już uspakajać się nieco. Przeciwnie strona rynku kipiała wrzawą wielką, lecz tu podobnym już stało się dosłyszeć głos donośny, spokojny, lecz w spokoju swym nakazujący, który kędyś w głębi tłumy przemawiał:

— Spór macie z mieszkańcami domów tych. Dobrze. Ale dwa są sposoby rozstrzygania sporów: jeden przez rozum, drugi przez siłę... Pierwszy ludzkim jest, drugi zwierzęcym... Jesteście stadem bydła?

Kilka głosów zaśmiało się chórem. Jeden z nich, podobny do głosu Pedanusa, zawołał:

— I tu także wleźć musiałeś, filozofie!... Skorzystasz tyle, ileś skorzystał, kiedyś naprzeciw wojsk Witeliusa Rzym oblegających wyszedł i paplał im, że wojna zbrodnią jest a pokój — rozkoszą...

— Mówiłem im i wam mówię teraz — ciągnął w tłumie spokojny, lecz nakazujący głos — mówiłem im i wam mówię: Precz z gniewem! Nic on sprawiedliwego nie zrządzi, a nie ma dobra, jeno to, co sprawiedliwe...

W tej chwili szeroką piersią jak taranem drogę sobie otwierając człowiek, który wszczął dziwną tę sprzeczkę, wybił się spośród tłumu i u drzwi domu Sary na wyniesieniu jakimś stanął. Na kruchym i pod stopami jego trzeszczącym, bo z rozbitych skrzyń i sprzętów złożonym wyniesieniu tym postać jego zarysowała się wysoka, barczysta, w fałdzisty płaszcz owinięta, lecz rysów rozpoznać w zmroku nie było można. Znali go jednak i poznali tu wszyscy. Z wnętrza domu przez okno, którego szybę z pęcherza wyrzucono, wychylił się Sylwiusz tak zmęczony, że togę swą zdjąć musiał, spocony, zziębnięty, wściekły na tego, który mu w drogę włożył.

— Niech cię Hades pochłonie, papugo Minerwy! — krzyknął — po coś tu przyszedł, aby klekotać nam nad głowami swoje wieczne: Nie ma dobra, jeno to, nie ma zła, jeno tamto...

Ale inni w weselsze niż Sylwiusz usposobienie wpadli.

— Spać idź, Muzoniuszu! dobrej nocy ci, mało bogów!

On nie na ludzi, lecz w daleką, burzliwą przestrzeń patrząc mówił:

— Społeczność ludzka trwa tylko przez sprawiedliwość, zginęłaby, jeżeliby jej członkowie nastawali wzajem na życie swe i zdrowie...

Otoczający zaczęli bawić się na dobre.

— Słuchajmy go! — wołano — niech papla...

Wentury cienkim swym głosem prawił:

— W głowach własnych dosyć mądrości mamy. Co nam przyjdzie z przywidzeń chorego twego mózgu?

Członek szewckiego collegium wypadkiem pomiędzy haftarzy zaplątany przybliżył się do filozofa i ręce za plecy zakładając a wzrok ku twarzy jego podnosząc z dumą zadowolonego z siebie szewca przemówił:

— Dlaczego, Muzoniuszu, taki błady jesteś i pomarszczony? Widać po tobie, że fortuna wyciąć ci musiała nie jeden tęgi policzek. Na cóż więc przydały ci się uczone twe wywody?

— Przydały mu się one na to — odpowiedział ktoś inny — aby ujmował się za cudzoziemcami, obrzydłymi cesarowi i bogom...

Muzoniusz odpowiedział:

— Nie rozumiecie mię i drwicie ze mnie, ja jednak mówić nie przestanę.

Podniósł głos:

— Jaką jest natura człowieka? Czy każe mu ona dobrze czynić, a gdy nic już innego nie może, dobrze życzyć...

Z tłumy wybuchającego śmiechem młody człowiek ze wschodnimi rysy a w rzymskim ubraniu donośnie zawołał:

— Nie taką jest, Muzoniuszu, natura ludzka, nie taką jest ona, jak mniemasz, i w tym omyłka twoja! Mędrca z tłuszcza dzielą przepaści, których nie zapełnią wieki!

Muzoniusz usiłując wzrokiem przebić zmrok i tłum odpowiedział:

— Usłyszałem duszę, która myśli! Kimkolwiek jesteś, wiedz, że stoik nie ocofa się przed pośmiewiskiem tłuszczy ani groźbami możnych. Nie rozkazuję mieczem i nie bałamucę cudami. Dziś więc nie zrządzę nic. Ale przyszłość — moja. Przy zasadach stoję.

— Stój sobie, stój! — wołano — nie ujmie nam to z garnka ani jednego ziarna fasoli. Sam sobie wrogiem jesteś, bo słysząc jakoś, że lada dzień cesarz z Rzymu cię wygna. A może

zarzucą ci sznur na szyję i do więzienia pociągną... Cóż ci pomogą wtedy twoje zasady?

Pedanus wystąpił z tłumu. Z rubasznym więcej niż złośliwym śmiechem na twarzy olbrzymie pięści swe ukazywał.

— Kto z nas silniejszy, filozofie? kto z nas silniejszy? Mądrym jesteś, a ja cię przecież jednym pstryczkiem z nóg zwalę. Nie potrzebuję mądrości twojej, wolę swoją siłę.

Trefniś jakiś zawołał:

— Filozofie! kto z nas więcej śmiał się w życiu? ty czy ja?

Szewc podjął:

— Kto dłużej żyć będzie: szewc czy filozof?

Gruby pasożyt z trudnością wyciskając się z tłumu śmiał się:

— Czyj brzuch pełniejszy, Muzoniuszu? mój czy twój?

Mnóstwo ludzi z konwulsji gniewu i strachu wpadło w konwulsje śmiechu. Gniewu ani chęci walczenia z nim stoik w nich nie budził. Po prostu wyśmiewali go. Gruby śmiech ten huczał pośród płaczków, jęków, łajania i przekleństw rozlegających się dokoła. Blisko kędyś, w uliczce wypływającej z rynku, ozwało się urywanymi tony parę fletów i zapalczywy głos jakiś krzyknął:

— Pedanusie! Pudensie! śpieszcie! Syryjczycy znaleźli człowieka, którego szukacie! Oto prowadzą go i z nim razem czeczotkę jakąś!

W tej samej przecież chwili z oddalonym a nieustannym hukiem grzmotu zmieszał się turkot kół i tętent koni, a most łączący Awentyn z Zatybrzem rozbłysnął pochodniami, w których czerwonym świetle biegł raczej, niż szedł, długi orszak ludzi. Ktoś możny i licznym pocztem otoczony śpiesznie przybywał. Kto? po co?

— Liktorowie! na Herkulesa! Są to liktorowie! poprzędzają bogaty wóz jakiś! Konie jak orły! Patrycjusz jakiś na wozie stoi... drugi wodze trzyma! Usuwaszcie się! zmykajcie! z drogi! z drogi!

Sznur biało ubranych liktorów z toporami w rękach, biegnąc rozpedzał tłum i torował drogę dwukonnemu wozowi otoczonemu mnóstwem pieszych ludzi, z których ilość pewna niosła palące się pochodnie. Szybkim pędem przebywszy most na rynku napełnionym ludzką ciżbą orszak ten zwolnił kroku. Na wozie stali istotnie dwaj ludzie: jeden rosły i silny, wspinała togą białą złotymi palmami usianą opłynięty, dłoń wspierał na berle ze srebrnym orłem; drugi, młody i wysmukły, ze srebrną opaską na kruczych włosach, w rękach trzymał szkarłatne wodze. Do poręczy woza uczezione, u boku pięknego woźnicy w postawie ptaka zrywającego się do lotu siedziało śliczne chłopię z greckim profilem i długimi włosami rozsypanymi po ametystowym chitonie.

— Pretor! pretor! — zaszumiał tłum i nagle umilkł. Nie powitali go urągowiskiem jak Muzoniusza. W świetle pochodni wóz jego błyszczał bogactwem ozdób, hiszpańskie konie postępowały dumnie, a wodze ich trzymał malarz słynny... Władzy, bogactwu i sławie któż mógł urągać? Nie ci zapewne, do których teraz przemawiał Helwidiusz.

Kto wie, czy nie dlatego przeważnie przybywał on tutaj, aby po raz ostatni przemówić do rzymskiego ludu. Wkrótce zapewne usta jego zamkną się na wieki. Teraz więc serce jego wybuchało... Wybuchało ono grozą, oburzeniem i niezmiernym żalem. Śniada i śmiała twarz jego w czerwonym świetle pochodni gorzała; spod czarnych, ściągniętych brwi oczy ciskały błyskawice bólu. Nie był to tak, jak Muzoniusz, człowiek samotnych i głębokich dumań, ale mąż czynu i boju. Głos jego, tłumiony zrazu przez głuche łoskoty grzmotów, ale potężny i do szerokich przestrzeni przywykły, rozlegał się po rynku. Słowa jego padały na głowy ludzkie z siłą ciskanych kamieni. Mężem stanu był i patriotą. Ludowi, który oniemiał i znieruchomiał, przypominał wielką i wolną przeszłość jego. Z przesywającym szyderstwem zapytywał go: czy nie już więcej do czynienia nie ma prócz opychania brzuchów swych,

upajania się trunkiem, drżenia przed bezmyślnymi baśniami i napastowania bezbronnych?

Przez chwilę głos jego pochłonęły znowu szumy wiatru, ogrodów i rzeki, aż znowu wybił się on z nich piorunujący:

— Za forum — cyrk, za trybunów — histrionów wam dano, z miejsca obrad i wyborów zrobiono miejsce igrzysk, rynek obywatelski zmieniono w rynek świni. „Chleba i igrzysk!” — wołacie i psimi języki liżecie rękę sypiącą na was jedyne te dobra, których pragnąć umieją ciemne wasze głowy! Krwi jeszcze pragniecie, choćby niewinnej, a łaskę waszą posiadają ci właśnie, którzy z was czynią bezmyślną i okrutną trzodę...

W tłumie rozległy się sarkania:

— Obelgi ciskasz! obelgi na biedny lud ciskasz, dumny patrycjuszu!

— Patrz, patrz! — wołał Sylwiusz — abyś ze słów swych dla szyi swej nie kuł topora...

Niezmańczonym spojrzeniem objął Helwidiusz morze głów ludzkich wóz jego otaczające i bólem wielkim drgnęły śmiałe usta jego.

— Nie możliwym i wielkim urodziłem się — odpowiedział — ale wielce wam bliskim synem setnika... Nie urodzeniem tedy dumnym, lecz prawością. Nie obelgi rzucam, ale ostatnie wezwania... Kto mi groził toporem?... Wiem, wiem o nim, Rzymianie! Nie straciłem rozumu i wiem, co czynię. Liktorowie moi i wezwana przeze mnie straż miejska rozpędzi was stąd do domów jak pijaną i bezmyślną zgrają... Nie przerobię was przecie i wcześniej umrę, ale w dziejach ojczyzny zapiszą jedno jeszcze imię nieskalane służalczącością względem purpury ani względem błota!

Tu jedna z uliczek wypływających z rynku buchnęła muzyką i śmiechami dziko mieszanymi się z przeraźliwym kobiecym krzykiem. Na odgłos krzyku tego w dłoniach Artemi-

dora zdrzżały wodze. Rzucił je w ręce Heliasa, zeskoczył z woza i zbladłą twarz do pretora zwrócił.

— Pozwól mi, panie, wraz z liktorami twymi tam pośpieszyć... Głos ten poznałem... O mściwi bogowie!

Nie skończył jeszcze, gdy na rynek wpadły: Chromia, Charopia, kilka innych podobnych im kobiet i dwie flectki z wydętymi policzkami dmące w swe flety. Rozzochrana i rozogniona banda ta, do chóru furii czy jędz podobna, ciągnęła za ramiona i podartą odzież szczupłą i wyrywającą się im dziewczynę. Na widok zbliżających się liktorów pierzchnęły. Dziewczyna w podartej odzieży, z rozpostartymi ramionami i nieprzytomnym wzrokiem przypadła do woza pretora i na klęczki padając czołem uderzyła o rzeźbioną oś jego koła.

— Przyjaciele! — do orszaku swego zawołał Helwidiusz — niech kilku z was do domu mego uprowadzi dziewczeczkę! Zemdlala, powiadacie? Wnieś ją więc na wóz mój, Artemidorze.

Omdlewając objęły giętkie ramiona, a nad uchem jej schylone usta namiętnie szepnęły:

— Kochanko moja!

Otworzyła osłupiałe oczy i gdy poznała chylącą się nad sobą twarz malarza, uśmiech niewymownego szczęścia przewinął się po zbielałych jej ustach. A w tej chwili przed wozem pretora zjawila się postać inna. Wyciskającą się z uliczki cizbę ludzką z Syryjczyków, setników i żołnierzy złożoną wyprzedzał Żyd stary, bosy, w podartej sukni, z turbanem zsuwającym się na plecy i odkrywającym siwe, rozzochrane włosy. Biegł zdyszany wołając:

— Tam przyjechał pan możny... sam pretor... on sprawiedliwość uczyni... On wam powie, że kłamiecie jak psy... że to nie on, ale ja... ja... Menochim...

Zatrzymał się przed stojącym na wozie pretorem i schylił się ukłonem prędkim a tak giętkim i niskim, że czołem prawie ziemi dotknął. Wyprostował się prędko i śpiesznie, zanosząc się, z językiem płaczącym się w ustach mówić zaczął:

— Nie wierz im, najdostojniejszy! zlituj się i nie wierz im, o moźny! Łgą oni! On nic nie winien. On nigdzie nie był i nic wam złego nie robił... w domu zawsze siedział i tkał sobie! On tkacz... spokojny taki... Jagnię od niego łagodniejszym nie jest. Gdzie jemu do wojowania i podnoszenia buntów i do bluźnienia w amfiteatrze wielkości waszej i cesarzy waszych... On by nawet nie potrafił tego... taki łagodny... I rozumu na to potrzeba, a on głupi sobie... Zwyczajnie tkacz prosty... cha, cha, cha, cha!...

Śmiał się, śmiał się. Bose nogi jego dreptały po piasku, całe ciało wyłamywało się w dziwne sposoby, a z oczu obłąkanych rozpaczą strumieniem lały się łzy. Przyskoczył do woza, wspiął się na palce i usiłował do ust swych ponieść skraj togi pretora.

— Powiem ci prawdę, najdostojniejszy — mówił — błagam cię, abys mi wierzył. Wielki! miej litość i uwierz w to, co powiem... On, to jest syn mój... to jest ten Jonatan, którego Syryjczycy z domu wyciągnęli, a setnicy przed oblicze twoje wiodą, nigdzie nie był i nic nie robił... To jest wielka omyłka... Za mnie go wzięto... Ja to chodziłem do Judei na wojnę przeciw wam... ja biłem się z wami u boku Jana z Giszali... ja w Egipcie bunt podniosłem, ja w amfiteatrze... Wszystko ja... ja... Menochim! A on nic! do niego to czysta przyczepka! Błagam cię, potężny, abys wierzył... Ale jakże tu nie wierzyć, kiedy to czysta prawda... Rozkaż liktorom, aby mię skrzepowali, a setnikom, aby puścili jego... Więźniem swym uczynię mię zamiast niego, a jak pies u stóp twych czołgać się będę, dopóki nie skonam... Dlaczegoż nie rozkazujeś liktorom wiązać mnie? Wrogiem waszym całe życie byłem... Ach! ile ja tam w Judei żołnierzy waszych pozabijałem!... jak ja w amfiteatrze głośno krzyczałem! A wy myślicie, że to on... ten niewinny... co zawsze w domu siedział i tkał sobie... cha, cha, cha, cha! Dlaczegoż, najpotężniejszy, nie rozkazujeś jeszcze wią-

zać mnie? Nie wierzysz? Liktorowie! wiążcie mię! litości! litości! wiążcie mię, liktorowie!

Bose stopy jego dreptały wciąż i podskakiwały; biegał od jednej osi woza do drugiej; złożone, gotowe niby do sznurów ręce ku liktorom wyciągał. Podarta suknia obnażyła mu w kilku miejscach chude ramiona, światła pochodni migotały po twarzy jego zmiętej i zalanej brylantową rosą. Nagle umilkł i z oschłymi, osłupiałymi oczami, trzęsąc się jak w febrze, u jednego z kół wozu na ziemi przysiadł. Przed wozem Pedanus i Pudens za oba ramiona trzymając postawili Jonatana. Przy tym mówili, gdzie widywali go i co uczynił. Zza potężnych ich pleców co chwila wyskakiwał Silas wołając, że on to go wynalazł i władzom rzymskim teraz wydaje. Wtórował mu grubym głosem Babas, i Chromia przyskoczywszy z żywą gestykulacją ramion srebrnymi obręczami świecących potwierdzała słowa przyjaciół swoich.

— Liktorowie! — na Syryjczyków wskazując zawołał pretor — rozpędźcie mi te gady! Wy, setnicy, pozostańcie...

A do Jonatana krótko i ciszej, niż mawiał zwykle, rzekł:

— Mów, Judejczyku!

Nigdy przedtem nie widywany u niego spokój oblewał postawę i twarz Jonatana. Jak nie wyrывał się przedtem z dłoni setników, tak teraz z podniesioną głową, oko w oko na pretora patrzył. Na mgnienie oka w kruczym zaroście jego błysnęły białe zęby, co rzuciło mu na twarz wyraz dzikiej nienawiści, lecz wnet potem spokojnym głosem zaczął:

— Starzec ten kłamał przed tobą, pretorze, bo kocha mię bardzo. Wszystko zaś, co setnicy mówią ci o mnie, prawdą jest. Imię moje Jonatan. Walczyłem z wami na wojnie; lżyłem was w amfiteatrze; nienawidzę was w sercu swoim. Gdyby mi Przedwieczny sto razy żyć pozwolił, sto razy czyniłbym tak, jako czyniłem. Oto wszystko. Każ ludziom swoim, aby prowadzili mię na śmierć.

Jakże podobnymi, jak dziwnie podobnymi z sobą były losy

dwu tych ludzi: tego, który stojąc na bogatym wozie dłoń wspierał na berle i wyrok wydawać miał, i tego, który w podartej odzieży, nędzny i schwytyany, wyroku oczekiwał! Nie dziw też, że Helwidiusz stał chwilę zamyślony, ze spuszczo-nymi powiekami i skamieniałymi rysy i że ręka jego na srebrnym orle wsparta podniósłszy się z wolna opadła na niego znowu. Do przyjaciół swych, którzy z bliska go otaczali, rzekł z cicha:

— Starca i dziewczeczkę uprowadźcie do domu mego... Niech nie widzą...

Lecz ta, o którą troszczył się, szept jego dosłyszała i wyrwijąc się z obejmujących ją ukochanych ramion ku Jonatanowi poskoczyła.

— Ja z nim! — krzyknęła.

Ogromne włosy swe od świateł pochodni złote obu dłońmi zgarniała z twarzy, po której ciekły potoki łez. Pierś i ramiona jej zza podartej sukni świeciły bielą marmuru. Ku ciemnej ludności, która w zgnębionych lub błagających postawach ze szmerem tłumionych płaczów obsiadywała rynek i tarasy domów, ręce wyciągnęła.

— Z tobą nieszczęsny ludu mój — ja z tobą!...

Grube, rzadkie krople deszczu padać zaczęły i przyćmie-wały światło pochodni. Wicher zaszumiał i kędyś, blisko już, nad Janikulskim wzgórzem, ogłuszająco zaturkotał grzmot. Z ucichającego grzmotu wyłonił się donośny i rozkazujący, lecz na dnie piersi drżący głos pretora:

— Liktorowie! wiążcie człowieka tego!

Nie wymówił jeszcze słów tych, gdy Mirtala skokiem sarny rzuciła się ku pojmanemu i szyję jego obejmując na pierś mu upadła.

— Ja z nim! — krzyknęła znowu.

Ale tym razem poskoczyło za nią kilku ludzi i młody Rzymianin ze srebrną opaską we włosach już, już kibici jej dotykał, gdy w rękę Jonatana błysnęła stal... Było to jedno

mgnienie oka. Wzrok topiąc w twarzy Artemidora Jonatan znowu w dzikim uśmiechu ukazał białe zęby i głucho wymówił:

— Jutro zamordujecie mię... nie odejdę bez niej... Nie będziesz jej miał, Rzymianie!


O dziwna genealogio szałów z nieszczęść i zbrodni z krzywd ludzkich! Miecz bohatera sprawiedliwości utonął w piersi niewinnej, bezbronnej dziewczyny.

W tej chwili na środku nieba olbrzymie skorupy chmur zwarły się z sobą szczelnie i uczyniły świat podobnym do ściśle zasklepionego, dusznego garnka. Płomienie pochodni gęstym dymem otoczone chyliły się ku ziemi; wiatr nimi miotał i przygaszały je ciężkie krople deszczu. W zamian niebo całe zapłonęło błyskawicami. Tysiące ognistych węzów nieustannie wiło się po czarnych, wydętych chmurach oślepiające blaski lejąc na ziemię. W blaskach tych zatybrański rynek przedstawiał widok tłumny, lecz cichy jak grób. Most na Tybrze okrywała rozkazów oczekująca zbrojna kalwakata żołnierzy. Groza, ohyda, żalność, strach zawarły usta tłumów, które jak mur nieruchome stały na rynku i klęczały na płaskich dachach. Wyosobniony nieco, na niewielkim wyniesieniu stał Muzoniusz. Kolana jego obejmował i twarz w płaszczu jego ukrywał wysmukły młodzieniec w białej tunice. Można by rzec, że gromem życia rażony przypadł on do stóp filozofii od niej wzywając ukojenia i mocy. Stoik wśród szalejących burz niebieskich i ziemskich sam jeden spokojny, czoło jednak miał bardzo blade i oczy pełne bezbrzeżnego smutku. Twarz i ramiona powolnym gestem wznosząc w górę zawołał:

— Światła niebieskie! czy tam nad wami nie ma nikogo, kto by litość uczuł nad biedną ludzkością? Długoż, długoż jeszcze obrazom takim przyświecać będziecie?

Z przeraźliwym trzaskiem grom uderzył w wody Tybru i po wzburzonych falach potężny grzmot toczył się długo...





Mirtala powstała na początku r. 1883 jako wyraz protestu (przynajmniej w zamierzeniu) przeciwko coraz głębiej nurtującym społeczeństwo prądom antysemickim, jako refleks pogromu Żydów w Warszawie w same święta Bożego Narodzenia 1881 roku, na który bezpośrednią odpowiedzią był napisany w styczniu 1882 traktat *O Żydach i kwestii żydowskiej*. Pomysł powieści zrodził się — rzecz rzadka u Orzeszkowej — w okresie pracowania nad innym utworem, dużym i trudnym, utworem, który zresztą miał zostać już nie dokończonym, a mianowicie nad *Ardelionem*, powieścią historyczną z czasów Domicjana. Zbyt silna była analogia między wypadkami, jakie się rozegrały w Rzymie za panowania ojca tego imperatora, a zaburzeniami warszawskimi, by jej nie ulec. Odłożyła więc autorka na później — a jak się okazało: ad Kalendas Graecas — rozpoczętego przed rokiem *Ardeliona* i w lutym 1883 zabrała się do nowej, trzeciej z kolei (i ostatniej) powieści żydowskiej. „Piszę *Myrtalę*¹ — donosi swemu przyjacielowi i znakomitemu uczoneму, Janowi Karłowiczowi w liście z dn. 29/2 1883. — Pomimo fatalnego niepowodzenia, jakiego u kilku znawców doznała *Turia*², piszę *Myrtalę*. Tak mię do tego klasycznego świata siła jakaś nieprzeparta ciągnie, że wracam doń, choć mię odeń ludzie odciągnąć usiłują. Może u końca okaże się, że ja mam słuszność i w kierunku tym coś znośnego zrobić mogę, tak jak w innym. A jeśli i nie, to któż mi odbierze rozkosz, jakiej doświadczam uciekając z małego Grodna do wielkiego Rzymu. Wiem, że od współczesności i współczesnych uciekać nie wolno i niezdrowo — szczególnie w przeszłość. Ale naprzód w przeszłości tej widzę mnóstwo podobieństw ze współczesnością, wiele jej przyczyn i źródeł, niemało rzeczy dobrych i pięknych, z których zrabowano ludzkość po drodze do współczesności. Następnie, odechnięcie przez chwilę powietrzem rozległych przestrzeni, wielkich kolizji,

¹ Tak stale zrazu pisze Orzeszkowa i dopiero na skutek uwagi Jana Karłowicza, że poprawniejszą formą jest „*Mirtala*“, przekształca imię swej bohaterki.

² Obrazek rzymski Orzeszkowej drukowany w r. 1882/83 w krakowskiej *Nowej Reformie* Adama Asnyka, który jednak nie krył swego niezadowolenia z tego utworu.

uczuc i namiętności, chwilowe mieszkanie pośród portyków, kolumnad, posągów, tog wspaniałych i malowniczych stolli nie przeszkodzi wcale dalszemu opisywaniu dusznych pokoiów, kamieniczek, błota, chałatów, sukien z turniurami i całej mierności tej, z której składa się życie powszednie, życie zatopione w malutkich zachodach i oblane nudnymi smutkami. Kiedy się przeczyta numer *Roli Jeleńskiego*¹, z dziwną przyjemnością słucha się potem Seneki i Muzoniusza. Czytając list Matejki szczujący na Żydów pomiędzy wierszami widziałam migające stare, bardzo stare słowa: „Człowiek dla człowieka świętym jest“. Wyrzekł je poganin, i taki nawet, którego bogactwa zniesławiły go przed potomnymi. Pewną jednak jestem, że zgromadził je w sposób dostojniejszy i piękniejszy z nich zrobił użytek, niż to obecnie czyni popularny nasz, przez mistrza—Jana gorąco pochwalony — żydożerca. *Ardeliona*, którego rozdział pierwszy Panu czytałam, kończył będę na wsi latem, kiedy będę silniejszą i dni staną się dłuższe. Teraz coś mniejszego, tom niewielki, historyjka z czasów Wespazjana, której treścią — starcie się w samym Rzymie Rzymian z Żydami. Moment: kilka lat po zburzeniu Jerozolimy: bohaterowie: naród podbity i naród zwycięski, w tym ostatnim znowu dwie figury: stronnictwo cezarystyczne i stronnictwo republikańskie. Myrtala jest Żydówką, Żydem jest przybrany ojciec jej, Menochim, autor Apokalipsy Ezdrasza, i Żydem Jonatan, narzeczony Myrtali, ostatni rycerz Syjonu. Rzymianinem jest Artemidor, malarz, którego kocha Myrtala — jedyna to kolizja romantyczna. Społeczno-politycznych kolizji kilka. Rozwiązanie (na podstawie Swetoniusza, Juwenalisa, Salvadora, Renana i innych): rabowanie i wypędzanie Żydów przez plebs rzymski podszuczony przez interesy własne i poszepty cezarystów, bronienie ich przez republikańców-filozofów, na czele których stoi Helwidiusz Priscus (zamordowany potem przez dobrego Wespazjana) i Artemidor, młody malarz kochający Żydówkę Myrtalę. Haftarze, perfumiarze, tragarze i próżniacy rzymscy biją haftarzy, perfumiarzy, tragarzy i nędzarzy Żydów, wielka zawierucha, burza, walka, zabicie Myrtali przez Jonatana, mowa do ludu republikańskiego Helwidiusza, ostatni, straszny krzyk Apokalipsy Menochima streszczający odwieczną skargę i rozpacz gnębionych ludów, filozoficzne ku niebu zwrócone pytanie stoika Muzoniusza i — koniec“.

¹ Było to powstałe właśnie w r. 1883 pismo tygodniowe o tendencjach antysemitycznych, założone przez Jana Jeleńskiego w celu uświadomienia Polaków o grożącym niebezpieczeństwie ze strony finansowej potęgi żydostwa; działalność ta spotkała się z gorącą pochwala Matejki, który w 6 nrze *Roli* (z dn. 10 lutego 1883) ogłosił list do redakcji życząc jej owocnej pracy w obranym kierunku.

Rozpoczęta w końcu lutego, już w kwietniu (ściśle: 18. IV — por. list do L. Méyeta z dn. 7/19 IV 1883 w Bibliotece Ordynacji Krasieńskich) powieść została ukończona. Kilka tygodni trwało poprawianie, czas dłuższy zajęło przepisywanie, tak że dopiero w lipcu nowy utwór Orzeszkowej znalazł się w rękach Salomona Lewentala, od razu bowiem przeznaczyła go autorka *Kłosom*. I stała się rzecz zabawna: w *Mirtali* dopatrzono się tendencyj... antysemitycznych, akcentów, które w podnieconej atmosferze mogły być opacznie zrozumiane; postanowiono powieść — przez czas jakiś przynajmniej — ukryć przed światem. W gładkich i wygrzeczonych słowach donosi o tym Orzeszkowej Lewental 5 października 1883 (list ze zbiorów Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej w Warszawie): „*Mirtala*, owa precudna powieść, w zasadzie do *Kłosów* jest przyjęta, ale najwięksi przyjaciele Szanownej Pani są zdania, że obecnie drukować jej nie należy. Powieść ta, która prześlizniętym jest poematem, nie przyczyni się bynajmniej do uspokojenia, ale do rozdrażnienia umysłów, chwila przeto nie jest stosowną. Sam, niestety, *Mirtali* czytać nie mogłem, powtarzam przeto zdanie trzech osób, które ją czytały i które w opinii są zupełnie ze sobą zgodne. W razie przeto jeżeli Szanowna Pani zgodzisz się na odroczenie druku do chwili bardziej stosownej, do końca na przykład roku przyszłego, wtedy co do honorarium z panem Méyetem się porozumiem i powieść do ilustracji bym oddał Merwartowi lub Kotarbińskiemu Miłoszowi“.

Oczywiście, że dla Orzeszkowej sąd taki był bardzo przykrą niespodzianką. Daje temu wyraz w swej odpowiedzi na powyższy list Lewentala datowanej z Grodna 19/10 1883 (oryginał w Bibliotece Ordynacji Krasieńskich): „Jakże prawdziwym jest przysłowie, że człowiek strzela, a Bóg kulę niesie! Spodziewałabym się raczej dla powieści mojej wszelkich zarzutów niżeli tego, że może ona rozdrażnić umysły i wzmóc antysemityczne namiętności. Pisałam ją w innym wcale, wprost przeciwnym celu, i dotąd także przystać nie mogę w sposób żaden na sąd szanownych redaktorów *Kłosów*. Czym innym przecież jest zdanie moje a czym innym możność dowiedzenia go, które zresztą tym razem byłoby całkiem nieużytecznym ze względu, że *Kłosy* rozpoczęły świeżo druk dwutomowej powieści, która z konieczności musi moją o rok cały w czasie usunąć. Przystaję więc na tę zwłokę pozwalając jednak sobie gwarantować to u Szanownego Pana, że za rok, tj. w drugim półroczu 1884 roku, druk *Mirtali* rozpoczętym zostanie. Cyfrę honorarium (rub. 800) miałam już zaszczyt w jednym z listów moich wyrazić. Chciej Szanowny Pan sumę tę łaskawie przyłączyć do tej, którą otrzymać mam w d. 1 listopada, i obie razem mi przesłać. Jeżeliby dwa te warunki moje: drukowania za rok i cyfry a także czasu wypłacenia honorarium zaakceptowanymi przez Szanownego Pana nie zostały, proszę uprzejmie o wręczenie rękopisu panu Méyetowi, który mi go tu przywiezie lub przyśle“.

Zacęły się targi. Lewental nie chciał łatwo zrezygnować z „owej przed-cudnej powieści“, „która prześliznym jest poematem“, z drugiej jednak strony i rok 1884 jako termin druku mu nie odpowiadał, i nakreślona cyfra honorarium wydawała się zbyt wysoką. Pertraktacje te z dużą dozą humoru przedstawia autorka w liście do Karłowicza z dn. 13/11 1883 (znajdującym się — jak i wyżej cytowany — w II tomie *Listów* Orzeszkowej, który wkrótce wyjdzie z druku). Skończyły się zaś na tym: „Druk z początkiem 1885 roku; honorarium: rubli 600 i odbitka albo (to już moja propozycja) 100 rubli za wydanie książkowe po wydrukowaniu powieści w *Kłosach*“ (z listu do Lewentala z dn. 10/11 1883). Nie dotrzymał jednak Lewental i tej umowy: *Mirtala* ukazała się w *Kłosach* dopiero w r. 1886 (w nrach: 1071 z dn. 7 stycznia — 1100 z dn. 29 lipca). Ilustrował ją Miłosz Kotarbiński.

W tymże samym jeszcze roku i z tymiż ilustracjami Kotarbińskiego wyszła w książkowym wydaniu nakładem Lewentala — dosłowny przedruk z *Kłosów*.

Po raz drugi ukazała się *Mirtala* na półkach księgarskich dopiero w r. 1903 nakładem Gebethnera i Wolffa z notatką na karcie tytułowej, że jest to „wydanie nowe“. Rzeczywiście, powieść napisana przed dwudziestu laty została przez autorkę w pewnym sensie przerobiona. O rodzaju tych poprawek tak informuje sama w liście do Méyeta z dn. 2/III 1903 (oryginał w Bibliotece Ordynacji Krasińskich): „Dziś jednocześnie z tym listem wysyłam *Mirtalę* bardzo poprawioną. Jeżeli zechcesz zadać sobie fatywę przejrzenia tej książki, jako też *Czciela potęgi*, przekonasz się o ewolucjach, które przebiegają umysły autorskie. W wiele lat po napisaniu tych książek odczytując je po raz pierwszy z treści uczulam się zadowoloną, i nawet z kompozycji — ale co do stylu — o nieba! jakież srogie nadużycie dwóch części mowy: zaimków i przymiotników! W składni również musiałam częste zaprowadzać zmiany; więc też dwa te tomy są gęsto poszpilkowane poprawkami, które, jak miemam, literacką ich wartość podniosą przynajmniej o 25%. Ale robota była około tego duża i szczególnie dla oczu uciążliwa; dlatego trwała dość długo“. Co więcej, kiedy o tej pracy doniosła prof. Aurelemu Drogoszewskiemu i kiedy ten odpisał na to, że w *Mirtali* życzyłby „jednej jedynej tylko zmiany: wykreślenia końcowego wiersza, tego mianowicie, w którym [jest] uderzenie piorunu wtórującego słowem Muzoniusza. Zawsze mi to się wydawało sztucznym środkiem podkreślającym grozę ostatecznego akordu. Wrażenie jest tak potężne, że ten środek mechaniczny może je tylko osłabić“ (list datowany: 903 IV/7; ze zbiorów Towarzystwa im. El. Orzeszkowej w Warszawie) — Orzeszkowa natychmiast wysłała do wydawców prośbę o wyrzucenie z powieści wzmiankowanego ustępu. Żądanie okazało się spóźnionym: „Mam zmartwienie z powodu *Mirtali* — skarży

się temuż korespondentowi 4/VI 1903 (cytowane z drugiej części II tomu *Listów*, która się niebawem ukaże). — Na list mój z żądaniem wykreślenia ostatnich słów powieści panowie Gebethner i Wolff odpisali, że ostatnie arkusze już są razem z tymi słowami wydrukowane. Bardzo grzecznie wprawdzie ofiarowali się te arkusze przedrukować, ale ja znowu tej grzeczności pociągającej za sobą koszta pieniężne przyjąć od nich nie chciałam. Stosunki nasze nie są takie, aby przyjmować przysługi. Więc uderzenie piorunu pozostało i martwi mię to nie tyle ze względu na powieść — bo co już tam! — ile dlatego że nie zastosowałam się do uwagi Pana, której słuszność zupełną jasno widzę. Rzeczywiście, ten piorun to *ex machina* i środek melodramatyczny, i dziwię się sama teraz, jak mogłam tego od razu nie odczuć. Poprawka spóźniła się! Stało się!

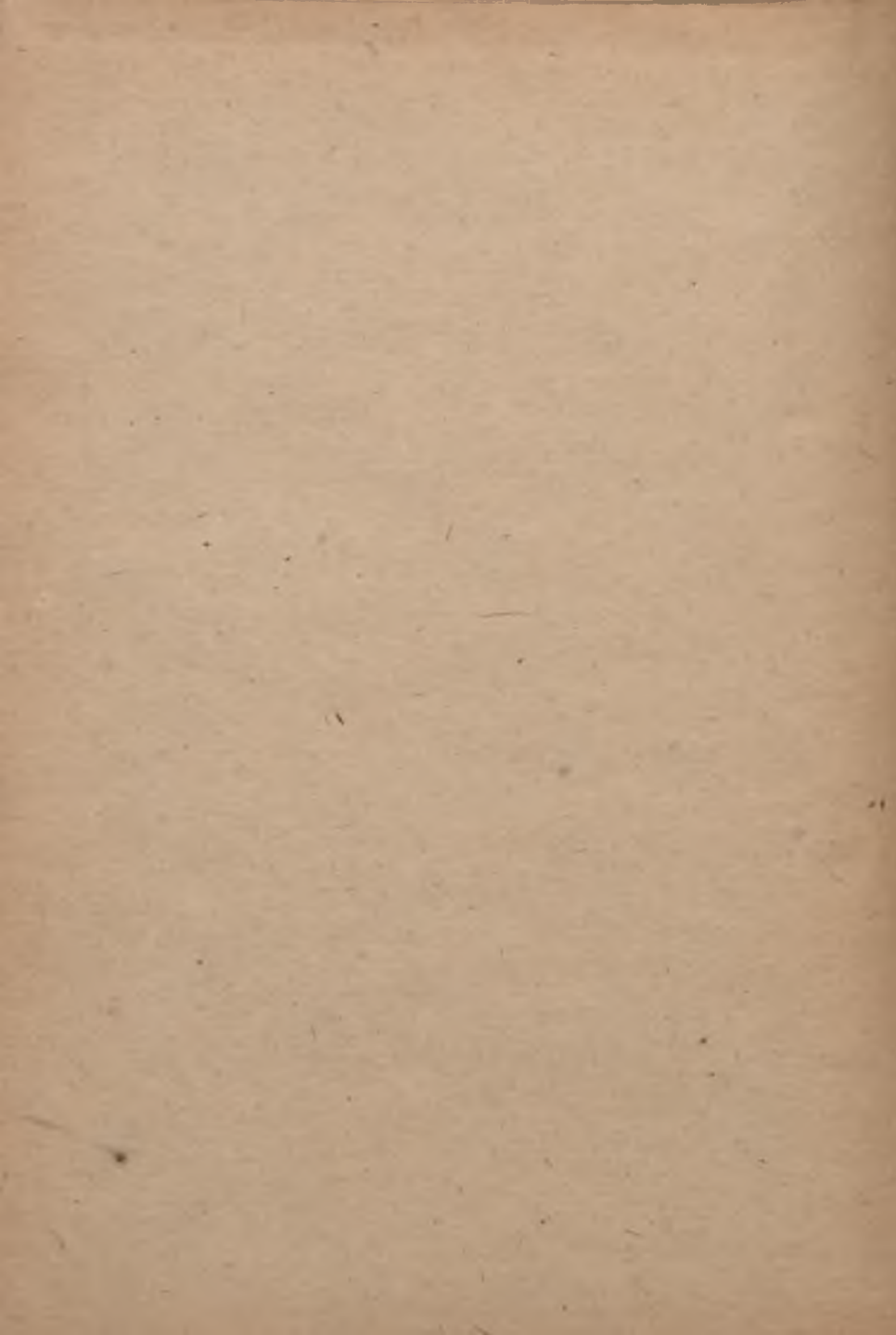
Edycja niniejsza nie jest jednak przedrukiem „wydania nowego“ z r. 1903. Przeciwnie, bardzo starannie przywraca tekst pierwotny z pierwodruku. Świadomie odrzuca poprawki autorki wychodząc z tego założenia, że dla charakterystyki twórczości Orzeszkowej może mieć znaczenie jedynie powieść w swej formie autentycznej, a więc w tej, w jakiej powstała i do druku ostatecznie wykończoną została; podawanie pod rokiem 1883 *Mirtali* z poprawkami dokonany w dwadzieścia lat potem, a więc po okresie olbrzymich ewolucji estetycznych w poglądach poetki, dokonany zatem jak gdyby przez innego człowieka, wydaje się rzeczą zupełnie niewłaściwą, na traktowanie zaś „wydania nowego“ za utwór z r. 1903 nic nie upoważnia: zmiany przeprowadzone wtedy w powieści ograniczyły się — z nielicznymi wyjątkami — do mechanicznego wykreślenia „nadużytych“ w r. 1883 części mowy, zdań, okresów i całych dłuższych ustępów; trudno przyznać pisarce rację, że wskutek tego utwór zyskał aż dwadzieścia pięć procent, wydaje się nawet, że przeciwnie: niewiele zyskując stracił dużo, przede wszystkim naturalność, właściwości cechujące dzieła równocześnie z nim powstałe, nabrał więc sztuczności, pewnej koturnowości.

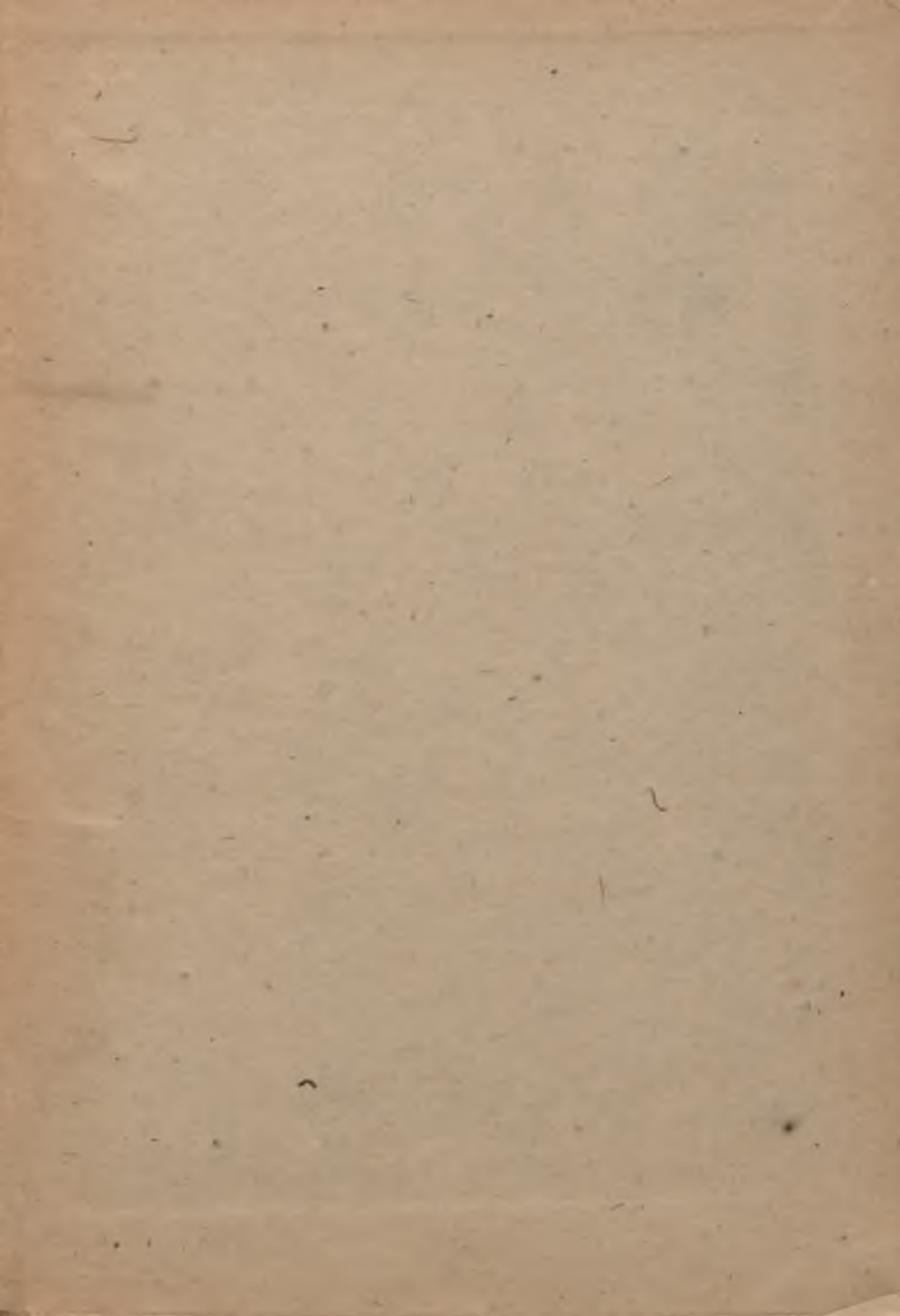
Niewątpliwie, wykazanie ewolucji, „które przebywają umysły autorskie“, byłoby ciekawe i pożądane. Nie dałoby tego jednak przedrukowanie tutaj „wydania nowego“, jak nie daje pójście za pierwodrukiem: brak jest podstawy do porównania; dopiero zestawienie obu tekstów pozwoliłoby cel osiągnąć (tu przecież gra niewarta świeczki!). Pozostawałoby inne jeszcze wyjście: podanie wykazu skreśleń i — bardzo nielicznych — poprawek, ale na to znowu brak miejsca nie pozwala.



SPIS RZECZY

	Str.
I	5
II	24
III	47
IV	70
V	86
VI	106
VII	132
VIII	160
IX	191
X	210
Nota bibliograficzna	231





Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

210497



010000210497

NIE WYPOŻYCZA SIĘ

DO DOMU